



Nazwa instytucji

Książnica Cieszyńska

Tytuł jednostki/Tytuł publikacji

Ostatni Mortęga : powieść historyczna / napisał Janko z Głodomanku.

Liczba stron oryginału

178

Liczba plików skanów

178

Liczba plików publikacji

179

Sygnatura/numer zespołu

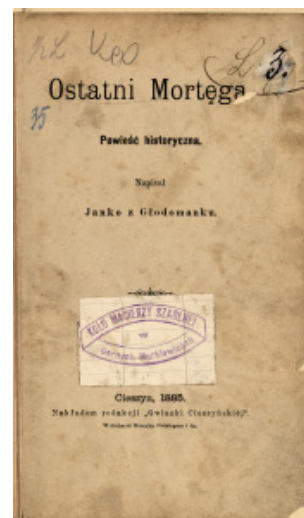
CL KD II 08333

Data wydania oryginału

1885

Zdigitalizowano w ramach projektu pt.

**Udostępnienie cieszyńskiego dziedzictwa
piśmienniczego on-line**



Fundusze Europejskie
Program Regionalny



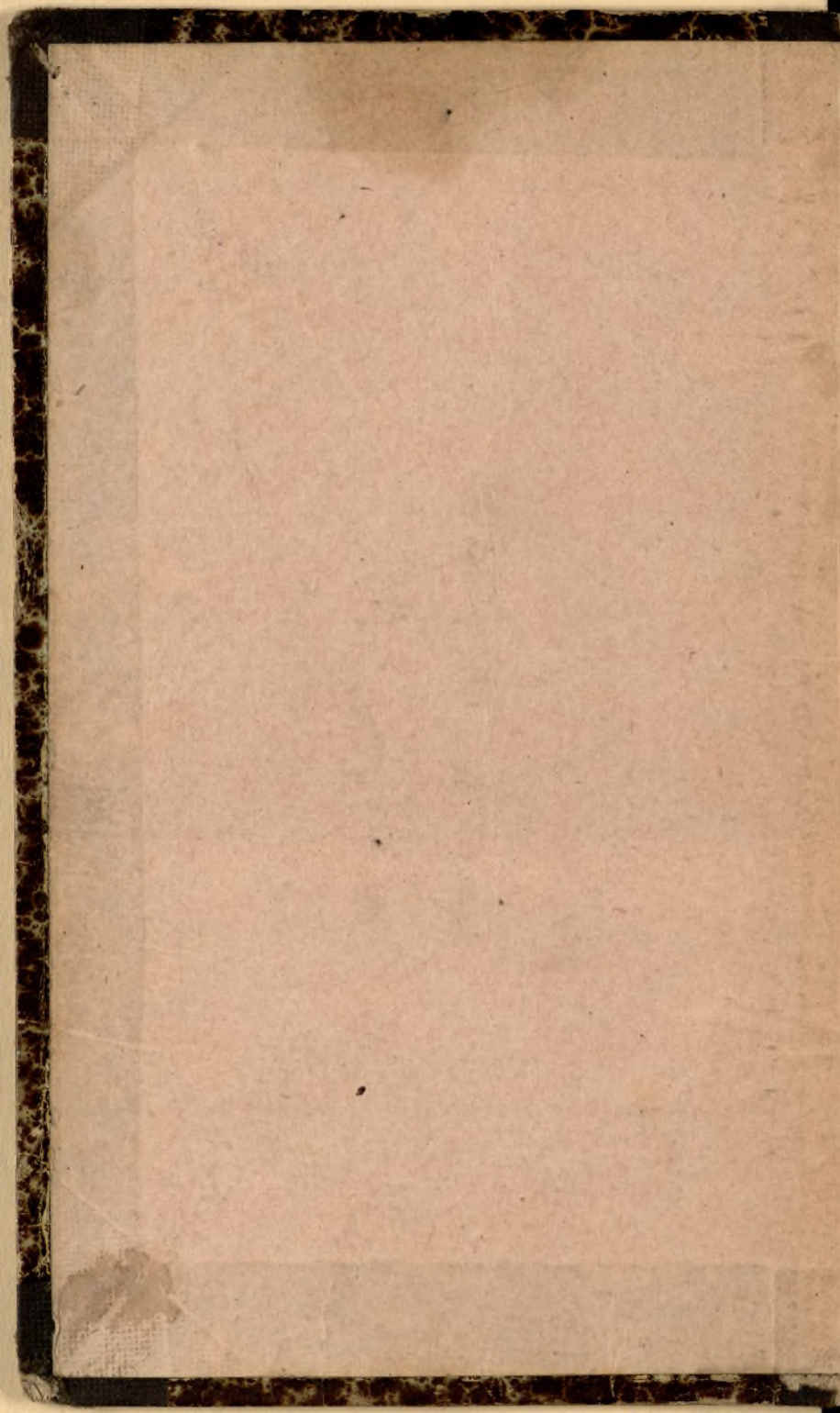
Śląskie.

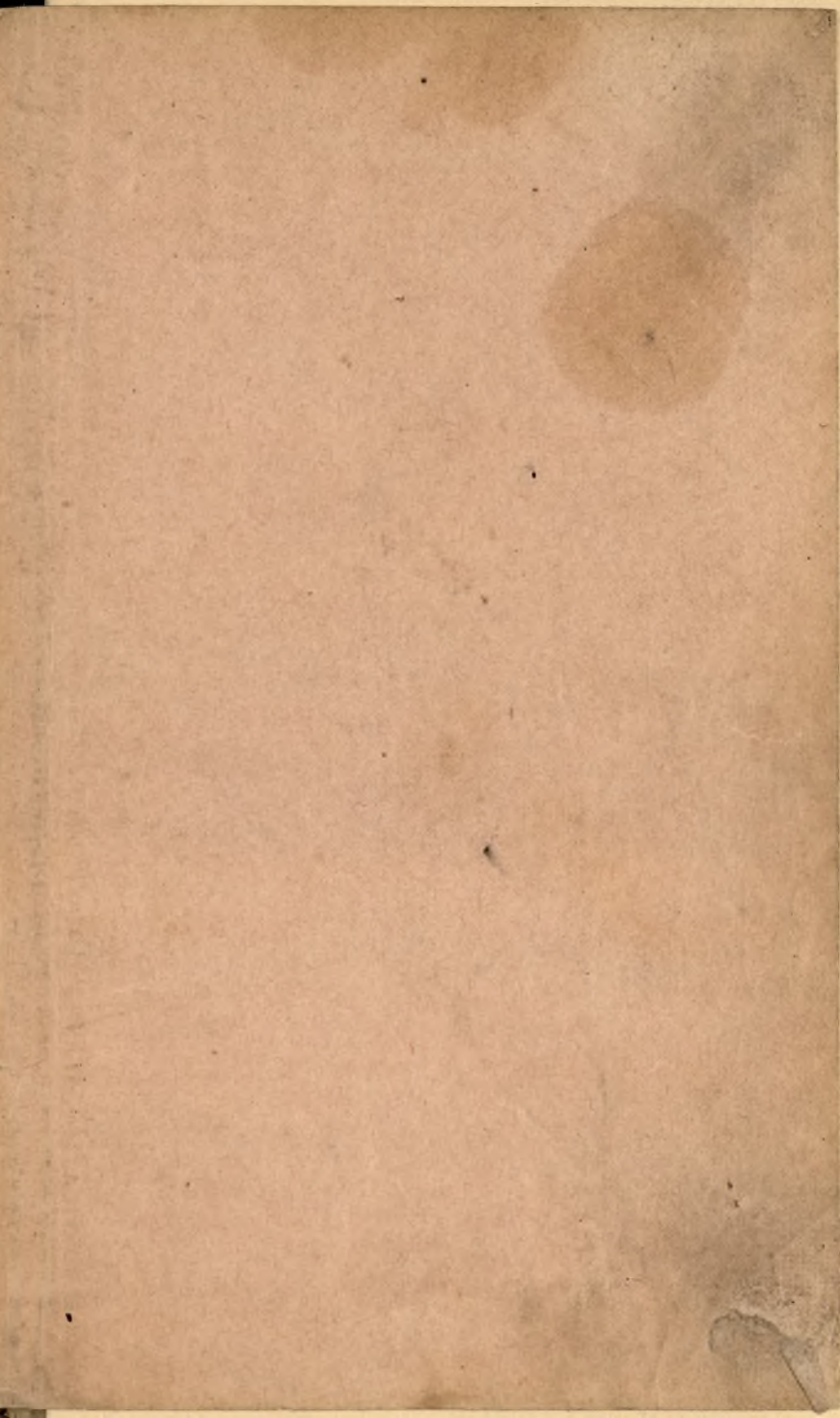
Unia Europejska
Europejski Fundusz
Rozwoju Regionalnego



3.

8333







1/2 L. Kex

L. 3.

Ostatni Morteęa

35

Powieść historyczna.

Napisał

Janko z Głodomanku.



Cieszyn, 1885.

Nakładem redakcji „Gwiazki Cieszyńskiej“.

W drukarni Henryka Feitzingera i Sp.

Coleridge, Thomas

Rowland, Thomas

Rowland

Rowland, Thomas

Rowland, Thomas

CL KD II 8333



I.

O dawne to czasy, dawne, kiedy sobie rozpowiadali po Bochni, że złapali Bartka ze Sluzyny i pewno go obwieszą. — A za co? — Juźcić za szyję, odpowiada dowcipna przekupka miejska, bo ukradł łańcuch złoty i sprzedał go żydowi, ale nasz podżupnik pan Brzykowski zobaczył, i łap za łańcuch: „Skąd ty przyszedłeś chłopie do takiego łańcuszka?” Chłop się wierci, jak dostał poczesne na skórę, przyznał się, że ukradł taki łańcuch panu Filipowi Padniewskiemu podkancelarzemu koronnemu w Krakowie razem z pieczęcią. — Podżupnik odesłał do Krakowa Bartka i sam pojechał, pyta Padniewskiego, czyli mu co nie zginęło. A on załamuje ręce: „oj panie podżupniku, jeno co przyjechałem do Krakowa w nocy do méj kamienicy, położyłem łańcuch z pieczęcią na stole i przykryłem czapką, poszedłem do inszych komnat, abym o noclegu pomyślał, wracam, a tu rozstąpi się ziemia, pieczęci koronnój z łańcuchem nie ma!” — „Mam sprawcę,” mówi Krzykowski, „oddałem go na ratusz.” — „Dziękuję stokrotnie, bo kto wie co by się były za nadużycia mogły dzieć z tą pieczęcią, a król nasz (Zygmunt August) mając różne kłopoty, byłby mnie podejrzewał, że do frymaczki wkręciłem się przeciw majestatowi.”

Istotnie tak było, r. 1559 dnia 10 lutego wyprowadzono rankiem Bartka złodzieja na rynek krakowski, pieczętowano rozpaloném żelazem na piersiach i na czole, wywiedziono za miasto i ukarano śmiercią przez powieszenie. — Po całej Polsce rozgłosiła się ta nowina, mówiono o niej w Prusiech, zaszła do miasta Malborka. Prawie przyjechał do tego miasta podkomorzy malborski z majątności swój Mortęg, w sprawie własnej do grodu, bo jego małżonce Elźbiecie ukradziono klejnoty, i tak się zmartwiła, że zachorowała niebezpiecznie; więc żąda, aby poszukiwano wszędzie złoczyńców. — Opowiadają mu na to o surowej karze króla na złodzieju Bartku. — Majcher Mortęga podkręcił wąsa: „Panie Boże Wszechmogący, ostry król ani słowa, ale czemu on nie był na Inflantczyków taki ostry, jak mu posła Laskiego niemieckie knechty w drodze zamordowały, i puścił im to płazem.“ — „Tu odgrywała polityka swoją rolę a nie sprawiedliwość królewska. Arcybiskup Rygi ciotecznym będąc bratem miłościwego króla, był solą w oku Zakonowi niemieckiemu, więc chcieli go wykurzyć, oblegli nad Dźwiną w zamku Kokemhaus, bo go podejrzewali, że w porozumieniu jego i Moskwa pustoszyła Inflanty; czy zaś był w porozumieniu lub nie, tego nie wiemy, ale skoro z wojskiem swoim przeciw Moskwie nie wystąpił, jeno był neutralnym, więc podejrzenie nabrało większej wagi. Niemcy też dokrupili mu, że go wsadzili do więzienia, a posła królewskiego zabili. Żeby była ta sprawa czy stała ze strony polskiej, byłby król pewno wydał wojnę Niemcom, a tymczasem puścił tę sprawę poza ucho,

i może dobrze uczynił nie narażając Rzeczypospolitęj na większe straty.“

„Hoho! nic tam na wykrety,“ krzyczy Mortęga, „przykazanie Boskie większe niż ludzka polityka, siódme nie kradnij a złodzieja karz i basta, piąte nie zabijaj a zabójcę karz, bo zasłużył. Gdybym złapał tych łotrów, co mi żonie ukradli klejnoty, nie robiłbym z nimi ceremonji jak z głupim Bartkiem po Krakowie, ale kazałbym zawiesić na wierzbie i krótka sprawa. Jak mi zaś żona umrze z tego zmartwienia, wytępiłbym całe familje złodziei do nogi.“

„Za ostry pan podkomorzy,“ mówi referendarz zamku malborskiego, „jakby nie było złodziei ani złoczyńców, niepotrzebni wtenczas w kraju sędziowie, trybunały, a i my królewscy dygnitarze niepotrzebni. Skraść pieczęć królewską znaczy wielką popełnić zbrodnię, bo można tą pieczęcią największe Rzeczypospolitęj czynić krzywdy przez pisma fałszywe i pieczęć prawdziwą. Sprawiedliwie też król uczynił wydając publiczny wyrok taki; a pańskiej żony klejnoty, te dla kraju nie wywierają żadnego wpływu; czy Imość małżonka ubierze się w klejnoty lub nie, zawsze my szlachta wiemy, że to zacna matrona Mortęgowa Kostczanka.“

„Panie Boże wszechmogący! na to wychodzi, żeby nie karać złoczyńców, którzy skrzywdzili żonę moję! Ja Mortęski na Mortęgach, szlacheic z kasztelanów i wojewodów, w całych Prusiech znany i poważany nie zasłużyłbym sobie na to, aby złodziei mnie krzywdzących nie karano.“ — „Panie Mortęski, nie ujmujemy jego godności, mówimy tylko, przyprowadź nam złoczyńców,

skażemy ich na gardło.“ — „Jak pies złapał za kark zającą, już nie wołał nań stój; gdybym złapał złodziei, nie przychodziłbym do was, zwłaszcza zostawiwszy w domu chorą żonę, bobym się z niemi bez pardonu sprawił, ale przyszedłem, abyście mi pomoc jaką dali Waszmościowie.“ — „Wojsko zamkowe jest,“ mówi referendarz, „tylko jak ci złodzieje byli Niemcy, przepadła sprawa.“ — „Jak to! dla Niemców inszy Bóg, a dla nas inszy?“

Referendarz się śmieje; Mortęski ani się pożegnał z panami, wyszedł rozczerwieniony i pojechał do Lubawy, tam bowiem lubił przesiadywać, i tam leżała chora małżonka.

Przyjechawszy do domu, znalazł ją bardzo cierpiącą, zafrasował się bardzo: „Elziu moja,“ rzekł z wzruszeniem, „pał lieho klejnoty, kupię ci dwa razy piękniejsze i droższe, ozdoba ciała nic nie znaczy nie mając ozdoby ducha; Pan Bóg nie patrzy na suknię, jeno na serce.“ — „Nie mów mi Wasze,“ rzekła z cicha chora, „pamiętek trzeba szanować, naszyjnik dostałam od Wulkowskiej, chorążyny Pomorskiej, w krzyżyku były drogocenne relikwie z samego Rzymu, niechże je skruszy żydowska ręka, któż będzie odpowiedzialnym za zniewagę świętości, jeżeli nie ja?“ — „Moja siostra Wulkowska ma jeszcze taki sam klejnot, para od twojego, da ci, niech tylko powiem słówko; jeno się nie martw żono kochana. Ot widzisz, synek pisze z Wiednia, kędym go oddał na naukowe ćwiczenia, że chwala Bogu zdrowym, odwiedził go Wejer Ernest, pan możny.“

„A to znowu skąd znajomości z Wejerami?“ — „Takich ludzi, żono kochana, pomijać nie można, król ma Wejerów w respekcie; słyszałem, że mu się nasza dziewczka Anna bardzo podoba, więc widać zaznajamia się z naszym synem.“ — „Mówił ci co o nią?“ — „Bynajmniej, tylko z boku puścił nowinkę, co my też na to?“ — „Majcherku, nie przydałyby się teraz klejnoty, a kto tu ma takie, w jakieby do ślubu ubrała moją Anusię. Wejer, skoro koliguje się z Ludwikiem, pewno rachuje na Anusię, a klejnotów nie mam, ani złoczyńców nie łapią.“ — „Imość! złoczyńców pochwycić muszę, niech się skryją pod ziemię, byle byli z naszej nacji, ale jak są niemieckie knechty i wynieśli się do Niemiec, trudno przebić mur głową.“ — „Co Wasze mówisz, co? Niemcy w naszym domu? ach zachowajże mnie Boże, jeżeli oni złapali moje świętości, będą się naigrawali; co ja czyniła, co, żem je nie zamknęła w lamusie.“

Desperowała jeszcze więcej kobieta, gorączka się wzmacniała; nastał płacz i narzekanie w domu. Córka Anna pocieszała matkę, druga Elżbieta załamywała ręce, a najmłodsze dziecko Magdusia, nie mające lat pięć jeszcze, patrzyło się z zimną krwią i pytało: „Czego wy płaczecie?“ — „Magdziu mamusia chora, prosz Bozi, aby nie umarła.“ — „A coż to, mama mi nieraz mówiła, że u Bozi najłatwiej, i teraz się go lęka? ja się nie boję Bozi, chętnieby do niego poszła.“ — Familja zamilkła na rezon dziewczynki. Anna największej nabrała odwagi, szepnęła jej do ucha: mama pójdzie do Bozi!

Chorzy mają zwykle słuch cienki, z małemi tylko wyjątkami. Matka usłyszała ten podszept, odzywa się ciekim głosem: „Tak mnie to kochacie, że pragniecie śmierci mojej? Ot wszystko się sprzysięgło na mnie, aby tylko wtrącić do grobu.“ — „Mameczko, jakże można coś podobnego myśleć, żyj nam wiecznie, my z tobą, powiedziała Mani, że mama pójdzie do Bozi, alem rozumiała do kościoła, jak nam wyzdrowieje, bo jakże jej miałam tłumaczyć jej nieroztropną zagadkę?“ — „Wiem ja,“ przerywa Magdalenka, „że mama lęka się śmierci, a sama mi mówiła, że po śmierci idzie się do Bozi. Czemu się mama lęka, kiedy wie, że Bozia najlepszy, on nam daje wszystko.“ — Starsza siostra trąca dziewczynkę: „co ty szczebiocesz co? Nikomu się nie śni o śmierci. Mama będzie zdrową, jeszcze mi usłuży na mojem weselu.“ — „Już mi nie mów, bo ja wiem, że umrze mama, niech się nie lęka Bozi, jeno go tak kocha, jak ja całym sercem.“

Struchleli wszyscy, popatrzeni się na siebie; Anna wzięła za rączkę Magdalenkę: „chodźmy, prosić Bozi o zdrowie do naszej kapliczki.“ — Zwyczajem pobożnej szlachty mieli Mortęgowie też w jednej komnacie ołtarzyk misternej roboty, z patronami świętych imienników swoich; tam paliła się ustawicznie lampa, tam schodziła się familja na modlitwę. Anna ukłękła złożywszy ręce, obok niej Magdalenka i szeptała paciorek. Dosyć długo trwały ich pobożne westchnienia. Anna wstała, bierze za rączkę siostrę: „chodźmy bo mamusia będzie zdrowa.“ — „Oj nie Aniu, coś mi w duszy gada, że mama umrze dziś jeszcze, ale niech się Bozi nie boi,

On dobry!“ — Puściły się Annie mimowoli po licach łezki, stała na chwilę, ocierając sobie takowe, a Magdalenka spokojnie przy niej.

Naraz wpada ojciec: „Aniu, każ czémprędzej po księdza, bo mama bardzo słaba.“ — Wybiegła strapioną córka na podwórze, woła: „Wojtek zaprzęgaj czémprędzej, jedź po księdza z Panem Jezusem do mamy.“ — Nie wyszło pół godziny, przyjechał siwu-tenki kapłan do chorój. Wszyscy klęczeli w przysionku, on słuchał świętej spowiedzi, zadzwonił, i weszli do komnaty, poklękli, kiedy podawał Elżbiecie Ciało Pańskie. — „Boże!“ wyrzekł potem ksiądz: „Nie płaczcie, bo taki koniec każdego człowieka, jesteście dorosłymi, ale ta mała sierotka,“ wskazując na Magdusię, „potrzebuje opieki a ona...“ i zamilkł, bo mu płacz córek dorosłych przerwał mowę. Sparł rękę na główce Magdusi rzekąc rzewnie: „Kochaj dziecko Boga a On pewno nie zapomni o córce swojej.“

Był to moment nader rzewny dla familji; chora podniosła się całą siłą: „Klęknijcie dziatki, niech was po raz ostatni pobłogosławię.“ — Mąż uklęknął pierwszy schyliwszy siwą głowę, obie córki także; uściskała im obiema rękami głowy, mówiła jakieś słowa niezrozumiałe, bo jój tchu zatykało; a gdy najmłodsza dziecinka się zbliżyła, trzymając ją za ramiona, rzekła głosem wyraźnym: „Moja najdroższa dziecino, nie zobaczymy się aż w niebie... o Boże!“ — i duch jój uleciał spokojnie, jakby zasnęła.

II.

W Pomeranji leży nad morzem Bałtyckiem sławny zamek i miasto Kołberg czyli Kołobrzeg. Do niego przyjechała zacna pani, chorążyna Wulkowska, z dworem swoim, chcąc używać letnich morskich kąpeli dla poratowania zdrowia. Towarzystwo jój składało się z kilku dam, i najęła sobie mieszkanie z widokiem na morze. Obszerne komnaty napełniły się familijnymi gośćmi, bo przybył na odwiedziny żony sam chorąży Wulkowski, szlachcic starój daty, człek czerstwy, dowcipny, wesół. Na wstępie zaraz spostrzegłszy małą dziewczynkę z zawiniętém okiem, pyta się naiwnie: „a co mi znowu srocзка zdespeciła, że patrzy jedném okiem?”

„Cieleca nóżka,” odzywa się żona. — „Jak to, kopła ją jałowica?” — „Juźcić tak niezręcznie, że wyleciało oko.” — „Ej sroczko!” pogroził palcem, „pokaż no, a odwiń chusteczkę.” — „Wujcio się niech nie gniewa, proszę, bo to dobry znak.” — „Jak to?” — „Juźcić dobry, bo mi drugie oko nie potrzebne.” — „Czyś w obłędzie dziewczę?” — „Bynajmniej wujciu, wie Pan Bóg co robi.” — „Jak ty na Pana Boga swawolę składać będziesz, to cię więcéj ukarze!”

„Jam więcéj winna,” odpowiada chorążyna, „oto wybierając się do kąpiel, kazałam przysposobić na drogę trochę mięsiwa. Kucharz stroił cielecinę, oberznał nóżki, położył, a moja Magdulka nie pytając się o pozwolenie

wbiegła do kuchni, zobaczywszy nóżki cielece, nuże bierze nożyk i kraje. Ugrzął nożyk mocno w nóżce, ona go wydobywa siłą i tak niezręcznie, że pociągnawszy w mgnieniu uderza ostrzem sobie w oko, aż wyleciało.“

„Ach dla Boga!“ krzyknął Wulkowski, „wolałbym nie słyszeć o podróży do Wilna, bo miłościwy król siedzi i siedzi w tém Wilnie, a tu na wszystkie boki drą Rzeczpospolitę; na co tej politycznej miękkości! Zwołać pospolite ruszenie i wyćwiczyć Infanty, niech się nie rewoltują; dać odprawę Moskwie, niech nie brózdzi; a Szwedów raz zapędzić za morze, niech nie najeżdżają naszej granicy... a tu nic a nic!... Duszenko, Magda-lenko, bardzo cię bolało?“

„Troszkę, mój wuju.“ — „Biedna sierotko!“ pogłaskał dziewczynkę po twarzy, „tego kucharza każe obwiesić, na co pozwolił tykać się, co do niego należy.“ — „Odprawiłam go mężu, wypędziła na siedem wiatrów za to nieszczęście.“ — „To nic, ale jak się ojciec dowie, albo też Anusia!“ — „Nie wiedzą o tém?“ — „Truchleję, co oni sobie pomyślą! Dziesiątał mnie brat, uważaj też na tę sierotkę, bądź jej matką, przyrzekłam, poprzysięgłam, że jej włos z głowy nie spadnie, a tu takie zmartwienie.“

„I czemużeś mi nie dała znać o tém nieszczęściu?“ — „Mówię otwarcie, od zmysłów odchodziłam ze zmartwienia, zachorowałam sama, trzęsę się cała, lekarze mi poradzili zażywać kąpieli na wzmocnienie nerw, wyjechałam nad morze, i dopiero stąd pisałam ci, przyjeżdżaj jak najprędzej.“ — „Jak tylko przybył goniec, nie pożegnałem się z nikim, jeno uciekł powiem *inco-*

gnito z Wilna, bom przeczuwał, że się tu coś stało niepokiesznego, a tu masz zmartwienie.“ — „Niech się wujcio nie martwi,“ powie Magdusia, „stało się z dopuszczenia boskiego.“

„Widzisz,“ rzecze matrona, „jak pocziwe dziecko, poznałam na wstępie zaraz jęj złote serduszek, w pierwszych dniach po pogrzebie matki przywiozłam ją do siebie, miałam wiśnie na talerzyku, owoc ten świeży zwabił oczka; Magdusia wzięła sobie parę, anim uważała, czy tam której brakuje, a ona za chwilę przynosi te wisienki i mówi, oddaję cioci te wisienki, którem wzięła bez pozwolenia, bo mi serduszek mocno biło, na com po nie sięgała. Tak mnie ujęła tém postępowaniem, żem ją zcałowała i nazwała córką moją.“ — „A chodź-no do mnie aniołeczku, niech cię uściskam sierotko, nieodrodną córką jesteś twęj matki,“ i przytulił do piersi dziecinę.

Wulkowski chodził jak struty kilka dni; mało jadł, tylko był zamyślony. Sierotka krzątała się zawsze koło jakiejś posługi, to szyła ozdóbki na figurki, wiła bukiety, ozdabiała obrazki, bez szemrania, ani szczebiotania jak dziewczuszki młode zwykły, zawsze skromna, stateczna, nie utyskując na ból oka wcale. Mówiąc klęcząco paciorek dodawała na ostatku: „Boże mój, pociesz też wujaszka i ciocię, by się nie turbowali.“ — Słyszał tę modlitwę Wulkowski. „Cud boży,“ mówi do małżonki, „co z tego dziecka będzie!“

„Nie turbuj się, będzie wojewodzianka, nie będą na oko uważali; jeno na cnotę, której w naszym wieku rzadko; ostyga wiara, znika pobożność, będę się starała

podniecać w młódem sercu tę pobożności cnotę; choć ją Bóg na jedném upośledził, może na drugiem sowicie wynadgrodzi. Otoż nieboszczka, kobieta dobra, uczciwa, wzorowa matka i małżonka, przecie miała słabość świata, przywiązując wielką wartość do klejnotów, a to marność; okradli ją złoczyńcy i życiem ten żal zapłaciła; gdybym była wprzód wiedziała, darowałabym jęj moje klejnoty; lecz co się stało, odstać się nie może. Gorszy brat, on przysiągł, że musi wysledzić złodziei i ukarać przykładnie. Na cóż owa przysięga? Zemsta mu nie wróci żony, przepadło.“

„Moja Imość, sprawiedliwość musi być wymierzona, nie nie pomoże, inaczejbyśmy nie istnieli. Biję się sam z myślami, co począć, czy mu pomagać do wysledzenia czyli nie.“ — „Gdybyś mógł, i owszem, zagoiłaby się przynajmniej jedna zgryzoty rana.“ — „Mnie się zdaje, że jeżeli Niemcy byli sprawcami, najlepsze byłoby porozumienie się z Wejerem, on mając pod sobą niemieckie knechty, zna ich język i usposobienie, objaśniłby najlepiej o jakim wątku, bo nasi nie posiadają tyle wykrętów.“

„A to dla czego z Wejerem?“ — „Musiałaś słyszeć przecie, że on się stara o Anusię.“ — „Plotki.“ — „Bynajmniej, relata refero.“ — „Idź mi z twoją łaciną, tego nie rozumiem.“ — „Czyją szczekę po wsi wlekę,“ ośmiał się po pierwszy raz Wulkowski. — „Czemu taili przedemną?“ — „W smutku pogrążeni nie myśleli pewno o tém.“

„Cieszyłabym się znając tego zucha, śliczna postawa, edukacja wielka, powaga śmiała, do tego zna-

czenie i majątek. Mógłbyś się przejechać i zasięgnąć ze dwóch względów języka.“ — „Rozumiem.“ — „Ja tu nie myślę bawić długo; co ci lekarze upatrują w morzu! Woda nie czysta, gorzka, nie do użytku, do tego zimne powietrze z zamorza dmucha, często wdziewaj kożuszek.“ — „Jeżeli tak, jedźmy do Wulkowca.“ — „Nie przyjechałam po ogień, wyśmialiby mnie.“ — „Więc pojedę do Mortęgi naprzód.“ — „A to dla czego, brata ani w Lubawie ani w Mortędzie nie zastaniesz; on w żalu nieukojony, musiał pojechać do Kostków do Gdańska, zapraszali go okropnie.“ — „Tém lepiej, do wiem się w Gdańsku, gdzie obecnie Wejer.“

Pożegnał rodzinę i odjechał. W Gdańsku zastał Majchra Mortęgę u Kostków; stary w smutku pogrążony zgarbił się. Wulkowski po przywitaniu krzyknął: „A cożes tak na kwintę spuścił, ja mospanku choćby się na mnie cała zwała Szwecja, naprzód chorągiew i wjo im wprost na karki. O weselu myśl, będziemy walić podkówkami, aż ziemia się zatrzęsie pruska a Bałtyk będzie toczył fale.“ — „Jakiś mi tam zuch z podwiązaną nogą.“ — „Nie pamiętasz, jak my sobie w Toruniu cięli? masz trzy dziewczki, jeszczebyś się turbował! do jednej ucina Wejer, do drugiej Żaliński, a do trzeciej zjadą się wszyscy wojewodowie.“ — „Powiedziałbym ci,“ otrząsł się Mortęga, „szczekaj pysku nie potrzebnie, kiedyś nic nie wypił, bo by cię nikt nie przegadał, żebyś wlał przynajmniej garniec w siebie.“

Zaczęli się wszyscy śmiać. — „Żart na bok, ale powiedz mi, czy się zeswatasz z tym Wejerem lub też on puszcza takiego baka? bo wiesz, z Andzi nie dał-

bym sobie żartować, dziewczka jak ulana.“ — „Co!“ przerywa Kostka, „Wejer ucina do waszej dziewczki? dać mu zamrużyć oczy.“ — „Tak myślisz wojewodo?“ — „Jeszcze się namyślać, a to znowu! Wejer wojak jakich mało; któryżby z nas potrafił między Niemcami rej wodzić i trzymać ich w kordzie, jak Wejer umie; to głowa, u miłościwego króla w wielkim jest respekcie; nazbierał 600 knechtów niemieckich i niemi bije, ale bije.“

„Jak to ściany uszy mają! Raz widział moją Andzię w Chełmnie, a drugi raz na Malborgu, czy tam pomówili do siebie oczyma, nie wiem, ale musieli, kiedy Wejer rozgłosił, że się będzie starał usilnie o moją dziewczkę.“ — „Dać mu,“ krzyknie Wulkowski, „bez namysłu dać, on pewno wysledzi złoczyńców, którzy cię przypawili o tak wielką stratę.“ — „Hoho! jak rozleźli się po świecie... Potrzebni byli tutaj w Prusiech?“ — „Mam przecucie, że Wejer wywietrzy, bo nakaże swoim i oni znając swoich trudniących się rabunkiem wskażą na nich, a złapawszy jednego, gdy go się weźmie na tortury, wyśpiewa jak słowik w gaju, gdzie reszta.“ — „Przemądrys szwagrze, Wejer obecnie pojechał na Rewal do Infant, chciałoby ci się lecieć tak daleko?“ — „Byłem na Wołowskiej granicy, a do Rewla bym nie trafił, he, he.“

Nie domówił tych słów, a tu wchodzi Wejer. — „W imię Ojca!“ krzyknął Wulkowski, „o wilku mowa a Waś tu, magnes go ciągnie, nie prawda?“ — Wszyscy w śmiech. — „Nie trafiłem, hę? hoho, nie nazywałbym się Wilkowski.“ — „Pan chorąży stroi za grube

żarty.“ — „Na grubsze się zanosi, mój Wejerze;“ pokazuje mu piętę, „widzisz, umyślnie kazałem sobie podkuć stałą, bo wnet zaśpiewam: podkóweczki dajcie ognia, bo Anulka tego godna.“

Wejer mimo woli roześmiał się. — „No, nie trafilem?“ skoczył Wulkowski, uchwycił Wejera za serce: „palpitacja panowie! dajcie w..., wina nie wody, bo będą wnet gody!“ i obrócił się z Wejerem. — Goście nabrali humoru, zaczęli klaskać w ręce: „dalej panie chorąży!“

Mortęga siedział niemo, nareszcie wstał, idzie do Wejera, chwyta go za rękę: „Waśc wpadł jak Piłat w Kreda na języki ludzkie, a sam temu winien.“ — „Dla czego?“ — „Hm.“ — A Wulkowski wyręcza szwagra mówiąc: „Otóż słyszeliśmy, że myślisz,“ i przytknął usta do jego ucha, „o Anulce.“ — „No, no, tylko głośniej,“ przerywa Kostka, „ona tu jest, przyjdą razem wszystkie, proszę zająć miejsce, niech nam Waśc powie, co tam na Rewlu nowego.“ — „Przeciem nie gołąb, abym za dzień tyle mil przeleciał, wróciłem się, zapomniawszy...“, a Wulkowski przerywa: „serca.“

Znowu śmiech, który przerwały kobiety wchodząc do gości: pani wojewodzina z córką swoją i dwoma córkami Mortęskimi. — Były to śliczne dzieci, jak różyczki w pełni. — Panowie powstali, Andzia z Elżbietką lecą do wujaszka, witają go serdecznie: „Wujciu kochany, co tam Magdusia porabia?“ — Wulkowski stracił humor, posmutniał, bijąc się z myślami, czy powiedzieć prawdę, lub zataić nieszczęście; po pauzie rzekł: „Odjechała z moją Imością do kąpiel morskich

do Kolberga, moja Imość jakoś kwięka, nie wiem co to będzie dalej.“ — „Doprawdy?“ pyta Mortęga, „czy się już wszystkie nieszczęścia sprzysięgły na rodzinę Mortęgów! ja kwiękam, siostra także, niechżeby mi, niedaj Boże, zachorowały jeszcze dzieci, urwij sobie głowę.“

Damy proszą do drugiej komnaty na posiłek; wszyscy kontenci, jeden tylko Wulkowski odmawia wprost i wyraża się szorstko: „Kością w gardle by mi stanęło, przepraszam.“ — Popatrzyła się na niego wojewodzina Kostkowa: „Ani sandacza, ani minogów i Tokaja nie?“ — „Waszmość daruje,“ podjął pod ramię i prowadzi ją do kącika, wyszeptał o Magdusi.

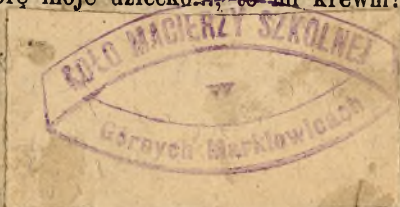
Kostkowa mimo zapewnienia, że nie zdradzi sekretu, mimo woli westchnęła: „Rany Boskie!“ i syła okropnie. — Wejer się zbliżył: „Co Imości?“ — „Swoją kłopot, nieszczęście, musi Waść wiedzieć, z jakiego powodu zgasła Mortęgowa.“ — „Wiem, że umarła nagle, nie byłem bo nie mogłem zdążyć na pogrzeb, rabusie ją zmordowali.“ — „Nie Waści! ukradli jej klejnoty, ona się zafrasowała.“ — „Jeżeli o to szło tylko, dzie sięć takich dałbym zaraz, albo mnie to nie stać?“ — „Wie Waść, podejrzenie pada na niemieckich knechtów, wałęsaczy, zapewne owych włóczęgów, co się zaciągają za pieniądze do wojska i wędrują raz do Szweda, znowu uciekają do Moskale, macie ich w Infantach, i u nas nie brak.“ — „Nie nazywałbym się Wejerem, żebym ich nie wyszedził.“ — „Dla Ani to Waść uczyni, ona pewno będzie najkontentniejszą.“ — „Pst!“ mówi Wejer, „chodźmy.“

Weszli, — tu stał stół dębowy zastawiony srebrnemi półmiskami, dzbanami, puhami, na środku leży róg duży oprawny w złoto. — Wejer zamiast sięgania po ryby lub mięsiwa, sięga po róg myśląc, że to róg myśliwski, bo był zapaleńcem łowów, — a tu się śmieje Kostka: „To mi zuch, zaraz bierze się do rogu,“ nalewa mu ze dzbana wina, „wypij Waś kobiet zdrowie,“ — Rogu było z łokieć, a wlało doń butla wina. — Wejer intonuje zdrowie grona niewiast, a patrzy się na Anię, która pokryła się rumieńcem; a grono krzyczy: „jeno duszkiem!“ — Wejer rzekł: „dobry wojak nie nie pyta,“ i wychylił. — Wszyscy krzyknęli: „Vivat!“

Zwykle wino rozwiewuje języki, tymczasem inaczej się stało. Kolejny róg rozgrzał wprawdzie mózgownice, bo i Mortęga nabrał humoru, ale tym właśnie humorem zakwasił towarzystwo, gdy mu Wulkowski przymawiał, aby córkę wydał za Wejera koniecznie. Tupnął nogą: „ej co, Mortęski ma się wiązać z jakimiś frejerami... bejer, rejer, drejer, wszystko na ski, nie pozwolę i basta.“ — „Mortęga!“ pogroził Wulkowski, „nie rań serca kawalerowi, skoro w respekcie u Miłosiwego Króla naszego; wiesz czém to pachnie?“ — Mortęga pokazuje mu palcem prawe oko: „wolałbym go wydrzeć Anusi, niżeli...“

Tój scenie przypatrywała się wojewodzina, a Wulkowski nie mogąc wytrzymać rzekł z sarkazmem: „to będziesz miał dwóch ślepców.“ — „O rany, co Wasze mówi!“ rzecze wojewodzina. — „Stało się, niech wie. „Otoż ojcie, Magdusia postradała oko,“ i upadł na ławę z rozkrzyżowanemi rękoma. — Wojewodzina leci do

dziewcząt z płaczem: „oh stało się, stało, biedna sierotka ociemniała! już wyplotł ojcu Wulkowski.“ — Panny w bek okrutny, — nastąpiła wrzawa. — Stary Mortęga załamał ręce: „ach dali mi, dali!“ upadł i on na ławę krzycząc: „Nieszczęścia zawsze chodzą w parze! pójdę, odbiorę moje dziecko, — to mi krewni!“



Król szwedzki Eryk ostrzył apetyt na Inflanty, bo też Moskwa już tam wpadała na rabunek. Król Zygmunt August dowiedział się o tym apetycie; chcąc zabezpieczyć się przed najazdem, posłał tamże swoje wojsko nawerbowane, złożone przeważnie z knechtów niemieckich, wybrał też stosownego wodza Ernesta Wejera, i przeznaczył mu obronę Rewlu jako najobronniejszego punktu. — Wejer lubo wódz dzielny, nie wiem co mu się stało, że leniwo brał się do rzeczy. Często wyjeżdżał robiąc ekskursje, a pędziła go ztamtąd miłość Anny Mortęgowny. Zakochany po uszy chciał koniecznie zamienić pierścień ślubny z tą szlachcianką. Wiedząc, że mu ojciec nie sprzyja, szukał sposobności zjednania sobie go przez krewnych i znajomych. Wiedział on dobrze, że Żaliński sędzia Tucholski ma słowo dane i z pewnością się ożeni z młodszą siostrą Anny, Elżbietą; więc zrobił do niego wycieczkę. — Tucholski sędzia był człowiekiem nader miłym i uprzejmym; poznał go

widząc parę razy w Chełmnie i w Gdańsku; przyjechał tedy incognito do Tuchola, i zastał Żalińskiego.

Po przywitaniu się zaczęli z sobą o stosunkach Rzeczypospolitej rozmowę. — „Waść podobno na widcie w Inflantach.“ — „Tak sędzio.“ — „Coż Waść sądzisz o Szwedach, dla czego oni plądrują nasze kraje?“ — „Czy mam powiedzieć bez ogródki?“ — „Nikt nas nie słyszy ani zdradzi.“ — „Otóż książę finlandzki chce pukać o królownę naszą Katarzynę, namówił tedy brata swego króla szwedzkiego, by najeżdżał Inflanty, i celem zażegnania burzy ma być wesele.“ — „Tak to?“ — „A tak, bo i moskiewskiemu się podoba nasza królowna, on w tym samym celu najeżdża polskie kraje.“ — „Ciekawym, który dopnie celu?“ — „Ten co więcej nabiera przyjaciół.“

„Haha! żeby król wiedział, pewno by ją nie dał ani temu ani owemu, bo mając tam Waści, może się spuścić na niego, że wyćwiczy Szwedów doskonale.“ — „Gdybym miał samych Polaków pod sobą, pewnobym obydwóch odgonił, ale Niemcom wierzyć nie trzeba, i ja tym Meklenburgom nie wierzę; król im powierzył niektóre zamki, oni niepewni.“ — „Tak? dziwuję się, dla czego księcia Meklenburskiego zrobili koadjutorem arcybiskupa Rygi?“ — „I wielcy strzelają bąki, małym się nie dziwmy; ja pierwszy do nich należę,“ mówi Wejer.

Żaliński się popatrzył na gościa i uśmiechnął, potem się odzywa: „Nie żałuj Waść, wszystko będzie dobrze.“ — „Sędzia wie o moich przygodach?“ — „Waść gody nazywa przygodami, to mnie bawi.“ — „Gdyby

to były gody, cóż by mi trzeba!“ — „Będą, jeno powoli, bo muszę powiedzieć otwarcie, że Ania Waści sprzyja; że ojciec ma insze zapatrywania, one się zmieścić mogą.“ — „Cieszyłbym się, gdybyśmy byli szwagrami; tylko ojciec po takim kłopotcie utracił żonę, nie dziwota, że nudnym, lecz mówię, że tych łotrów wykryć muszę i w tym celu wybieram się do Malbarga.“

„Jakże Waść sądzi, kto mógł być zbrodniarzem tych klejnotów.“ — „Podejrzewa Niemców.“ — „Jest w błędzie; ja podejrzewam domowników, nikt inszy tylko własna służba, z przyczyny, bo po śmierci wszystka czeladź się oddaliła. Śledzić kazałem za niemi; pokojowa w Lubawie mieszkając ubiera się nad stan, kawalerji miejskiej masa u niej bywa, a rodzice jej byli biedakami, więc skąd?“ — „Jak też sprzedała klejnoty!“ — „Znajdziemy ich wszędzie za nią. Długo Waść zabawi?“ — „Podług upodobania.“ — „Kiedy tak, jedźmy obaj, Mortęski w Gdańsku, jeżeli wykryjemy, odwiedzimy go a ucieszy się starowina.“

„Przyznam się, byłem w Gdańsku, właśnie ztamtąd jadę i spotkał mnie fatalizm, odmowa.“ — „Śmiej się, stary zmięknie, bo on sam sobą nie rządzi, zaślepiony w dzieciach, kocha je okropnie, co one chcą, to czyni.“ — „Kiedy go spotkała okropna przygoda.“ — „Drugie nieszczęście?“ — „Wiesz sędzio, truchleję, Magdzia oko straciła.“ — „Dla Boga! u Wulkowskich?“ — „Tak, sam Wulkowski przyznał i desperują obaj.“ — „Jedźmy do Gdańska natychmiast.“

„Nie mogę, muszę wracać na Rewal, tylkom przybył z prośbą.“ — „Wszystko uczynię co w mojej mocy,

daję słowo szlacheckie.“ — „Przebłagaj starca, niech mi nie odmawia Andzi.“ — „Andzia twoja, będziemy szwagrami, daję szyję, wiem o woli nieboszczki mamy, ona powiedziała, aby Andzia była Wejerową.“ — Wejer uściskał Żalińskiego po bratersku. — „Lecz jeden kładę warunek Wejerze, nie posądzam cię, ale być może, że posiadasz jakie wątpliwości religijne, które dziś są w modzie; mówię ci to dla tego, bo Anna jest religiantką, a najmniejszą wątpliwością mógłbyś zranić serce takiej żony.“ — „Przysięgam ci, że wiernym jestem kościołowi, a przekonasz się, żem zdolen ponosić wielkie próby. Nie odbywam też tajnych miłostek, jestem sobie otwartym, wyczytałem tylko w oczach Anny sympatję, a ta mi wystarczy.“ — „Chwalebnie kawalerze.“ — „Jedź ze mną na Malborg, nie zabawisz długo, a będzie mi wesoło i może coś ułowimy.“ — „Zgoda,“ — i pojechali.

Sędzia Żaliński należał ówczesnie do zawołanych mecenasów w sprawach arbitralnych, lecz karne z wysłędzenia *alibi* nie mogły się pomieścić w jego prawniczej mózgownicy. Bębnił też zaraz na wstępie przed urzędnikami grodu, że musi wysłędzić zbrodniarzy będących przyczyną śmierci Imci podkomorzyny Mortęskiej. — Śmiali się poza plecyma, co słysząc pisarz kasztelański, wtrąca się do dysputy: „My tu więcej mamy sideł na podobne ptaszki, a trudno złapać takich czyżyków, oni nie należą do śpiewających, jeno żarłocznych, drapieżnych, podobnych sępom.“ — „Założę się, mam alibi.“ — „Ani dwa alibi nie potrafią dać tropu.“ — „Dla czego?“ — „Bo mamy z Niemcami do czynienia, rozu-

mie sędzia!“ — „A ten,“ pokazuje na Wejera, „nie potrafi przejrzeć na wskrós Niemców, hę?“

Pisarz zmierzył wzrokiem wojaka, wstrząsnął ramionami. — Wejer się roześmiał: „Niema sędzio interesu, wszyscy tutaj mają zamglone mózgownice, chodźmy,“ i wyszli ze zamku. — Śmiali się też urzędnicy: „No, jeżeli Mortęga powierza sprawę podobnym mecenasom, godzien pożałowania, lecz aby wiedzieli, że nie mamy zamglonych mózgownic, więc ja biorę tę sprawę na siebie i wysledzę zbrodniarzy.“ — „Cieszyłbym się,“ mówi podsędek, „tylko wynaleź aspan stosowne alibi.“ — „Muszę się udać na miejsce czynu, bez tego ani rusz.“ — „Więc aspan jedź do Mortęg.“ — I pisarz tego samego dnia wyjechał.

W Mortęgach mieli Mortęscy swój zamek, była to budowa ogromnych rozmiarów, z dwóch tylko stron mająca przystęp. Pisarz obejrzał i rzekł sam do siebie: tu obcy złodzieje nie mogli się dostać bez porozumienia się ze służbą. Wchodzi do pierwszej baszty, ona zamknięta, puka i puka. — Wychodzi z kluczami odźwierny, człowiek wiekowy, odemknął aż zgrzytło: „Co Waszeć żąda? podkomorzego nie ma w domu, ani dzieci.“ — „O daremna moja daleka droga, a mam ważne listy do wręczenia Jegomości podkomorzemu, z Malbarga.“ — „Szkoda, on w Gdańsku, tam wyjechał.“ — „Mocny Boże! człek zfatygowany, co tu począć?“ — „Odpocznij sobie aspan, dam wygodne spanie i strawne, co Bóg nagodził.“ — „Marszałka nie ma?“ — „Razem z podkomorzym wyjechał, ja sam zawiaduję zamkiem.“

Pisarz się rozgościł w obszernej komnacie; wieczorem przynosi mu odzwierny jedzenie i picie. — „Siadaj-no stary, przykrzy mi się samotnemu, nauczonymu zawsze w towarzystwie.“ — Usiadł staruszek, klucze trzyma w ręku. — „Coż tu słysząc?“ — „Nie wiele nowego na Mortęgach, szkoda Imości, że umarła, a była to przedobra pani.“ — „Zmarło się jój, oj szkoda, czy długo chorowała?“ — „Gdzie tam, za w imię ojca już jój nie ma.“ — „Tak nagle! a cóż się jój stało?“ — „Różnie tam gadają, ale komu wierzyć.“

„Napijno się ze mną wina.“ — „Jeżeli łaska.“ — „Masz wino pod swoim kluczem i nie pijesz?“ — „Bóg mnie za to nie skarże, co pańskie niech będzie pańskie, do winam nie stworzony, razem się upił na chrzcinach najmłodszej Imościanki, odchorowałem, bo idąc potknąłem się i wybił sobie oko, od tego czasu ani mi pokazuj wina.“ — „Może gdańskówkę lubisz.“ — „Mam ją tu, ale nie zazieram do niej, bo łatwo się zawrócić, a tymczasem mógłby się kto niepoczciwy na zamek dostać i wyrzucić psotę.“ — „Dziś nas dwóch, więc dla kompanji.“ — „Dziękuję, wolę wodę.“ — „Ja się napiję, bom trochę zeziąbł drogą.“

Pisarz nalał kielich, wypił, przejadł wędzonki: „Smaczna ani słowa.“ — „Jeszcze ją dawny kucharz sporządzał, alebym jój się nie tknął.“ — „Dla czego?“ — „Ej, bo tam mówią, że on umiał zaprawiać potrawy,“ i zamilkł. — „Wierzę, te kucharze, mają jakieś zawsze gusła.“ — „Wie aspan, co się wykłuwa?“ — „Ciekawym?“

„Ow kucharz siedzi obecnie w Lubawie, był tam u niego owczarz dworski, bo mu winien trochę groszy, zanocował. Nie każdy co chrapi, to spi. Kucharz przyszedł w nocy do domu napity, krzyczy na żonę: daj jeść. Żona mówi: gdzieżeś się znowu włóczył, zawsze ci obce smakuja. Kucharz zgrzytnął zębami, jak porwie kobietę za włosy i czubi, ona krzyczy: łotrze pijaku, pachną ci kochanice, pójdiesz na hak, boś otruł panią. Owczarz ani trunął, jeno chrapi. Kto tu taki? pyta kucharz żony. Przyszedł owczarz po dług. Kucharz budzi go: wstaj! on wstał, przeciera sobie oczy. Jak się macie Łukaszu? Żle, nie mam pieniędzy. I ja nie mam. Poczekam rzecze owczarz, jeno dajcie termin, bo długo czekam. Wstaj żono, co się maślisz, zawsze cię ten łeb boli, ugotuj-no co dla gościa! Jużem dała wieczerzę, mówi żona. To się napijemy. Nie piję, mówi owczarz, ksiądz krzyczy, wolę unikać złego. Jakiś mi tam święty, ksiądz od tego aby gadał, a my od tego abyśmy się bawili; idź żono, przynieś co, nie puszcę na sucho gościa. Żona poszła, owczarz był w strachu, by czém złém nie zaprawili trunku, wymyka się powoli na dwór, i uciekł; przyszedł do mnie onegdaj i opowiada. Włosy mi stają na głowie; jeno Jegomość nadjedzie, to mu powiem.“

Pisarz wypił jeszcze wina, chodzi po komnacie zamysłony: „Nie mógłbyś mnie dziś odprowadzić do owczarza?“ — „Mieszka na wsi dosyć daleko, odejść ze zamku niepodobna.“ — „Masz przecie kogo przy sobie?“ — „Jeno stróżów na noc dwóch przychodzi, którzy spią ze mną razem.“ — „Więc mi daj jednego za

przewodnika, zapłacę mu sowicie.“ — „A aspan co za jeden, bom się nie pytał.“ — „Jestem urzędnik królewski z grodu Malborka.“ — „Ej Wacpan też nie pytaj ani nie mów nikomu, cośmy mówili z sobą.“ — „Dla czego?“ — „Bo ten kucharz mógłby się na mnie i na owczarzu zemścić.“ — „Prawda, tacy ludzie niebezpieczni, może też staruszkę macie familję, było by was szkoda.“

„Jegomość, mam wnuki nawet i cieszę się z niemi, że im Bóg błogosławi, służą wiernie we dworze, pracują, szanują starszych.“ — „Chwalebnie, ale mój staruszkę, słyszałem, że tu popełniono kradzież, nie wiem czy prawda?“ — „Jegomość, jak kto nierozgarniony a do tego nie ma pamięci, to posądzi niewinnie niejednego. Nieboszczka Imość, wieczne jej odpoczywanie, w nocy nie wolno rozprawiać o umarłych, miała bardzo pamięć krótką, nieraz posądziła o niejedną rzecz, a potem się znalazła; tak było korowodu o naszyjniki, aż z tego zachorowała, my zachodzili wszyscy w głowę, kto ukradł, aż ja dnia wczorajszego chodzę po komnatach, ścieram prochy, wymiatam, znajduję pod szafą te same, pokażę Jegomości.“

„Niepodobna!“ — „Przecie nie zapieram, jeno mówię jak święta prawda; Imość miała psinę, taka była despetna, że co tylko zobaczyła, zaraz porywała i myk gdzie do dziury. Któżby wewłókł pod szafę, kiedy tam nikt nie wlezie, jeno owa psina.“ — „Gdzież ona?“ — „Najmłodsza dziewczuszka Magdzia wzięła ją z sobą do swojej cioci Imości Wulkowskiej i tam jest.“ — „A to zabawne.“ — „Ucieszy się Jegomość, jak mu pokażę

te wojki.“ — „Możemy teraz iść spać.“ — „Aspanu się mrużą oczy, zamknę drzwi, i pójdę do bramy, spoczną i ja, a stróże będą czuwali. Dobra noc!“ i odszedł starowina z komnaty.

Pisarz niezmiernie kontent z odkrycia śmiał się w duchu z sędziego: „szukaj,“ pomruknął sobie, „wiatru po świecie, a ja sobie utnę drzymka.“ Położył się i zasnął.

IV.

Król Zygmunt August wysiadywał w Litwie; Wilno było ulubionym dla niego spoczynkiem, nie mógł zapomnieć swęj żony Barbary Radziwiłównęj, zgasłej tak wczesnie przez intrygi jego własnej matki, królowęj Bony. — Doniesiono mu, że biskup Łaski, co się był ożenił w Anglii, umarł. — „Nie wielka szkoda,“ rzekł śmiejący; „gorsza o to, że znowu Moskale plądrują Inflanty, kogoby tu na nich posłać?“ zapytał dworzan. — „Wejera Najjaśniejszy panie!“ — „Jego mam na kogo inszego, ale tam Połubiński lepszą kurtę Moskałom skroi.“ — Nie omylił się monarcha, bo pod Marjenburgiem wyćwiczył Moskali, zabrawszy wojewodę do niewoli, a król się śmiał zobaczywszy jeńców: „Nie miałem racji?“

Szwedzi jednak nie spali, przemyśliwali ciągle, jakby dokrupić Polakom i zabrać im Inflanty. Król pol-

ski wiedział o tém przygotowaniu, dla tego posłał dowódcę dzielnego, Wejera, na Rewal jako punkt najobronniejszy. Wejer miał pod sobą zbieraninę knechtów niemieckich, czyli ochotników za pieniądze. Istotna zbieranina różnych usposobień i obyczajów. Wejer trzymał ostro tych woluntarjuszów, nie pozwalając im wycieczek z zamku ani bywakowania z mieszczaństwem, które po części było zepsute i niemoralne, a nad wszystko pijackie. Lecz dyscyplina trwała tak długo, jak widzieli wodza; on bowiem robił częste wycieczki cichaczem, spuszczaając nadzór na niższych oficerów, ci zaś będąc po części Niemcami, za panie brat hulali z żołnierzami i mieszczaństwem. Wejer właśnie był pojechał ku Gdańsku, aby się zobaczyć z ulubioną Anną.

Żołnierze w zamku Rewalskim zrobili sobie bene, zostawili tylko strażę, a po części wszyscy udali się do miasta na hulankę. Mieszczaństwo częstowało ich nad podziw trunkami, było także Polaków niemało, i pili sobie według stariej daty za darmo. Dwóch oficerów, podchorąży i porucznik należąc do trzeźwych chodzili także po mieście i przypatrywali się, co się dzieje.

„Wiesz co,“ rzecze podchorąży młody chłopak do porucznika, „na jaką to intencję dziś taka pohulanka?“ — „Dziewki zwyczajnie szaleją za żołnierzami, bo ich Wejer trzyma zamkniętych, a właśnie go niema, więc dorwali się z dwóch stron, i przypatrz się, jak się gmin całuje z niemi.“ — „Ej poruczniku, by to nie było jakie obalamucenie; widziałem tu kilka nieznanomych twarzy, znam przecie pruski szlag ludu, znam tutejszy, znam litewski; a to nie podobni ani do tych

ani do owych.“ — „Może moskiewscy szpiegi.“ — „Być może, śledźmy-no za nimi.“ — „Dobrze.“

I poszli od knajpy do knajpy udając amazonów pijanych; śpiewają razem z mieszczaństwem, całują się po bratersku. Przypatrywały się téj scenie amazonki, im była skoma, nuże przymilają się oficerom; oni też nie odrzucają całusów. — Podchorąży uczepił się czar-nobrewój miejskiej, pohulał obertasów kilka z nią; dziewczyna się rozpałała, nuże oświadcza mu swoje amorki; podchorąży przyjmuje za dobrą monetę oświadczenie i mówi: „chciałbym poznać twoich rodziców.“

„Mam ojca i matkę, mały dom własny i w szkautule złoto. Ot właśnie tamten łysawy w siwój kapocie, co popija piwo, mój ojciec, bobym sama tu nie przyszła nigdy.“ — „Zaprezentuj mnie moja Ofko ojcu.“ — Dziewczyna porywa pod rękę i prowadzi przed ojca. — „Alem się wyhulał z waszą Ofką, tatulu, nie miejcie sobie za przykre.“ — „I owszem dziękuję podchorążemu, siadaj proszę;“ nalewa ze dzbana piwa i podaje.

Podchorąży wychylił. — „Coż nowego tatulu, bawicie się jak na weselu?“ — „Gdybym się to doczekał wesela, nazwałbym się szczęśliwym; ale za mieszczańskiego syna niema ochoty... ładne dziecko, sam Waszeć widzi, do Boga i ludzi, a młode jeszcze, bo ledwie 25 liczy.“ — Ofka spojrzała na ojca i na podchorążego, ojciec zrozumiał pragnienia córki: „Gdyby to taki, jak Waszeć, trafił się méj córce, mówię otwarcie, dałbym kilka kóp talarów, a czerwonych nazbierałoby się na worek skórzany.“ — „Ktoby tam patrzył na pieniądze,

ja jak sobie dziewczkę upodobam, nie będę patrzył na złoto, bo ono przemijające, jeno na serce.“ — „Moja Ofka ma serce złote, zaręczam, nigdy nie widziałem ją jak żyje zagniewaną, a pracowita co się zowie.“

Podchorąży się roześmiał do porucznika siedzącego obok, i rzecze: „Tatulu, gdybyście byli grzeczni, a nie odmówili progów waszych, przyszedłbym na odwiedziny.“ — „Jeżeli łaska, to można zaraz; Ofko idź naprzód do domu, niech tam matka przysposobi się na gości.“ — Ofka pobiegła rozpromieniona, mieszczanin poprowadził oficerów do swego mieszkania. — Mieszczanie przypatrywali się téj scenie. — „Wejsa idzie z Lachami,“ mówili do siebie, „co to jest?“ — „Idź,“ rzecze drugi, „by...“ i uciał językiem zachowując milczenie.

Prawie się skryli w sieni Wejsy, podchorąży się obziera, a tu widzi fizjonomję obcą. — „Stańcie-no tatulu,“ rzekł do gospodarza, „co to za jedni, co się nam przypatrują?“ — Wejsa się obziera: „proszę no do siebie.“ — Ofka prawie drzwi otwarła, pokazując śmiejąc białe ząbki. — Wejsa zawarł sień, wchodzi, zawarł także do izby: „Nie znacie ich?“ pyta tonem podziwu; „Szwedzi się przywlekli na szpiegi.“

„My im tu damy szpiegostwa, aż im się przyśni babka.“ — „Sami nie poradzicie nic.“ — „Czemu?“ — „Hm, czemu? bo was mało!“ — „A ich ma przyjsć więcéj?“ — „Choćby taka garstka jak was, to i tak nic...“ — Porucznik przerywa: „do kroć set, Wejera nie ma, a kto wie co się święci. Nie mógłbyś nam Wejso wyświecić, dla czego oni się tu przywlekli?“ — „Oni są handlarzami, czy zaś co innego mają na my-

śli, któż ich głowy przeniknie.“ — „Tylko Wejera, on by im tu zagrał!“ — „Wejer, znam go Waszeć, wspa-
niały ani słowa, ale czemu wyjechał?“ — „On się po-
dobno żeni.“

„Tam do kata, któraby go też chciała?“ — „Ka-
żda mu rękę odda.“ — „Tylko ja nie,“ wtrąca się
Ofka. — „Gdyby tylko on chciał,“ mówi porucznik. —
„Przenigdy.“ — „A to dla czego?“ — „Ot,“ śmieje
się Ofka, „on podobno twardy katolik.“ — „A tyś
miękką luterka, nie?“ — „Luterka, bo katolicy się
modlą do obrazów, a księża się nie żenią, taka wiara
mi się nie podoba.“

„Mylisz się Ofko, jakież to wisi na ścianie obraz?“
pyta podchorąży. — Ofka odpowiada: „portret mego
dziadzia.“ — „Wszak to nie dziadzio.“ — „Jużcić nie
żywy,“ ośmiała się Ofka. — „Tak Ofko, katolicy ma-
jąc obrazy nieżywe, przedstawiające żywych na tej
ziemi, nie czczą tych niemych rzeczy, jeno tych, któ-
rych one przedstawiają; bo i wy szanujecie portret wa-
szego dziadzi, dla tego, że przedstawia on osobę wa-
szego niegdyś żyjącego dziadzi.“

„Ej z Waścią się nie przedysputuję, zanadtoś mą-
dry; ale księża powinni się żenić.“ — „Tak sądzą
wszystkie panny; lecz kapłani katolickcy, jak apostołowie,
powinni całkiem ofiarować się kościołowi Chrystusowe-
mu, dla tego obierają celibat, by jak żołnierz za ojczy-
zną, poświęcać całe swe życie kościołowi katolickiemu,
i kapłani spełniający ten święty obowiązek są sławą
kościoła naszego.“ — „Słusznie mówi podchorąży,“ rze-
cze Wejsa.

„Niesłusznie,“ przerywa Ofka, „utrzymuję, księża wasi powinni się żenić.“ — „A Ofka powinna iść za męża,“ śmieje się podchorąży, „a jak nie pójdzie?“ — „Boże mnie zachowaj, abym starą panną została.“ — „Otoż Ofko zostaniesz nią, bo ja się myślał z tobą żenić, ale skoro jesteś inszego méj wierze przeciwnego wyznania, więc zostań starą panną, a my poruczniku chodźmy.“ — Wstali i wyszli.

Ofce dziw krew nie trysła z twarzy, tak się zarumieniła. — „Ofko coś mi tą twoją mądrością zrobiła,“ załamał ojciec ręce, „szlachcic człek honoru, szczęście.“ — „Zemsta mu! zemsta Polakom!“ — „O zemsta!“ pogroziła matka mężowi; „po coś ty Lachów tu sprowadził?“ — „Oszalałyście czy co? za co zemsta, że mu się Ofka nie podoba z wiary? nasz dziad był katolikiem, chociaż mój ojciec przystał na niemiecką wiarę; pójdę, przeproszę Polaka, niech się na mnie grzesznika nie gniewa, bo wy nic nie wiecie co się święci.“ — „Ba co?“

„Czy nam lepszy Szwed od króla polskiego?“ — „Coż sobie myślisz o Szwedzie? niech szweduje za morzem, a wara mu od nas, dobrze że nas broni król od Moskale, i od Szweda obroni z pewnością.“ — „Pst babulu koło faszki,“ śmieje się Wejsa, „za co piją mieszczanie dzień trzeci? za szwedzkie grosze, zdrajce!“ — „I czemuż nie wypowiedział podchorążemu?“ — „Świedzi mnie język? wszyscy mieszczanie związali się słowem, że wykurzą Polaków, niech nie gospodarują w Inflantach, ja mam być najgorszym.“ — „Niech wymordują do jednego,“ mówi z przyciskiem Ofka. —

„Źle masz w głowie Ofko, insza to kozera.“ — „Tato zawsze o kozerach mówi, a żadna nie świętna.“ — „Ona by się wyświęciła i tobie, jeno postap tak jak Szwedzi.“ — „Ciekawam.“

„Hm! Król Eryk ma brata, księżęcia finlandzkiego, jemu się podoba królowna polska Anna, a król nie chce mu ją dać.“ — „Do serca nie ma król prawa, tak jak i tato do mojego.“ — „Ejże, jakieście wy mądre, miłość bez grosza ostyga, nie wiesz o tém; gdybym nie miał dla ciebie posagu, nikt-by się o ciebie nie spytał.“ — „Albo to prawda, podchorążemu się spodobałam, to inszym jeszcze więcej.“ — „Pójdiesz za tego, co ja pozwolę i basta, jam ojciec.“ — Ofka się otrzęsła, jakby ją febra wzięła i zamilkła zachmurzona. — „Nie patrz zpod chmury, rozumiesz, twój gniew na nic.“ — „Zemsta Polakom i basta!“ — „Fiu fiu! oni umieją dokrupić.“ — „A jak im Szwedzi dokrupią?“ — „My odbeczemy, ale na co mi sprzeczać się z wami.“ Wstał i wyszedł z domu.

„Co ten ojciec o Szwedach myśli?“ mówi Ofka do matki, „by on też nie należał do mieszczan źle myślących; z Polakami nie żarty.“ — Wszak krzyczałaś: „zemsta!“ — „Myślałam o szlachetnej zemście, ale nie o zdradzie matko; poproszę podchorążego na ślub, a to mi będzie zemsta.“ — „Ciekawam.“ — „Mama nie rozumiała porucznika? On mi przecie oczyma zapewnił miłość swoją i przy wyjściu pożegnał, do widzenia.“ — „Tak?“ — „Nie inaczej, wierzę mu: wysmiejemy się z podchorążego, że on zaczął a nie umiał dokończyć.“

— „Idź-no szukaj ojca.“ — „Nie zginie.“ — „Ale idź, bo ja wiem coś więcój.“ — „Niech mi mama powie.“ — „Idź, niech mi się z mieszczanami nie mięsza. Szwedzi sobie, my sobie.“ — „Aha rozumiem.“

Ofka wyszukała ojca na szynkowni, tam zgromadziło się mnóstwo mieszczan illuminowanych poczęstnєм szwedzkiєм, jeno na bakier posuwają czapy: „damy Lachom!“ odgrażają. — Ofka ciągnie ojca, on się opiera: „nie pójdę.“ — „Ale ojcie chodź, mamy gości.“ — „Kogo Ofko?“ — „Chodź ojcie, proszę.“ — Wyruszył się z szynkowni, idzie z córką przez miasto. Tu Wejer jedzie. — „Hej!“ krzyczy Wejsa, pokazując na dowódcę przed gawiedzią stojącą: „damy mu wesele! a moja córka? Lachy, damy wam wesele!“

Rajtarzy słyszeli te krzyki, pospieszyli na zamek i opowiadają Wejerowi, jak słyszeli odgrażanie mieszczan: „Damy mu wesele!“ — „Kiż lichy,“ myśli sobie, „to i gawieź sprzysięga się na mnie, abym się nie ożenił! Kto tu mógł donieść o mojem niepowodzeniu?“ Woła on rotmistrzów, indaguje najprzód o stanie wojska. Odpowiadają mu: „wszystko jest w porządku.“ Bierze zaufańszych do siebie, między niemi był także porucznik. — „Powiedzcie mi, kto mógł rozgłosić famę o mnie między tutejszymi mieszczany, że los mojego małżeństwa chwiejny?“ — Popatrzyli się po sobie, ruszają ramionami. Wejer mówi: „muszę tu mieć nieprzyjaciela; nie nadarmo mieszczaństwo wołało: damy wam wesela.“ — Wszyscy zapierają: „nie słyszeliśmy zgoła nic.“ — „Dowiem ja się, ale biada temu, co me imię na pośmiewisko wystawia.“

Ledwie odeszli, a tu słyhać trąbkę. — Wejer się zbiera, wylatuje; wojsko konne i piechota się zgromadza, słyhać ogromny krzyk. — Mieszczaństwo uzbrojone występuje w przeważnej sile, uderza na knechtów niemieckich, którzy popici potracili zmysły. — Daremna Wejera energia. Ucieka z miasta wygnany, — a tu zastępują mu wojska szwedzkie Eryka, obtaczają i biorą do niewoli. — Król Eryk posyła królowi polskiemu Wejera jako złapanego jeńca. — August się zgniewał, odsyła go na zamek Rawski, i tam go pilnuje szlachcic Jarzyna Jan słynący z trzeźwości, bo nigdy nie pijał żadnego trunku jeno wodę.



Anna siedziała z siostrą swoją Elżbietą w Lubawie; ojciec bowiem pojechał wprost z Gdańska na odwiedzinę swą ulubioną Magdzi do Wulkowskich, bo Wulkowska powróciła z kąpieli do dóbr swoich. Siostry przebolewały nowinę przygody małej Magdzi, zresztą młode urodne, myślały o narzeczonych. Elżbieta była pewna ręki Żalińskiego, bo ojciec już dał słowo; Anna zaś nie pewna Wejera, bo ojciec był przeciwnym.

„Uważ sobie Elżbieto,” rzekła, „co się z temi klejnotami stało. Wejer się zaklął, że wysledzi zbro-

dniarzy, a tymczasem jak odjechał, ani słyhać o nim; gdyby Bóg dał, że się znajdą klejnoty, zmięknie tato i przyzwoli. Jak ty myślisz?“ — „Poszlemy gońca do Żalińskiego, on nam wyjaśni, czy możebno lub nie, on przecie uczony sędzia.“ — „Słusznie masz, ale zaufanego tu nie mamy nikogo.“ — „Stary odźwierny z Mortęg byłby najsekretniejszy.“ — „Wyborna myśl, poslijmy ciurę do Mortęg, niech on tu przychodzi.“ — „I owszem, za dwa dni będzie tutaj.“ — „Dzień Elżbieto dla mnie rokiem.“ — „Aniu, nie bądź gorąco kapana, jak nie można tak nie można.“ — „Więc niech będzie na twojem.“ — Wołają ciurę: „Słuchaj, pojedziesz konno do Mortęg, niech tu stary Mikołaj przyjedzie, ale to zaraz z tobą.“ — „Na jednym koniu?“ — „Jaki z ciebie gap, ty na swoim, on na drugim.“ — „Dobrze.“ — I pojechał.

Siostry przepędziły dzień przy robótce, wieczorem zaświecono kagańce. Anna pobożna zanuciła pieśń wieczorną i wtórowała jój Elżbieta, a tu nagle drzwi się otwierają, wchodzi ojciec, za nim mała Magdusia. Zamiast witania się nastał płacz.

„I czegoż wy płaczecie moje siostrzyczki, nademną? Gdybym nie miała drugiego oka i tak bym żyła. Wiecie wy, wiele to można jedném okiem nagrzeszyć, a co dopiero dwoma! Tak się Bogu podobało, jam jego służebnica.“ — „Magdziu, jaka ty dziwna, taka piękna twarz twoja, a zeszpecona bez oka.“ — „Pomódlcie się lepiej za mamę, w drodześmy nocowali w Chełmnie i przysniła mi się, mówiła mi, że nam wróci klejnoty.“ — „Co nam po klejnotach, tyś nam teraz klejnotem.“

„Więcój mi się śniło,“ przerywa stary, „nie wiem co z Ludwikiem się dzieje, tyle miesięcy nie mam z Wiednia żadnej o nim wiadomości, czy przypadkiem nie chory, bo mi się śniło, że mi podawał ryby.“ — „Sen mara, Bóg wiara, tatko kochany, pójdziemy jutro do kościoła i pomodlimy się najprzód, żeśmy szczęśliwie przybyli do domu, a potem za mamę i braciszka, tylko proszę tatki o jedną rzecz, aby mi nie odmówił.“ — „Dla ciebie dziecko drogie nic odmówić nie mogę.“ — „Trzymam za słowo. Tatko napisze do cioci Wulkowskiej, że się na nią nie gniewa, ona nic nie winna.“ — „Tego nie uczynię, niech wyginą Mortegi a nie przeproszę się z Wulkowskimi, moja krzywda zanadto wielka.“ — „Tatunciu, ja proszę,“ i schyliła się na kolana przed ojcem dziewczyna całując stopy ojca.

Stary nie mógł wymówić słowa, jeno drżał, zatykało mu mowę. Siostry wołają: „jakże można przebaczyć taką krzywdę!“ — Magdzia powtarza głosem podniesionym: „Tatunciu, dla Pana Jezusa!“ — Siostry rozplakały się na tę scenę; stary wyjęknął: „No zobaczmy, spokój, jam zfatygowany, wypocząć muszę po podróży.“ — Dziewczęta się rezeszły, wzięły Magdzię do przyległej komnaty.

Noc przeszła spokojnie. Raniutko powstały córki, Magdzia także, ukłękła i zmówiła pobożnie paciorek ranny, prosząc o zdrowie dla ojca, sióstr, braciszka, cioci i wszystkich domowników. Ubrały się, a Magdzia mówi: „jak zadzwonią, pójdziemy do kościoła.“ — Anna mówi: „ja zostanę.“ — „A to dla czego, ojciec jeszcze będzie spał, ani się obudzi, bo on długo spo-

czywać lubi, powrócimy na czas na jego śniadanie.“ — „Nie mogę.“ — „Czemu, powiedz mi Anusiu?“

„Oto, ale nie mów nikomu, posłałyśmy na Mor-
tęgi, aby przybył odźwierny stary, i na niego czekać
muszę.“ — „Po co on ma przybyć, czy znowu tam co
zaszło?“ — „Zgoła nic, Boże zachowaj, jeno nasz se-
kret.“ — „Przedemną macie sekret? ja tatkwowi zaraz
powiem!“ — „Moja kochana,“ całuje ją Anna, „Elżbieta
poszle go do Żalińskiego.“ — „Żaliński? a po co on
ma tu przybyć?“ — Anna szepnęła dziewczynce do
ucha. — „Tak idziesz Elżbieto za męża? nie lepiejże
zostać panną jak zakonnicę?“

Siostry się popatrzyły na Magdusię; nie spodzie-
wały się od tak małej podobnego zdania. — „Elżbieta
pójdzie za męża, bo tak się tatkwowi podoba.“ — „Ja
zaś nigdy,“ mówi Magdzia. — „Boś jeszcze za małą,
jak zobaczysz nasze wesele, to ci się zdanie odmieni.“
— „O i wtenczas nie zobaczycie.“ — „Moja słodka,“
całuje ją Anna, „na mojem weselu to ci przypomnę.“

I poszła Magdzia z Elżbietą do kościoła, Anna zo-
stała czekając cierpliwie na przybycie Mikołaja. Siostry
przyszły, nastało śniadanie, Anna niecierpliwa wycho-
dziła często, postawiła na czatach także służę. Ale
sługi jak sługi, przyrzecze, a nie dotrzyma słowa. —
Ciura przyjechał z Mikołajem, weszli obaj do mieszka-
nia. Stary się przypatrzył: „a ty co tu robisz?“

„Ej Jaśnie Wielmożny Dziedzicu,“ skrobie się Miko-
łaj po głowie, bo Anna patrzyła nań wzrokiem przenikli-
wym i trzymała palec na ustach, on też kręci: „przyjecha-
łem, bo nie wiem co to dalej będzie, człek ani spać

nie może.“ — „Co takiego, powiedz mój wierny sługo.“ — „Jużci ten kucharz źle miał w głowie.“ — „On ukradł klejnoty?“ — „Klejnoty nic.“ — „U ciebie moje klejnoty za nic?“ — „Przecie więcej wartała Imość niżeli klejnoty.“ — „Rozumie się, stokroć tysięcy więcej.“

„Gadają tam, że on coś zaczarował nieboszczkę Imość i umarła.“ — „Doprawdy?“ — „Nie wiem z mojej gęby, ale ich tam więcej powtarza.“ — „Pojadę do Malborku, jakem podkomorzy, a wytnę im kapitułę, niech wiedzą, co Mortęski znaczy.“ — Klepie po ramieniu Mikołaja: „powiesz, jakeś słyszał. Oj nie dąruję, jam na tropie. Aniu, zawołaj na Jacka, niech zaprzęga.“

Anna wyszła, obzierając się na Mikołaja; on się kłania i wychodzi. Stary mówi doń: „No nie odchodź, jeno się zbieraj, pojedziemy razem.“ — Mikołaj wyszedł, córki tuż za nim i szeptają mu w sieni, aby nie wyjawiał sekretu, że go umyślnie wołały, bo go miały posłać do Żalińskiego. Starzec przytaknął i został w przysionku. — Mortęga wsiadł do karety, Mikołaj z lokajem razem i jadą na Malbork.

Ledwie wszedł na zamek, witają go: „A no Waszmość idzie nas prosić na wesele?“ — „Co sobie myślicie asendziowie, albo Mortęski nie ma dziewczek na wydaniu? ale żadna się wam nie dostanie!“ — „Kto wie,“ mówi podchorąży, bo jeden kawaler tu zanadto.“ — „Choćbyście asendziowie wszyscy byli kawalerami, ani jedna dla was.“ — „Oj, to też my nie wyjawimy sekretu, gdzie klejnoty.“ — „Albo was o to proszę.“ —

„Tatulu, nie sierdź się, znamy się, bez nas ani rusz.“ — Mortęski się obziera, za nim stał Mikołaj: „No mów im do twarzy o kucharzu.“ — „Kucharz zaczarował nieboszczkę Imość i umarła.“ — „Nie wiesz więc nic.“ — „A nic.“ — „Więc idź precz, my także nie wiemy nic,“ i śmieją się.

„Co się to ze mnie śmiejecie, albom chłystek? jam szlachcic Mortęski, podkomorzy malborski, respekt!“ — „Jam podchorąży królewski,“ odzywa się jeden; „jam kasztelan,“ mówi drugi; „jam pisarz ziemski,“ mówi trzeci. — Zmięknął Mortęski: „Asendziowie, ale tego hultaja czarownika sprowadźcie mi, niech za czary pokutuje.“ — „Wasze się obejdzie z nami po szlachecku, pisarzowi ziemskiemu się podkomorzy pięknie ukloni, obieca córkę, więc będą klejnoty i kucharz.“ — „A to mi swaty!“ fuknął Mortęski, „wolałbym przecie już Wejera.“ — „Haha! stoi słowo panie podkomorzy?“ mówi kasztelan i bierze za rękę. — Mortęski się waha, kasztelan nalega: „Stoi? verbum nobile cofać nie wolno.“ — „Dixi!“

„A więc aspanie pisarzu, opowiadaj teraz.“ — „Jadąc do Mortęg...“ — „Co aspan robiłeś w Mortęgach?“ krzyknął Mortęski. — „Proszę nie przerywać.“ — „Spotkałem się, mówię, z Wejerem i Żalińskim.“ — „Niepotrzebni szwagierkowie,“ wtrąca Mortęski, a panowie się śmieją. — „Mnie na tém nie zależy, czy potrzebni lub nie, tylko opowiadam fakt. Żaliński mi się zwierza, że musi wykryć zbrodniarzy.“ — „Przecie sędzią.“ — „Nie wszyscy sędziowie dobrymi indagatorami, łaskawco podkomorzy; Wejer także prawił: muszę wy-

kryć.“ — „On bo odnoga niemiecka, to ma sprytu więcej.“ — „A Francuzi nie mają sprytu, hę?“

„Francuzi mi to dopiero;“ przerywa Mortęski, „jam kość z kości francuskiej, mój naddziad Wilhelm Langlais, królewski konsyljarz, rozumiecie aspanowie?“ — „Skądże się z Francuzami zgodzą Mortęgowie?“ — „Ba, dziad przybył tu, nabył dobra Mortęga i od tego czasu przemienił na Mortęskich, rozumiecie?“ — „Tak to? więc aspan nie szlachcie polski?“ — „Otrzymałszy indigenat.“ — „Obca roślina się wyradza,“ mówi podchorąży. — Mortęgę ubodła ta prognostyka: „a Polacy się nie wyradzają? Mortęgowie na wieki nie wyginą!“ — „Obróć się w Wejerów, nieprawda?“ — „Wejer sobie szlachcie jakich szukać.“

Kasztelan zrobił kilka kroków po sali, przynosi z kąta pismo: „proszę czytać.“ — Mortęga bierze pismo i czyta: „Zamek Rawa. — Donoszę aspanu smutną nowinę. Król Jegomość posłał Wejera na Rewel, aby go przed Szwedami pilnował, a on zamek poddał i sam do niewoli. Król Eryk odesłał tego jeńca, i nasz miłościwy król kazał mi go pilnować jako zdrajcę. Nie daję mu jeno wodę. Humillimus, Jarzyna Białła.“

Mortęga złapał się za głowę. — „Winszujemy zięcia zdrajcy!“ krzyczą królewscy urzędnicy. — „Niech was jasny porwie!“ wyleciał Mortęga, „a to fatalizm! wszystko się na mnie sprzysięgło, niebo, ziemia, morze, o Boże!“ — Ani nie pytał dalej, wsiadł do karety, jedzie do domu.

Tymczasem dziewczęta nie próżnowały w domu, posłały ciurę do Żalińskiego, aby im jaką wiadomością

służył o Wejerze. Ciura pojechał na koniu, one myślały, że ojciec nie wróci ani za tydzień, a on na drugi dzień w domu. — Zdziwiły się przybyciem jego. — Wychodzi z karety rozindyczony; poznały na wstępie złość ojca, potulniutkie stoją, co on powie na przywitanie. On krzyknął do stojącej Elżbiety: „Masz Wejera!“ — Córką się przełękła, myślała bowiem, że zginął na wojnie; założyła ręce, westchnęła: „ach Boże!“

„Jemu nie Boga!“ fuknie ojciec, „szatana, biesa! na wstyd i moją hańbę dałem verbum nobile, a to zdrajca! O napiszę Ludwikowi, na co on zawierał przyjaźń z podobnymi.“ Przystąpił do córki Anny, grozi jej w czoło: „Gdybym nie był ojcem, zabiłbym cię, na coś ty dała słowo! Wiesz gdzie on? W Rawie zamknięty na wstyd, że się poddał.“ — Córki stały nie mogąc oddychać z przerażenia. Anna zbladła; on chodzi i fuka: „zawołaj mi tu Mikołaja!“ — Elżbieta biegnie, Mikołaj przyszedł.

„Stary, wiele ty służysz u nas?“ — „Jasny dziedzicu mój Dobrodzieju 45 lat.“ — „Widzisz, słyszałeś kiedy o takiem zmartwieniu, jak mnie spotkało? żona umiera, klejnoty kradną, dziecko traci oko, jeszcze o córkę stara się zdrajca, ach!“ i usiadł na ławie jak długi, sapi, mruczy, stęka.

„Jasny Dziedzicu, co tam o klejnoty!“ — „Mazgaju stary, co rozumiesz!“ — „Ale Jasny dziedzicu gorsza z Imością, kucharz ją otruł.“ — „Rany Boskie!“ skoczył Mortęga na równe nogi: „kucharz? ten com go odpędził, pijak, złodziej!“ — „On, śpiewając tam szeptem jego własna żona i córka, że zadał Imo-

ści na wieczyste spanie!“ — „Jak go złapię, rozedrę!“ — „Wartałoby się pastwić? to prześmierdniały człek pijaństwem.“

„No dam ja mu! ale Mikołaju, jak to Bóg dobry, że wyjawia zbrodnię.“ — „Nic ukrytego pod słońcem, a dopóty noszą wodę w dzbanie, dopóki ucha stanie. Niech Jasny Dobrodziej ostrożnie podejdzie jego żonę i dziewczę, one pewno wyśpiewają na niego, bo noszą guzy większe pod oczyma niżeli niemieckie podkowy; maltretuje ich okropnie.“ — „Pojedziemy Mikołajku.“ — „Przepraszam, nie mogę, on by mi co uczynił, jeno niech Jasny dziedzic Dobrodziej mój sam indaguje a powie, że mu wywróżyły wróże, nie będzie na mnie podejrzenia.“ — „Masz rację. Jedziemy, ale pierwój na Malbork.“ — „Po co?“ przerywa Mikołaj. — „Na Mortęgę chcę powiedzieć, a ztamtąd poszukam kuchacza; dobrze, valde bene, podwójną będziesz miał za ten donos ordynarję.“

Jeno się przenocował, jedzie z Mikołajem do Mortęg. — Mikołaj będąc pewnym, że się nikogo nie będzie pytał dziedzic, jechał spokojnie; stanęli przed bramą, stróż przypatruje się dziurką jedném okiem, kto jedzie; zobaczył dziedzica, otwiera czém prędkiej. — Dziedzic wjeżdża, staje: „hej!“ krzyczy, „nie był tu kto w méj niebytności?“ — „Jeno jeden Waszeć się przenocował, Mikołaj wiedzą o tém.“ — „Kto tu był, hę?“ — „Przywłokł się urzędnik królewski z Malborka i przenocował, mówił, że jest pisarzem.“ — „Czego on chciał?“ — „Szukał dziedzica.“ — „Czemużeś mi nie mówił?“ — „Bo człek ma zkłopotaną głowę, za-

pomniałem.“ — „Hej hej, wachał, teraz rozumiem, wszystko na stronę Wejera.“ — „Mam was filuty,“ mruczy sobie, „nie dam się wam!“ powtarza pod nosem.

Wszedł do komnat zamkowych, służba poprzynosiła walizy, torby, lisiury, zawoje, bo to było porą zimową. Chodzi, przypatruje się, kiwa głową: „Mój Boże, tuśmy sobie najpiękniejsze dni spędzili z nieboszczką.“ Na szafie błysło mu się coś przed oczyma, przybliża się, a tu wojki pereł i klejnotów po żonie. — „W imię ojca,“ żegna się dwa razy, mruknął i znowu się żegna: „a to co?“ obziera, mruczy: „takie samuteńkie!“ — Lokaj wyklada z torby rupiecie, przypatruje się panu, on się znowu żegna: „Wołaj-no mi Mikołaja!“ Lokaj wybiegł, nie widać go długo, niecierpliwy Mortęga wychodzi krzyczy: „Ciury do kroć set... ale jabłek... Mikołaj!... ani jego ani lokaja!“ krzyczy na całe gardło.

Lokaj leci: „niema Mikołaja!“ — „A to znowu, wołaj go natychmiast!“ — „Ale go nie ma w jego izbie ani na dworze.“ — „Bodaj go gęś kopła, wsiadaj na szkapę, czy on nie poszedł do owczarza, bośmy drogą mówili, aby mi go przyprowadził.“ — „Dobrze Jegomość.“

Mortęga wrócił do zamku, chodzi, poziera przez okna, nudzi się, niecierpliwi. Zajeżdża kareta. — „Kto znowu na kark mi tu lezie?“ — Wyszedł. — „Ah, Żaliński mój! witam! prawie na cuda przyjeżdżasz. Co wy za węż macie, że mnie tak pilnujecie. Elza ci nie ucieknie, dam, mówię dam, nie bój się o nią, twoja, zawsze twoja.“ — „Papo! jadę i jadę, byłem w Lubawie, mówili mi, żeś odjechał do Mortęga, więc nie wyprzagałem, tylko śpieszę.“

„Ciekawym, co aspana tak nagli, wesele się odwlec musi, bo interesa się krzyżują, wyprostować je muszę. Chodź Żalisiu, powiedz, tylko coś weselszego, bo dalipan same niepocieszne nowiny ciągle mi od śmierci żony kłopotą głowę.“ — „Otoż papo przyszedłem na trop, znajdują się klejnoty powoli.“ — „Masz ich?“ — „Jeszcze nie, ale *alibi* jest.“ — „No no, z ciebie sędzia tęgi, powiedz-no.“

„Dowiedziawszy się o sprawie, zaraz pomyślałem sobie, że złoczyńcy obcy nie porwali, boby byli nietylko te klejnoty, ale insze brali; więc musieli być domownicy, lokaje lub frejliny. Pierwsi żonaci, na co im kolje; frejlina ładna, ona musiała być sprawczynią. Teraz pytam samego siebie, gdzie ona? Wyszła ze służby, oho, dobry znak! Gdzie mieszka? była w Lubawie, żyje dobrze, bawi się z kawalerami, pytam skąd sukursa? Jadę tedy, przebieram się, aby mnie nie poznano, wstępuję w dom szukając niby szwaczki, a tam mi odpowiadają, że się nie trudnią krawiectwem. Przypatruję się dziewczce, ubrana w jedwabie, co tylko szlacheckiemu stanowi przystoi; skąd to? Nie wiele myśląc idę do wójta, wzywam go, aby aresztował frejlinę i przyprowadził do ratusza. Poznała mnie teraz, i na wstępie krzykła: Sędzio sprawiedliwy, jam nie ukradła zausznic ani naszyjników, niech mnie wyświadczą sądy Boże! — Hola, więc już wymyśliła ordalia, jaka kombinacja! Powiadam wójtowi: winna. On dalej z nią na pręgierz, zastosował różgi. Dla Boga! krzyczy, jam niewinna! Wójt aplikuje jeszcze, zarumieniła się spodniczka. Ukra-dłam! krzyczy. Dosyć, powiadam, a gdzie klejnoty?

Sprzedalam je w Chełmnie. Poznasz żyda? Poznam, mówi, jeno mnie też nie katujcie.“

Mortęski się śmieje: „wiesz sędzio, że cię kocham, habes scit...“ Odmyka szufladę i pokazuje mu! „widzisz ich! ze złodziejką na hak, to nie żart, aby gminne łostrostwo krzywdę nam wyrządzało. Jedź mi do dzieci, powiedz tę pocieszną nowinę, że są klejnoty.“

Żaliński pojechał do Lubawy, wprzód wstąpił do córek, a widząc je zmartwione, mówi zaraz na wstępie: „Ależ Waszmoście nie turbujcie się, znalazła się zguba.“ — „Klejnoty?“ mówi Anna. — „Jak bursztyn są piękne i te same.“ — „Ktoż je ukradł?“ — „Zgadnijcie proszę, dam fant suty.“ — Magdzia się odzywa najprzód: „czy Niemcy?“ — Potrząsł głową na znak negacji; „Imci Anna zgadnie.“ — „Ja? chyba która ze sług wydała je, bo przecie u nas nie bywał obcy prócz Wejera i Waszeci.“

Żaliński się śmieje: „lecz która służa?“ — „Nie sposób aby Brona.“ — „Co ty mówisz, ja szyję daję,“ przerywa Magdzia, „moja niańka, która mnie zawsze pacierza uczyła?“ — „Istotnie, ona.“ — „Nie może być, potwarz, nie wierzę,“ mówi Magdzia, „niech mnie Bóg skarze ślepotą na oko drugie, jeżeli ona.“ — „Ona, ona, wyszedziałem, lecz zciałem różgami do kości.“

„Dla Boga!“ krzyczą dziewczęta, „ktoby się spodziewał, chyba z namowy czyjój; oj nieszczęśliwa ona biedna!“ — „Do jój szczęścia jeszcze brakuje szubienicy.“ — „Wasze Żaliński,“ mówi Anna, „kiedym zgadnęła, przynajmniej ocalcie jój życie, ona się poprawi,“ i usiadły zadumane. — „Jak kontent jestem z tego

odkrycia, nie uwierzycie.“ — „Nie wielka radość,“ mówi Magdzia, „pastwić się nad człowiekiem.“

Mały piesek zaczął skowyczeć, wyć do Magdzi, łaścić się. Ona go pieści rękoma, wpatruje się w psinę. „Widzi sędzia,“ rzekła Magdzia, „on prosi, aby nie karać śmiercią nieszczęśliwój.“ — „Haha,“ śmieje się Żaliński, „gdyby on porwał, zaraz byśmy go kazali powiesić.“ — „Nigdybym nie pozwoliła, bo i zwierzęta kochają swoje życie.“ — „Magdziu, Magdziu, co tam o pieska, ale co się stanie jeszcze więcej, bo podobno Wejerowi grozi toż samo!“ — „Co Aspani mówi?“

Anna opowiada nowinę przez ojca przyniesioną o Wejerze, że stał się zdrajcą kraju. — „Co!“ krzyknął Żaliński, „Wejer zdrajcą? być nie może, ja go znam na wylot, to musiała zająć okropna intryga.“ — „Tak mnie się zdaje,“ przerywa Anna, „wszystko na moje zmartwienie; ale kiedym wygrała fant od Wacpana, więc wkładam nań obowiązek,¹ by się wywiedział istoty czynu, bo ja do dziś dnia nie wierzę.“ — „Mam jechać do Rawy?“ — „Jużcić, ja proszę,“ mówi narzeczona jego Elżbieta, „mnie aspan nie odmówisz, nieprawda?“ — „Trudny orzech do zgryzienia.“ — „Dla kobiety niech kawaler nie żałuje fatygi,“ mówi Elżbieta. — „Kiedy pierwiej zakończyć trzeba z frejlina.“ — „Potém, ja każę.“ — „Jeżeli rozkaz, więc słucham,“ uklonił się, Elżbieta podała mu rękę na znak przywiązania, którą ucałował serdecznie. — „A więc nie czekam, jeno jadę do Rawy.“ — „Bardzo prosimy,“ odezwały się panny. A on pojechał jako zaufany.

VI.

Wśród zatargów korony z królem szwedzkim Erykiem, starał się książę Jan szwedzki, brat króla, o rękę królewny Katarzyny, posyłając dziewosłęby do Zygmunta Augusta. Oczywiście Zygmunt widział korzyść w tém małżeństwie, bo myślał, że Szwed wycofa się z zamków zabranych w Inflantach i przymierze wzmocni z téj strony granice. Król siedział w Wilnie, książę finlandzkie przyjechało, naraz gotowano się do sutego wesela.

Dawnemi czasy nie odprawiano wesel z etykiety, jeno jak miało być królewskie wesele, to było prawdziwe królewskie, połączone z zabawami, bankietami, turniejami, łowami, i co tylko żyło weseliło się, zwłaszcza szlachta. Posłyszał też Ludwik Mortęga w Wiedniu o tém weselu; he! szlachcicowi młodemu zaczęło się roić po głowie, jakie on zrobi znajomości, wiele pozna młodzieży, panów i szlachcianek, a umiał też tego zwijać nóżkami, bo się uczył tańców różnych w Wiedniu; oracyj i improwizacyj nauczył się na pamięć nie mało; umiał zaśpiewać do kielicha, do wianuszka pani młodej, do drużyny weselnój, zbuntował się jak po prostu mówią z kilkoma kolegami i wyjechali cichaczem na wesele królewskie. — W drodze pozwalali sobie wydatków pieniężnych, jak przybyli do Poznania, brakło drobnych; pospieniężali jeszcze resztki rzeczy mniej potrzebnych i przyjechali do Torunia. — Tu się uśmiechnął Ludwik: „już nam bieda nic nie robi, tu mieszka moja ciocia Wulkowska.“ I prowadzi trzech kole-

żków wprost do kamienicy cioci swojej. — Wulkowska zobaczywszy bratanka ucieszyła się niezmiernie, upieściła, ucałowała, przyjęła serdecznie paniczów.

„Wie ciocia, gdzie my jedziemy?“ — „Przecie nie na wojnę, boście jeszcze mali.“ — „Co nam po wojnie. Na wesele ciociu królewskie, jeno mi w głowie, jak wykpić przed ojcem, żeby pozwoił Anusi i Elzi na wyjazd, tobyśmy się ucieszyli.“ — „Co się wam też młodziki uroi w głowie! Na weselu królewskim będą starsi, wojewodowie, kasztelani, starostowie, ale drobna szlachta zdaleka; przypatrzeć się będzie wolno, nawet pohulać, ale nic więcej. Gdyby to krewniak jaki wziął was z sobą i zaprezentował na dworze, ha!“

Zerzała trochę chłopcom mina. — „A pan Wulkowski nie pojedzie?“ — „Po co do Wilna, na co ten wydatek? gdyby było przyszło wesele twój siostry Anusi z Wejerem...“ — „Co mówi ciocia, dałem słowo Wejerowi, poznałem go w Wiedniu a ojciec odmówić mi nie może.“ — „Nie wszystko złoto co się świeci.“ — „Czemu ciociu kochana?“ — „Dowiesz się sam, na-przód nie chcę mówić; lecz powiedz mi szczerze, wiele listów odebrałeś od ojca?“

„Nie skory ojciec do pisania, to prawda, ale jak napisze, jest coś czytać; najboleśniejszy list o śmierci mój matki, co za łotrostwo, kraść najulubieńszy przedmiot, aby o śmierć przyprowadzić; czyn nie do darowania.“ — „Ludwisiu! to głupstwo, marność, ja mam tego samego garnituru klejnoty a nie przywiązuję do nich serca. Miałam droższy klejnot, nieszczęście mi go wydarło.“ — „Podzielam żal cioci.“ — „Czy ci pisał oj-

ciec o tém?“ — „Coż ciocię spotkało, bo nie rozumiem?“ — „Nie pisał ci nic o Magdzi?“ — „Zgoła nic.“

„Wiesz ty, że się ojciec na mnie pogniewał?“ — „Jego przywarą gniewać się i przepraszać.“ — „Oj nie, dalej zaszły interesa, uprzedzam cię, żem zupełnie niewinną. Magdzia pobiegła bez mego pozwolenia do kuchni, tam skrobała nóżkę cielęcą, odskoczył nożyk... i wybił ję oko... Niewinnam Ludwisiu, jak cię kocham, bom przytém nie była, nieszczęście i koniec.“ — „Boże! tak ją zeszpeciło! Matka ją i tak do klasztoru przeznaczała, nic nie szkodzi.“

Ośmiała się Wulkowska: „a ciebie nie przeznaczyła? wszak pamiętam, że do siódmego roku nosiłeś habit.“ — „Nie chcę słyszeć o tém, jam jedyny potomek Mortęgów i do klasztoru? zobaczy ciocia mój klasztor, jak się ożenię,“ i uśmiechnął się. — „No, no, rozweseliłeś mnie chłopcze, bo ojciec pogniewał się niewinnie, odebrał Magdusię, narezonował się niepotrzebnie.“ — „Mówię cioci, Magdusia do klasztoru i koniec, Ania i Elzia zamaż, abyśmy hulali.“ — „Gdyby twoja była dyspozycja, takby się stało, ale nie masz po temu ani fizycznój ani moralnój siły; ojciec twardy, pierwiej on Anię wepchnie do klasztoru, niżeli Magdzię.“

„Doprawdy, żebym każdy klasztor rozburzył, gdziebym znalazł moją Anię. Wie ciocia, ja ją najwięcej kocham, bo sobie roztropna, naturalna, jak się bawić bawi się, jak modlić się, klepie pacierze w pokorze, a pracowita, do każdego zajrzy kącika, ję oczu nic nie ujdzie w domu i poza domem. Wejer będzie miał pociechę.“ — „Mówię ci, rozchwiało się, ojciec nie po-

zwoli.“ — „Ojciec nie decyduje.“ — „Któż? czy Wejer z jego niesławą? splamił się, fe! nie warto powtarzać.“ — „Co ciocia mówi?“

„Fakt, że poddał Rewal, sam przeszedł do Szwedów, ale król szwedzki odesłał go naszemu królowi.“ — „Masz Wejera! o hańba, a wstyd!“ — „Ania ma dopiero zmartwienie.“ — „Oj ciotuniu, zabawiłbym dłużej, ale ta nowina nie da mi odpoczynku; Ania tam musi desperować, niech Bóg broni, a ojciec, ojciec!“ — „Mój kochany! gdybyś mógł przerobić starego, aby pozwolił, żebyście oboje z Anną do mnie przyjechali, cieszyłabym się okropnie.“ — „Więc pojedę sam na Mortęgę, a moi towarzysze zostaną tu.“ — „Dobrze.“ I tak się stało.

Majcher ucieszył się niezmiernie widokiem syna: „Tyś jedyną moją pociechą,“ rzekł rozczulony przy witaniu się i uściskał serdecznie. „Jakby mi cię Bóg przyniósł na pociechę w utrapieniu.“ — „Niema się czego smuć tato, wszystko dobrze będzie.“ — „Jak złe przeminie, mój synu; ale to złe wierci się i kręci koło mego domu, jak pasożyt kianianki owija wszystkich, by wydusić moją familję.“ — „Ojciec się za nadto turbuje i przybiera do głowy niepotrzebnie.“ — Wiesz że matka zgasła; nie pisałem ci zaraz, by cię nie narazić na gwałtowną chorobę; wiem żeś nerwowy, nie mógłbyś przenieść tego ciosu na widok zmarłej.“ — „Nie potrzebnie się zmartwiła zgubą, ona się podobno znalazła.“

„A kto ci mówił?“ — „Wulkowska.“ — „Byłeś u niej? po drugie oko? Darmoż się gniewam na nią!“ — „Co ojciec mówi, na siostrę rodzoną gniewy stroić,

która zupełnie niewinna..." — „Podobno tak niewinna, jak Wejer, lub kucharz przeklęty." — „Co się tyczy Wejera, nie sędzę go bez przekonania się; ale mi napomyka ojciec kucharza, jakby należał do familji; kucharz dziś jest, jutro go nie ma i basta."

„Synu! kucharz zbrodniarz jakich mało, już go mam w piwnicy i umorzę głodem, niech obgryza własne ciało." — „A to znowu?" — „On otruił matkę." „Dla Boga!" — „Tak Ludwiku, jak go przyprowadzili, kazałem mu wsypać nahajów od stóp do głów, wił się i szczekał jak pies, nareszcie wybełkotał, że zadał trawy w potrawie, otruił i stało się." — „Mój Boże jak niewinnie posądzono mamę, że ze zgryzoty za klejnotami umarła."

„Co mi z klejnotów." Poszedł do szafy, otworzył, przynosi i rzuca synowi przed oczy: „Co mi teraz z nich, kiedy nie mam przyjaciółki." — „Więc kucharz ukradł?" — „Gdzie tam, i to nie. Mikołaj znalazł pod szafą, twierdzi, że musiała je tam zawlec psina, bo ciągle aportuje i figluje z różnemi rzeczami." — „Z jakiegoż powodu popełnił tę zbrodnię?" — „On ma żonę, a za inszymi patrzy, nieboszczka strofowała go o to złe życie, zagroziła wypędzeniem, z namowy jego kochanicy tak uczynił." — „A więc dwóch zbrodniarzy popełniło tę zbrodnię, na hak z oboma." — „Ba, on siedzi, bo kochanica zmykła, kazałem ją śledzić na wszystkie strony." — „Pod ziemią ją wynajdę, mój ojcie, sprawiła mi królewskie wesele."

„Co mnie królewskie wesele obchodzi, i król nie ostrożny wdaje się ze Szwedami, by go tylko nie wy-

prowadzili w pole.“ — „Wie ojciec, żeśmy się wybrali do Wilna na to wesele.“ — „Po drugą głowę, oj nieroztropni młodziki, co tam po was bez nas.“ — „Przecie nam do świata, a nie ze świata.“ — „Insze tam zastąpi was rycerstwo, w domu siedzieć i basta.“ — „Kiedy tak, jestem posłusznym, lecz gdzie siostry?“ — „Wysłałem ich do Lubawy, niech tam siedzą spokojnie. Zawił tu także Żaliński; nieborak śledzi za zbrodnia-
rzami, ale jego koncepta są mydlane; pokazuje się, że nie ukradła klejnotów frejlina, jak ją ma w podejrzeniu, ani nikt ze służby, a przypadkiem odkryłem truci-
ciela, za co Bogu dziękuję, niech przynajmniej ocale dobre imię méj żony pocziwój i pobożnej.“

Ludwik siedział zadumany, co widząc ojciec, kiwnął ręką: „Na co nam zawsze mówić o jednej przy-
krój materji, powiedz przecie co tam w Wiedniu no-
wego?“ — „W politykę się nie bawię ojczy, jeno w książki.“ — „Dobrze synu,“ i Mortęga ucałował go w czoło, dodając: „ale powiedz cóż pozostanie méj Ani, taki wstyd z tym Wejerem!“ — „Ojczy, Annie niepozwoiliłbym na włos nikomu uchybić, biję się na śmierć.“ — „Zawsze nieroztropna, że sprzyjała takiemu
człowiekowi.“ — „Można to przewidzieć lub przeniknąć człowieka?“ — „Słusznie masz, ludzie się maskują.“

„Wie ojciec, chciałbym się przywitać z siostrami.“ — „Ucieszą się, mój synu; żal mi okropnie Magdzi, najulubieńsza moja sierotka dotknięta takim nieszcze-
ściem.“ — „Chwała Bogu, niech tylko będzie zdrowa, będzie nosiła okulary fałszywe, by pokryła kalectwo, w Wiedniu takich dostanie.“ — „Nic mnie nie cieszy;

jutro każę zaprządz i pojedziemy.“ — Ludwik się poskrobał, dla niego każda chwila droga, on myślał o Annie, jakby z nią tylko umknąć do cioci. „Prosiłbym ojca, pozwoli mi dziś, a jutro sam przyjedzie.“ — „Nie mam nic przeciw temu.“ — Ludwik kontent za chwilę odjechał.

Siostry siedziały smutne, czekały tylko na Żalińskiego, jaką przyniesie nowinę. Pojechał on bowiem na naleganie Elżbiety do Rawy w celu wysledzenia przyczyny wieści o Wejerze. — Zaturkotało na podwórzu, myślą, że nagle wrócił się z drogi kawaler. Wylatuje Anna, poznaje ojców powóz, patrzy kto wysiedzie, a tu się błysła twarz brata.

„Ludwisiu!“ krzykła przeraźliwie. Siostry usłyszały ten głos, wybiegły, a tu Ludwik w objęciach Anusi, krzyczą i one: „Ludwisiu kochany!“ witają pocałunkami brata. Wprowadziły go do komnat, wrzasku, pisku niemało.

„Doprawdy myślałem, że was znajdę smutne, a tu kaleka najwięcej dokazuje, pokaż-no Magdziu oczko.“ — „Dziwne ci moje oczy, jak bez jednego żołnierza będzie wojna, i ja bez oka żyć i chwalić Boga potrafię.“ — „Siostrzyczko,“ podjął brat małą jak dziecko i wynosi do góry, „tyś mi nad złoto.“ — „Siadaj Ludwisiu a powiedz kiedyś przyjechał.“ — „Wczoraj do ojca, a przedwczoraj byłem u cioci w Toruniu.“ — „Co ty mówisz?“ — „Mówię wam, jaka ona słodka, jaka dobra, a przytém zmartwiona, że się ojciec na nią niepotrzebnie gniewa.“

„Na co gniewów,“ przerywa Magdzia, „tak Bóg dopuścił, żem sama oko straciła, na co obwiniać ciocię

niepotrzebnie.“ — „Mówiłem ojcu, ale z nim nie ma mowy o przeprosinach.“ — „Zmięknij mój braciszku na mojem weselu,“ ośmiała się Elza. — „Twoje wesele wprzódki nim Ani? O nici z tego, tak nie wolno sięgać przez ramię.“ — „Dobrze ci, radocho,“ przerywa Magdzia. — Elżbieta się zarumieniała.

„Nie chciałem cię obrażać, moja Elziu,“ podaje rękę Ludwik, „żart na bok, ale powiedzcie mi kochane, co się z tym Wejerem stało?“ — „Albo my też wiemy. Oto prosiłyśmy Żalińskiego, aby pojechał do Rawy i niedopuszczył kary na Bronkę.“ — „Jakię kary?“ — „Wszak nieboga przyznała się pod różgami, że ukradła klejnoty.“ — „Co pleciecie! ojciec mówi inaczej, Mikołaj inaczej, chyba że Mikołaj współnikiem, inaczej myśleć nie można.“ — „Powiedz-no Ludwiś, bo cię nie rozumiemy.“ — Ludwik opowiedział scenę o kucharzu i Mikołaju.

Dziewoje załamały ręce. — „Nie mówiłam,“ powie Magdzia, „że moja Broncia niewinnie cierpi?“ — „Ludwiku, bądź dobrym a chodź z nami na ratusz, odwiedźmy ją.“ — „Bez wiedzy ojca nie możemy się kompromitować, on przyjedzie jutro, zresztą o dziewczkę z gminu rzecz mniejsza.“ — „Czy ona niema też serca?“ przerywa Anna; „na czémże szlachetność się zasadza, czy na herbie tylko? Wejer nosi herb Róże, a spadły nań kolce i głogi.“ — „Moja siostró, o nim nie możemy mówić tak lub owak, gra na wojnie inaksza, tam się nie gra sercem jeno mieczem i rusznicą. Nie on sam za wszystkich odpowiada, bo wódz może wymyślić najlepsze plany, jeżeli subalterni nie wykonają tako-

wych, sprawa będzie przegrana.“ — „Na podobne twierdzenia jestem ślepa, a tacy nie mogą sądu wydawać o kolorach; cieszyłabym się, gdyby niesprawdziła się potwarz na Wejera, jak się niesprawdza o Bronce.“

„Niech ci siostry nie będzie przykro, w czasach wesołych musimy dzielić się z wesołością kraju.“ — „Do czegoż zdążasz?“ — „Nie wiesz o królewskim weselu?“ — „My tam potrzebni jak piąte koło przy wozie lub tarń w nodze.“ — „Owszem, w tej myśli przyjechałem z Wiednia.“ — „W imię ojca, nie żartuj.“ — „Przywiozłem ładnych chłopców, niech się skryje Wejer i insi.“ — „Nie blaguj.“ — „Jak cię szczerze serdecznie kocham, i niepragnę, abyś została zakonnicą.“ — „No, jeszcze mi tego potrzeba.“ — „Nie śmieJCie się z zakonnic,“ przerywa mała, „one szczęśliwsze od was.“

Ludwik się uśmiechnął, wskazał wzrokiem na Magdusię, siostry się dorozumiały i zaczęły się także śmiać. Brat chciał zatrzyć tę mowę, by się Magdzia nie obraziła i krzyknął: „Muszę was przedstawić tym chłopcom, bądźcie mi tylko pomocne, przejednaćcie ojca, by nam pozwolił jechać do cioci, tam ich zostawiłem.“ — „Ludwisiu!“ klasnęły siostry w ręce, „gdzieżeś się nauczył tak malować? ale malujesz, no ktoby cię nie znał, toby cię kupił.“ — „Założmy się.“ — „Co stawiasz?“ — „Ja, zausznice z rzeszowskiego złota.“ — „Tak, to u ciebie znaczymy?“ — „Alboż nie piękne? Więc stawiaj ty coś lepszego!“

„Moim kosztem pojedziecie na wesele królewskie do Wilna.“ — „Zgoda!“ — „A wy co?“ — Ania mó-

wi: „ja ci dam rycerskie rękawice i haftowane na konia popregi.“ — „Ja,“ mówi Elzia, „dam ci spinę z kamieniem czeskim.“ — „A ty Magdziu co?“ — „Mam krzyżyczek z palmy Jerozolimskiej od cioci.“ — „Idź z twemi krzyżyczkami, daj je zakonnikom ale nie mnie.“ — „Co tam, Magdzia ci da puchar srebny, który ma na krzyżmo.“ — „Tak to przyjmuję.“

„Więc pamiętajże, jakbyś słowa nie dotrzymał, nazwiemy cię ostatnim Mortęgą.“ — „Po prostu bez czci i wiary.“ — „Tłomacz jak ci się podoba, tylko dotrzymaj słowa.“ — „Ja z pewnością w słowie się stawię, tylko wy się wstawcie, a przemożcie ojca, byśmy pojechali do cioci.“ — „Bądź pewnym.“ — „Zgoda, a teraz pójdź posil się z drogi.“



„Aleśmy ich wypędzili!“ śmieje się Wejsa i myśla na Lachów, „będzie teraz spokojnie w Rewalu.“ — „Mnie ten czyn nie cieszy,“ rzekła Ofka, „król polski potężny, może zniszczyć nasze miasto, coż nam ze Szwedów przyjdzie, same brzydaki, anim jednego nie widziała ładnego.“ — „Dziewko, nie myśl o szlachcie, tyś mieszczańskie dziecko.“ — „Jak szlachcie da słowo, więcéj warta niżeli wszystkie wasze talary.“ — „Onby ci tu wrócił do ciebie!“ pokazuje dłoń, „tu mi włosy pierwéj urosną.“ — „Com zamyślała, tom zamy-

ślała.“ — „Myśl co ci się żywnie podoba, nawet o zamkach na księżycu, ja cię wydám za rybaka, będziesz przedła sieci.“ — „Zaraz.“

„Nie mrucz, jam ojciec, rozumiesz!“ — „Spróbujcie.“ — „Co sobie myślisz niecnoto?“ — „Com zamysłała, tom zamysłała.“ — „Zbieraj się do pastora.“ — „Macie go?“ — „Znajdziemy, choć go tu niema, będzie gdzie indziej. Stara!“ rzecze do żony, „idź obstałuj furmankę, siedzenia na troje ludzi.“

Żona wyszła na miasto, Wejsa przypatruje się zyzem na córkę: „Ubieraj się.“ — „Jestem ubraną.“ — „Mówię ubieraj się światłanie, żartów nie znam.“ — Córka się ruszyła z siedzenia, poszła do przyległej komnaty, zawarła drzwi za sobą. — Żona przyszła za chwilę: „Będzie wygodny wóz, tylko daj znać rybakowi.“ — „Idź do niego.“ — „Mnie nie wypada, tyś ojciec.“ — „Prawda, pójdę sam, tylko Ofka niech będzie gotowa.“

Ofka korzystała ze zwłoki ojca, ubrała się, wychodzi z alkierza, a matka rzecze: „śliczne z ciebie dziecko, szkoda cię za rybaka, ale przemoże to ojca!“ — „Pójdę po niego, niech przychodzi, jak ma być kwaśne, niech skwaśnieje na ocet,“ rzekła Ofka i wychodzi. — „Zostań!“ — „Czemu?“ — „Mam plan, przyjedzie wóz, pojedziemy obie.“ — „I matka moją męczycielką?“ — „Nie rozumiesz mnie.“ — „Nie ma czasu do stracenia.“ — „To też wychodźmy obie, bierz zawiniątko, tam jest w komnacie, jeno ostrożnie.“ — Ofka pobiegła: „matko, nieudźwigam sama.“ — „Nie pytaj, jeno bierz na siebie, uciekajmy, dawnom czekała na ten moment,

niech on sobie tu łeb urwie, kiedy mu pachną Szwedzi.“ — Zabrały z sobą talary i wyjechały.

Rewel leży nad morzem; miasto wielkie handlowe, składające się przeważnie z Niemców osadników, których tu Krzyżacy nasprawdzali. Wejsa był także takim mieszczaninem, z rodu Niemiec czystej krwi. Ożenił się z czystą krwią Infantką; naród ten nienawidził Niemców, że go ujarzmili, i weszło w zwyczaj, że umarłemu do grobu dawali siekierę, cośkolwiek strawy, trunku i pieniędzy, śpiewając żałośnie: Idź nieboże z nędzy tego świata na nowy świat, gdzie Niemcy tobie panować nie będą, ale ty im panować będziesz.

Nie dziwota, że żona Wejsy, czysta Infantka, kochająca język ojców i wiarę, mając męża, który się z nią brutalnie obchodził, a litując się nad córką zabrała skarby i wyjechała z nią do Litwy. — Nim się dostały do Dynaburga, uszło parę dni; tu bowiem Wejsowa miała brata, którego odwiedziła dopiero raz w życiu; po drugi raz jechała z córką do niego. Niestety nie znalazła ona go tutaj, przeniosł się był do Kowna jako misterny kowal, i tu osiadł się stale. Nie zatrzymując się wiele przyjechały także na to miejsce. — Brat przyjął siostrę z otwartymi rękami myśląc, że przyjechała w odwiedziny. Po rozgoszczeniu się nastąpiły zaraz żale Wejsowej na męża, malowała go kobieta w najczarniejszych kolorach, a gdy przyszła scena na tapet, że zniewolić chciał córkę w zamęście za rybaka Niemca podobnego jemu pijaka, oburzył się brat.

„Co, Ofka tak śliczna moja siostrzenica ma iść na poniewierkę Niemcom? Słuchaj mnie dziecko, szeroka

jest Litwa, szersza jeszcze Polska, tu lud żyje swobodnie, tu monarcha z ludem jak z dziećmi swemi. Słyszane to rzeczy, by zapraszano u nas na wesele książeńcia? a tu głoszą uniwersały, aby przybywali mieszczaństwo, chłopci i szlachta na wesele królewnej. Jenó cię świat zobaczy, zrobisz szczęście, nie turbuj się nic zgoła.“

Stało się, pojechali do Wilna, bo już miał się odbyć ślub księcia Jana szwedzkiego z Katarzyną królowną polską. Jechało mnóstwo spektatorów z całej Litwy i Polski, jedni zaproszeni, a byli to dygnitarze koronni, drudzy z ciekawości, między niemi Wejsowa z córką, bratem i brataniami. Młodzież litewska i polska, rozumie się szlachecka, wystąpiła konno jako drużyna z przepychem, na jaki się tylko bogactwo kraju zdobyć mogło. — Ofka się także wystrychnęła, ubrała podług mody ówczesnej mieszczańskiej, aby rozróżniono stany; patrzy, wlepia oczy na młodzież polską, jak lalki jeden w drugiego. Chciała zobaczyć ulubionego porucznika, który tak solennie przyrzekł jój wzajemność; gdzie tam, jego nie było.

Porucznik bowiem po zabraniu armji w niewolę, ledwie wydostał się z matni szwedzkiej i cichaczem pojechał do Suwałk, tam bowiem mieszkała jego rodzina. Obiło mu się o uszy wesele królewskie, nawet gozywali, aby był uczestnikiem, jednak punkt honoru nie pozwolił. Myślał sobie: nasz wódz w więzieniu, a jabym się cieszył, nigdy! niech będzie wolnym, to zawita dla mnie uciecha. — Zadumany chodził po Suwałkach przypatrując się różnym wozom, jak się przesuwwały jak karawany azjatyckie, a wszystkie do Litwy, na wesele

królewskie. — Zobaczył na wózku czterech mężczyzn, przed niemi w kolasie niewiasty; przymrużając oka, chwytą się go myśl, jakoby znał jednego z panów. Śmieje się tedy do przejeżdżającej grupy: „aleście się dobrali.“ — Głos ten poznał pisarz ziemski z Malborka: „Stój!“ krzyknął na pachołka. — Wóz stanął. — „Witaj Bersztynie!“ krzyczy pisarz, „anim się spodziewałem, że cię tu zobaczę; ostatni podobno raz w Połocku my się widzieli. Co tu robisz?“

„Bawię u krewnych po nieszczęsnej wyprawie w Inflantach.“ — „I byłeś w Inflantach?“ — „Po drugą głowę panie bracie!“ — „Nie baj! Wiecie co koledzy,“ rzecze do towarzyszy, „musimy się tu zatrzymać.“ — „I owszem,“ rzekli, „ale kobiety.“ — „Alboż nie ma miejsca dla nich? Mój szwagier przyjmie i ugości po staropolsku; pozwólcie niech zatrzymam kolasę i poproszę damy do nas na spoczynek.“

Była to referendarzowa z córką, pisarzowa i podchorążyna także z córką, za niemi ich mężowie. Bersztyn kawaler gładki, poprosił damy, wszyscy zajechali pod wielkie podcienie, w środku rynku na prawo od ratusza, tam zeszli, a kawaler poprowadził ich do mieszkania swojego szwagierstwa. Nastąpiły poznania się, które u szlachty bardzo łatwe; gościnność łączyła wszystkich z sobą, niechby byli ze czterech krańców Rzeczypospolitej. Jużci ugrupowały się matki osobno, dzieciwoje osobno, mężczyźni osobno i wszczęła się pogadanka. Co mówiły panie, łatwo odgadnąć, o strojach i modzie i weselu królewskim, jak ono się światu przedstawi; mężczyźni zaś o przygodach swoich.

„Bersztyнку miły,“ rzekł pisarz malborski, „szczęśliwszyś odemnie, ja jako urzędnik królewski zawsze zatrudniony, a człek się często narazi braciom, bo się nie urodził jeszcze, któryby wszystkim dogodził. Obrabieś sobie stan wojskowy, to mi życie, to mi raj.“ — „Przesąd, masz za to ładną żonkę, ładniejszą jeszcze dziewczeczkę, a ja samotnik.“ — „Wszak ci się żenić nikt nie zabroni, nie należysz do stałej trupy, jeno do wolontariuszów; cały świat dla cię otworem, dziewoj wszędzie jak śmiecia.“ — „Nieszczęśliwa przedziałka.“ — „Nie rozumiem, co chcesz powiedzieć.“ — „Mesaljansu bym nie chciał.“ — „Rozumie się, przecie nie sięgniesz po chłopkę ani mieszczkę.“ — „Ej bracie,“ przerywa referendarz, „zarażasz się ideami z Francji, one niebezpieczne. Masz aspan na myśli niższej kondycji istotę? Sercem się nie rządźmy, jeno rozumem.“ — „Prawda, przyznaję, Wejer się sercem rządził i przepadł.“

„Bersztynie,“ przerywa pisarz, „powiedz mi o tym Wejerze co się stało?“ — „Gdyby się był nie zakochał i nie jeździł do lubej, jeno patrzył swego stanowiska, nie byliby się rozpuścili jego niemieckie knechty i do-trzymywaliby placu; ale jak kota nie ma, wojują po swojemu po lamusie myszy. Rewlanie Niemcy porozumieli się ze Szwedami i wyparli armję Wejera; nec Hercules contra plures; padł biedny ofiarą intrygi.“ — „Więc nie winujesz go?“ — „Za co? Winuję mieszczań i naszych, bo mój podchorąży zakochał się też czyli dopuścił do tego, by mu się Rewlanka, mieszczańska dziewczka oświadczyła, a potem zadrwił sobie z dziewoi;

zboczył też jój ojciec umysły mieszczan, że przechylili się na stronę szwedzką, i wyparli nas.“

„Tak to?“ — „Oj żeby Morteżanka wiedziała!“ — „Tam ją znalazł, do kata!“ — „Cudna dziewa, ani słowa, i majątek jest.“ — „On podobno podkomorzym.“ — „Malborskim.“ — „Albo mu napiszę tę nowinę, bo ma jeszcze insze zmartwienie, niech się ucieszy, choć nam nieraz dokrupi, ale go w Malborku lubimy, bo weredyk jakich mało, utnie sobie sentencyjkę prosto z mosta, nie pyta, czy wojewodzina, lub sam wojewoda, jeno prosto w oczy.“

„Napisz mu Wasze.“ — „Verbum nobile, a aspan nie jedzie do Wilna?“ — „Po drugą głowę?“ — „Ej w kompanji, będzie nam weselój, nasze kobiety lubią towarzystwo.“ — „Najchętniej, jeno mam podróż wyznaczoną.“ — „Dokąd?“ — „Tego nie powiem.“ — „Za Amorkiem.“ — „Sam jak Amorek, chyba szuka Wenus,“ śmieje się pisarz, „Wenusów będzie w Wilnie, ani porachować, możnaby dwie silne utworzyć z nich armje, jedną na Szweda, drugą na Moskala.“

Kobiety dosłyszały, referendarzowa się zbliża na próg: „Waszmoście chcecie z nas formować armje, pewnobyśmy lepiej wojowały niżeli Wejer.“ — „Ho ho,“ przerywa Bersztyn, „jeżeli jedna wygnała jego armję, to was tyła potrafi zawojować świat cały.“ — Roześmiała się referendarzowa, woła drugie kobiety do siebie: „słuchajcie co tu o nas Ichmościowie sądzą, żebyśmy zawojowały świat cały.“ — „Myślicie Imoście, że na żart mówię? Wejera jedna kobieta wygnała z Rewlu.“ — „Haha!“ śmieją się kobiety, „gdyby ona

wiedziała, że się tak z nią naigrywacie a powiedziała ojcu, poznalibyście Mortęgę.“

„Zabawne, Imość myśli o Mortęgownej, że się Wejer zaszalał w nią i on utracił głowę i przegrał Rewel, gruba pomyłka. Mortęgowna by się na to nie zdobyła co Rewlanka.“ — „Miał tam amazonkę? dobrze ma Mortęga, że mu odmówił ręki córki, Anna piękna dziewczka, znajdzie wielbiciela.“ — Mężczyźni zaczęli się śmiać, referendarzowa się oburzyła: „Co za śmieszki, wy widzę wszyscy jednacy,“ i odeszła mówiąc do towarzyszek: „chodźmy od nich.“

„Widzicie Waszmościowie, jak kobiety każde słowo przekrętnie tłumaczą; dają słowo, jutro rozgłosi się po mieście, a potem po okolicy, że Wejer miał amazonkę w Rewlu, stał się jej niewiernym, ona mu stołka podstawiła; insi przydadzą, że dla niej poddał Szwedom Rewel.“ — Rezon Bersztyna podobał się gościom, polubili go pierwszy raz widząc, wołają: „ale porucznik musi z nami jechać do Wilna, nie nie pomoże, jeżeliby się wahał poprosimy kobiet i przemogą go, pewnie im nie odmówi.“ — „Dla kobiet jestem z respektem i usługą.“ — Pisarz skoczył do pań, przyprowadza dwie młode panny, podszeptawszy im wprzód żądanie, one prosto jak w dym do porucznika, aby im towarzyszył do Wilna. Bersztyn się złapał na wędkę, nie mógł odmówić, dał słowo. — „Mamy nowego towarzysza,“ krzyczą, „niech żyje!“ — Zabawili tedy przez noc i naza jutrz wyjechali w dziewięcioro.

VIII.

W Toruniu niecierpliwiła się Wulkowska, czemu nie widać Ludwika; „czy co niezaszło?“ mówi sama do siebie. — Nadjechał sam mąż. — „Czekam na ciebie z podwójną niecierpliwością, powiedz co tam w Gdańsku.“ — „Cały Gdańsk wybiera się na królewskie wesele.“ — „Jakżeby też Kostkowie wojewodowie!“ — „A my nie dygnitarze królewscy? Zbieraj mi się i koniec.“ — „Nie mogę.“ — „Z racji?“ — „Goście.“ — „Jacy goście?“ — „Mam ładnych chłopców dwóch a na trzeciego czekam; poszli do kościoła.“

Wulkowski czeka niecierpliwy, bo mu żona powiedzieć nie chce; przychodzą wreszcie kawalerowie. — „Dąbrosiu! jak się masz Wasze?... i Knuta tu! a to mnie cieszy, zuchyscie, takich mi właśnie trzeba, gdyby Ludwik przybył, będzie dopiero doborowa trójka, z wami się nie powstydzę.“ — „Właściem Ludwika posłała do brata, aby wyprosił Anusię, żal mi jój okropnie.“

„Imość, a gdzież zastanowienie! Mordęga zostanie upartym do śmierci, czém tylko dzieciom szkodzi; albo on puści dzieci do ciebie? właśnieśmy w Gdańsku z Kostkami mówili o tym interesie. Kostka mi obiecał, że się wstawiać będzie za Wejerem do króla, słyhać, że on podstępem stracił Rewel, a za to nikt nie może.“ — „Kamień spadł by mi z piersi; doprawdy, może mnie jego pozycja więcej zmartwiła, niżeli Anusię; ja ją kocham więcej niżeli własne dzieci. I któż Waszmości mówił, że Wejer niewinnym?“ — „Przypłynęły łodzie

nasze z pod Rygi i Rewla, opowiadają, że mieszczenie Rewla zbuntowali się, wpuścili Szwedów i pomogli im wypędzić Wejera. Jakże on się mógł opierać z taką siłą przeważającą sile podstępного nieprzyjaciela, do tego mając knechtów niemieckich, trzymających z nieprzyjacielem, bo wilk zawsze ciągnie do lasa.“

Wulkowska zaciera ręce: „Chłopcy pojedziemy do Wilna, ale czemu Ludwik nie wraca, dał słowo!“ — „Musi przełamać pierwsze lody,“ powiada Knuta. — „Słusznie, tam na Mortęgach kry zawałyły, lecz one stopnieją powoli.“ — „Chyba ja mężu wyszłę gońca do Mortęgi? czas nam drogi, daleka droga!“ — „Sądzę moja Imość, że nie potrzeba. Wybierzemy się wozami na Mortęgi, niech się nam zyzem Majcher przypatrzy, porwiemy dziewczęta, jego zostawimy na medytacji, niech sobie odmawia pacierze. My się nań nie gniewamy, i tym sposobem damy światu poznać, żeśmy nie zacofani.“ — „Zgoda, tylko czy dziś wyjeżdżamy czyli jutro?“ — „Nie jesteśmy gołębiami, abyśmy za dzień zalecieli do Wilna.“ — „Słusznie, ja każę pakować służbie rzeczy, a Waszmoście także się krzątajcie, co nam braknie dokupiemy na drodze.“

I wyjechali także Wulkowscy do Wilna. Na nie szczęście deszcz lunął, drogi się popsuły, przeleciała i śnieżnica. Krok za krokiem się wlekli. — Jakież ich zdziwienie: Majcher Mortęski podkomorzy wyjechał również z całym swoim dworem, rozumie się z trzema córkami i synem na wesele królewskie. W Mortęgach zastali jeno pismo, które im oddał wierny sługa Mikołaj z wyrazem: „Zadziesiątał mnie panicz, abym na-

tychmiast odesłał gońcem to pismo do Torunia, aleście Waszmościowie nadjechali, więc go oddaję.“ — „Dawno odjechali?“ — „W samo południe.“ — Wulkowska się śmieje: „a to nam sprawił niespodziankę.“ — „Ba, na despet, bo wiedział od syna, żeś mówiła, nie pojedę; myślał sobie: wyśmieję się z Wulkowskich.“

„Czytajno Imość co pisze Ludwik.“ — Wulkowska rozpieczętowała i czyta: „Moja kochana cioteczko! Odmiana księżycy nowiem zwana sprowadza w atmosferze przemianę, moje przybycie przemieniło tak dalece ojca, że na wszystko przystał, com zaproponowałem; prosiłem go, by mi pozwolił z Anią wyjechać do cioci, on odparł szorstko: Wolę z wami jechać do Wilna. Piszę też do cioci, donosząc tę nowinę i błagam na wszystko, aby z koleżkami razem przyjechała za nami, dopiero tato zrobi wielkie oczy, a przy takiej uroczystości da się pewno przeprosić. Ludwik.“

Ośmiała się Wulkowska i wszyscy razem. — „Ichmoście się śmieją,“ przerywa Mikołaj stojący przy powozie z odkrytą głową, „a tu mi się płakać jeno chce.“ — „Czy co zaszło?“ — „Nie pojedą pewno państwo, jeno zanocują, śnieżnica, będzie ciemno jak w piekle, droga zła; konie odpoczną, na jutro się odmieni, bo koguty pieją, a kury wcześniej poszły spać. Moi państwo będą spoczywali dziś w Lubawie, bo tam mają załatwić interes względem frejliny Bronki, ona nieboga siedzi, spuchła, tak ją skatowali, a ona niewinna, przysiągłbym na wizerunek Pana Jezusa, klejnoty się znalazły.“ — „A złodzieje wykryci?“ — „Złodziejem Wulkan.“ — „Psina? jakim sposobem?“ — „Ot musiał

zawlec pod szafę i tam leżały, ażem je wydobył i oddał Jegomości.“

„Nie zatrzymamy się jednak, jeno zdążymy do Lubawy.“ — „Ichmościowie! błoto, woda, w nocy każda gęś czarna, posłuchajcie doświadczyńskiego, byście się tak nie skąпали jak my razu pewnego z nieboszczką Imością.“ — „Mamy latarnie, daj nam tylko dobrych przewodników i przyprzążkę.“ — Mikołaj kiwnął ręką, „na upor lekarstwa nie ma,“ i odszedł wypełnić rozkazy.

Gwiazdy zaczęły się pokazywać na firmamencie, chmury poumykały ku Gdańsku, wiatr bowiem południowy popędził je w tamte strony; tu i ówdzie migotały światełka po domach Lubawy. Trzy wozy po 4 konie wjeżdżały do miasta. Straże nocne trąbiły godzinę jedenastą, księżyc zabłysnął białém światłem, ukazała się wieżycą kościoła. — Wulkowska pobożna matrona rzecze: „Widzicie kościół, zdejmijcie czapki, oddajcie ukłon Jezusowi.“ — Pierwszy Wulkowski zdjął czapkę, przeżegnał się, młody Dąbrowski także; Knuta poprawił czapki.

„Coż to, aspan mnie nie słyszał, com mówiła, jedziemy koło kościoła, czapka!“ — „Oho! wiele razy przeleciałem w Wiedniu przez kościół ś. Szczepana, aby sobie skrócić drogę, ktoby tam czapkę zdejmował. Idolom się nie kłaniam.“ — „A aspanku, kto nie szanuje świętości, tém samém i Boga.“ — „Ziemia wszędzie święta, musielibyśmy bez czapek chodzić, abyśmy się ciągle kłaniali.“ — „Powieм ja pańskiemu papie.“ — „Waszmość rznęłaby takie baje, nie rozumiem.“ — „Do bajek zaliczasz pokłon Bogu? Dla czegoż zdjąłeś

nisko czapkę przed Zosią? — „Ej Waszmość za daleko posuwa swoje postrzeżenia, dziewczoja ładna warta tego.“ — „A Pan Jezus nie warta?“ — „Przepraszam, poprawię się na drugi raz.“ — „Pamiętajże.“

I tak jechali, aż zobaczyli oświetloną kamienicę Mortegów. — „Są w domu,“ szepnęła Wulkowska, „ktoż pójdzie naprzód?“ — „Ja się ofiaruję,“ mówi Knuta. — „Zapowiedz nas i uważaj co oni na to?“ — „Dobrze,“ wyskoczył i zniknął w kamienicy. — Oświetlenie było rześiste świecami i kagańcami. Za stołem siedział Mortęski, wokoło córki, Ludwik coś rozprawał. — Knuta wchodzi: „Donoszę,“ rzekł tonem pełnym, „Wejer przyjechał, czy mu wolno będzie wstąpić?“ i cofnął się do drzwi, zniknął, zleciał na dół, śmieje się.

„Co takiego?“ pyta Wulkowska. — „Postraszyłem ich wszystkich, że Wejer przyjechał.“ — Wszyscy wybuchli głośnym śmiechem; śmieją się na kolasie, ani myślą wychodzić. Zjawia się Ludwik, skoczył do kolasy: „Witam mospańa Wejera!“ — Jak krzyknie Wulkowska: „haha ha!“ poznał Ludwik ciocię i wykrzyknął: „A to niespodzianka, a toście nas zestraszili!“ Ściska, całuje ciocię, wuja, kolegów, śmieje się: „proszę bardzo, proszę.“

Wysiedli śmiejąc się. „No Ludwisiu, coż ojciec na to?“ — „Wiecie, tak zbladł, że nie może przemówić ani słowa.“ — „Prowadź nas kochanku, a Knuta odpowie za jego żarty.“ — Naprzód wchodzi Ludwik, krzyczy: „Tato! prowadzę Wejera w spodnicy.“ — Stary zobaczywszy siostrę i tyle gości, biegnie, bierze za ramiona, ściska, całuje kolejno. Nastał śmiech, wesołość;

dziewczęta wieszają się u szyi cioci, rozbierają, cieszą się, całują, powtarzając: „a to niespodzianka!”

„Widzisz bracie,” rzekła Wulkowska, „chciałeś nam uciec, a my cię dogonili, godziłoż się nie zaprosić nas do towarzystwa?” — „Mea culpa siostruniu kochana.” — „Ja ci tu dam kulki, szukać na całym dziury hę! godziłoż się gniewać na siostrę, która cię szczerze kocha i twoje dzieci.” — „Zmartwienie, siostro kochana! krzyżyk za krzyżykiem, a dziś największe mnie spotkało; uważ sobie, wiesz o tém, że mój żonie zginęły klejnoty, pomówiono ją, że z desperacji za niemi umarła, a tu się pokazuje, że ją otrul łotr kucharz.” — „Rany boskie!” syknęła Wulkowska.

„Mam go, schowanego, ale o tém przestańmy już mówić. Żaliński niby to erudyta sędzia, chcąc mi dopomóc w wyszukaniu złodziei, wymyślił jakieś alibi, i wparł na frejlinę Bronkę, że ukradła klejnoty; pod pręgierzem zeznała, tymczasem wyjaśnia się, że ona niewinna zupełnie; lecz nie wróca się plagi, zbili, zkatowali dziewczę, pocięli ciało na niej. Boże Wszechmogący! zachorowała biedaczka i dziś umarła. Niewinnie stracić duszę, to nie żart, moja Magdzia dziś nie do ukojenia; biedne dziecko, żałuje swój niańki okropnie, prosiła mnie, abym jej sprawił przynajmniej pogrzeb. Możnaż odmawiać ostatniej przysługi? Wybrałem się z dziećmi na królewskie wesele, a tu Bóg inaczej. Niech się dzieje wola Jego. Powiedziałem zostanę, będę sam na pogrzebie; Ludwik się gniewa, jemu znowu Wilno na myśli, i taki kłopot spadł mi na głowę, nie wiem gdzie ona mi stoi.”

Śmiech na wstępie, obrócił się w zadumę, goście milezeli. Jeden Ludwik odważył się po pauzie przemówić: „Ojciec się więcej smuci z przygód Wejera niżeli ze śmierci Bronki, weselisko się odwlecze, a chciałby jeszcze raz podskoczyć mazura.“ — „Stulisz!“ miał wypowiedzieć pysk, ale się złapał za usta. „Boże Wszechmogący! nie wódz na pokuszenie... co mi pleciesz chłystku o Wejerze, on nie twoim równym. Starszych szanować, młody niech milczy! Piękna mi edukacja wiedeńska, nie mogłem cię posłać do Krakowa na Akademię Jagiellońską, tam uczą milczeć młodym. Co nam starym wolno, młokosom zasie. Dobraliście się dwaj sowizdrzały, jeden mnie straszy Wejerem, drugi plecie duby. Wejer jeżeli zasłużył, ukarze go Najmiłościwszy monarcha, a nam zasie, abyśmy mieli szarpać sławę człowieka... On sobie szlachcic jak i ja, równe wszyscy mamy prawo.“

Młodziki położyli pięknie po sobie uszka i stali pokornie jak strusie; panny tylko szeptały cichutko z sobą i pozierały na brata. Stary usiadł nareszcie obok siostry, podjął jej rękę, pocałował mówiąc: „Bardzo content z waszego przybycia, naradzimy się też o niejednym.“

Kawalerowie bawili się w osobnej komnacie; z niemi zasiadł Wulkowski prowadząc mowę o nastąpić mających zabawach królewnej Katarzyny, aby dodać animuszu młodzieży do podróży. Istotnie zawrócił wszystkim głowy, że spać nie mogli, a panny Mortęgowne odstąpiły od zamiaru uczestnictwa na pogrzebie nieśczęśliwej Bronisławy; jedna tylko Magdzia nie chciała

słyszeć o weselu. „Muszę być na pogrzebie Bronki,“ wyrzekła stanowczo do siostr swoich, „brat jeżeli was namówił, jedźcie sobie, milsza mi z Bogiem rozmowa, niżeli ze światem.“

„Jakaś mi tam dewotka,“ wykrzywił się Ludwik, „siedź sobie w domu, my namówimy tatkę, że jutro pojedzie z nami.“ — Mała wykrzykła: „pamiętajże, że pierwszy Bóg, drudzy ludzie, żeby cię nie skarał.“ — „Może za ciebie? jaka mi tam pobożnisia!“ — Magdzia zniosła przycinki w milczeniu i poszła spać; wszyscy także położyli się na spoczynek i nie wstali aż około 10, bo późno rozeszli się z pogadanki.

Dnia następnego koło południa już były pozaprężane powozy do podróży, ani tam wspomniało które o pogrzebie. Wulkowska odwiodła brata od zamiaru oddania służce ostatniej przysługi, córki nie były także za tém, jeno Magdzia zapłakana chodziła. — Wyjechali tedy in gremio do Wilna.

Zjazd w Wilnie był ogromny. Królewscy dygnitarze wystąpili w pełnej gali, świeciły się kontusze, karabele i złociste pasy. Mortęgowie, Kostkowie, Żalińscy, Wulkowscy, tworzyli osobne familijne koło. Młodzież ich wystąpiła konno grupując się z szlachecką młodzieżą. Odbył się ślub księcia Jana z królowną Katarzyną w katedrze Wileńskiej najwspanialszy i nastąpiły weselne gody.

Ojcowie i matki magnackie chcieli też przecie, aby nie tylko oni, lecz także ich synowie i córki byli przedstawieni królewskiej parze. Od takiej pierwszej znajomości na dworze królewskim zależało często całe szczę-

ście na przyszłość. Dla tego Mortęski szukał sposobności, by tylko swojego Ludwika przedstawił królowi Augustowi. Ułatwili ten wstęp Kostkowie, wojewodowie Gdańscy, dopiero na czwarty dzień po królewskim ślubie. Jakaż radość powstała w duszy Ludwika i obu sióstr, że będą przedstawieni królewskiej Mości. Z biciem serca oczekiwali téj chwili a stary Mortęga powtarzał do dzieci: „Przecie mnie też Bóg pocieszył, nie żał mi będzie zawrzeć powiek, skoroście się doczekały takiego zaszczytu.“ — Wulkowska była jeszcze więcej ucieszona, ubierała sama siostrzeniczki, by przecie wyglądały powabnie. Kostkowa zaś uczyła etykiety, jak się mają zachować w komnacie króla Jegomości, gdy raczy przemówić do nich słów kilka. — Nastął dzień pożądaný, zaprzągnięto do karety, wsiedli i pojechali na zamek.

Król Zygmunt August był człowiekiem miłego wejścia, zawsze poważny i nader przystępny, nie żałował też słów do poddanych, ani się trzymał dworskiej etykiety, żeby cedził przez przetak ochmistrzów swoich mowę, jaką się odezwać ma. Zobaczywszy młodziana pełnego życia zapytał zaraz: „Academicus Vindobonensis? dobrze chwalebnie, że się aspan oddajesz naukom, będziesz pożytecznym Rzeczypospolitéj.“ — Siostry zarumienione stały przy boku ojca; Mortęga kazał im znakiem uklęknąć przed tronem; ale monarcha sparł na ramieniu Elżbiety rękę: „powstać proszę,“ i odnosi się do ojca: „JMć podkomorzy przedstawia mi swoje dzieci?“

„Tak Najjaśniejszy Panie, racz je też pobłogosławić dla mego szczęścia na ziemi.“ — „Życzę wszelkie-

go dobrego, dobre obywatelki są podporą tronów.“ Poczem uklonił się monarcha głową, co znaczyło, aby odeszli; oni też nauczeni zachowania się przed monarchą, oddali pokłon ugięciem kolana, wstali i wyszli z królewskiej komnaty.

Co się malowało na twarzach téj rodziny, trudno określić; trzebaby być Mortęgą w téj chwili, toby zdołał wypowiedzieć radość serca swego. — Wsiadli do karety, stary dumny, wzniosł głowę do góry, jak pierwszy jaki minister potentata. Jada. — Na mieście stoją grupami ludzie, ani się tam przecisnąć, stangret jeno wstrzymuje konie, aby nie potarasiły kogo, krzyczy: na bok! — Gdzie tam, nawała ludu toczy się ulicą, bo księżę Jan z królowną mieli przejeżdżać, aby ich publiczność widziała.

Mortęga miał ogniste szpaki, jeno furkały na nosie i otwierały nozdrza, jakby się przedrzeźniały publiczności: was podepcemy. Naraz robi się krzyk: „stój!“ publiczność rozjątrzona chwyta za cugle. — „Co!“ krzyczą, „śmiesz Wasze deptać końmi po ludziach!“ — „Ja Boże wszechmogący jadę od króla Jegomości.“ — „Ale podeptałeś dziewoję, krew się leje.“ — „Słyszysz!“ krzyczy Mortęga nos zadarty mając do góry, „powiedziałem, jadę od króla Jegomości, byłem przedstawiony, bo jestem podkomorzy Malborski.“ — „Panie Bracie,“ łapie go za rękę mężczyzna w kontuszu, czaple pióro mający na kołpaku: „Ja tu więcej razy byłem u króla Jegomości niżeli aspan; wobec ogólnej radości weselniej poważasz się naruszać spokojny lud i tarasić go końmi?“

Dwóch mężczyzn przyprowadza bardzo przystojną dziewczynę stanu mieszczańskiego, pokrwawioną. Morteżanki zobaczywszy krew, krzyczą w niebogłosey: „Idźcie z nią, idźcie, my niewinne.“ — „A co aspanie, panie bracie,“ znowu zagaduje go szlachcic, „godzi się plamić radości weselne krwi przelewem? Do króla! Do króla!“ — Morteęga się opamiętał, duma przemieniła się naraz w bojaźń i strach; wargi mu się zatrzęsły: „Panie Boże Wszechmogący, zagodzę, zapłacę każdą kropelkę, cóż ja winien, że mazgaj stangret nie mógł utrzymać koni; proszę ze mną, bardzo proszę, dam co chce ta dziewczka, Panie Boże wszechmogący!“ — I przyprowadzono do mieszkania pokaleczoną.

Morteński ogląda sam ranę; na lewej ręce rozdarte ciało, na lewej nodze strzaskane palce, wpadła ona pod konie i koła przejechały po jej lewej części ciała. — „Lekarza!“ krzyczy sam, „zagoi się, pst, cicho!“ — „Nie pst!“ mówi szlachcic. — „Z kimże mam honor panie bracie?“ — „O honory nie stoję,“ odpowiada, „jestem Bersztyn i mam prawo upominać się za skaleczoną, bo ją znam z Infant.“ — „Z Infant ta dziewczka, o jeżeli takie piękne tam rosną, to nas zawojują.“

Ofka, (bo to ona była) słysząc to podchlebstwo, w połowie ozdrowiała. Pochwalić wdzięki kobiety, już połowę zyska się jej zaufania. — Panny Morteżanki przyczyniły się także do zatarcia tej niemiłej sceny, wprowadziły chorą do swjej komnaty i z zimnej wody i soli zrobiły okłady. Ofka jeno sykała; spokoily ją jak mogły, a mężczyźni dysputowali sobie, wymieniając swoje zdania w tej kwestji. — Morteęga się uniewinniał,

zareczając honorem i zapłatą. Bersztyn zaś odpierał wszystkie propozycje, tylko żądał pielęgnacji, bo inaczej wytoczy sprawę tę publicznie. Nie mogli się pogodzić w pierwszej chwili.

Zjawia się Żaliński; znał on poprzednio Bersztyna, na widok jego skoczył: „Witaj bracie! co cię też tu przyniosło, chyba sprawa Wejera! Mój kochany, wszystko się wygładziło, właśnie widziałem się z Kostką, a on mi powiedział tę pocieszną nowinę, że Najjaśniejszy Król uwolnił go od zarzutu zdrady.“ — „Jakiej zdrady?“ — „Nie wiesz to, co się stało w Rewlu?“ — „Alboż nie byłem tam czynnym!“ — „A więc, kiedy tak, powiedz, jak się stało.“ — „W cudzej sprawie trzeba być krótkim w słowach a prędkim i sprawiedliwym w obronie. Podchorąży zawinił, wódz poszedł do więzienia. Mieszczanie dowiedziawszy się o niewierności podchorążego, spikli się ze Szwedami i wypędzili nas; krótka odpowiedź.“ — „Nie śpiewaj mi Waszmość kantyczek salamonowych, bo przyznam się, że jego mowy wcale nie rozumiem,“ wtrąca Mortęga.

Bersztyn się roześmiał, Żaliński jeszcze więcej. — „Oj Wulkowskiego jeno brakuje,“ rzecze Żaliński, „on dopiero kompozytor salamonowych kantyczek.“ — „Młodziki!“ pogroził Mortęga. — Bersztyn przerywa: „istotnie prawdę mówię, jedna niewiasta nas wygnała, bo zburzyła wszystkich mieszczan za wiarołomność Polaka.“ — „Aspan co mówisz? Wejer miał tam kochankę?“ pospieszył Mortęga i otworzył drzwi: „Aniu chodźno!“

Anna przybiegła na skinienie ojca: „Co tato rozkaże? chora majaczy, choroba przybiera większe roz-

miary.“ — „Co tam mówić o tém... Wejer stał ci się niewiernym, kobieta go z Rewlu wypędziła. Oj, żeby król wiedział, dałby mu amorów! Czy się to godzi, aby wódz bawił się z amatorami!“

Bersztyn machnął tylko ręką, skoczył z ławy na równe nogi, pobiegł do Ofki. Naturalnie widział bladą dziewczę. — Wpada za nim Mortęga: „Mówię Waszmości, tak jemu jak jój paliłbym rusznicą w łeb. My tracimy Inflanty, za co? Wejer godzien banicji!“ — „Ej co Waszmość pleciesz, nie rozumiejąc interesu; ratować trzeba nieszczęśliwą, która przybyła z Inflant w celu wynurzenia żalu serca swego za zdradę. Widzisz ją, to ta sama!“

„Boże wszechmogący,“ załamał ręce stary Mortęga, „Elziu, ty pielęgnujesz węża, co ci zatruł serce? appage satane! ztąd! ztąd! a toby mi się podobało, ukartowana na moje zmartwienie straszna intryga.“ — „Daj-no sobie Waszmość wyperswadować,“ przerywa Żaliński, „porucznik mówił o czém inszém a nie zrozumiałeś jego zdania.“ — „I aspan na mnie? co to jest! wynoście się odemnie, wszyscy spiknęliście się na moje zmartwienie, Boże wszechmogący!“

I byłby pewno wypędził gwałtem wszystkich z mieszkania, ale na szczęście przybył lekarz. Obejrzał rany: „To nic, zagoi się!“ rzekł, „Imościanka się więcej przelekła, nie turbujcie się Waszmościowie.“ — Mortęga syknął: „Boże wszechmogący!“ rusza za ramię córkę Annę, „a usunę się od téj żmii,“ szepce; „chodźmy ztąd.“ — I wynieśli się Mortęgowie do drugiej komnaty

zostawiając samotnie Ofkę z Żalińskim, Bersztynem i doktorem.

Mortęga chodził jak struty, Elza jeszcze więcej; tylko Ludwik zachował krew zimną, zresztą nierozumiejąc panować nad sercem, myślał tylko o tém, że jako szlachcic polski, gdy będzie posiadał nauki, otwarte ma pole do największych zaszczytów, i patrząc się na podobną komedję, rzekł: „Miałby też raz ojciec rozum a nie wierzył bajom świata; co mnie albo ojca obchodzi Wejer? jak sobie pościelił tak się wyspi.“

„Młokosie!“ fuknie z oburzeniem stary, „co ty rozumiesz, co jest zmartwienie, a nawiodłeś nań. Po co było opuszczać Wiedeń, na co bałamucić ciotkę wmawiając podróż na wesele? Skarał mnie Bóg, odmówiłem niewinnej osobie ostatniej usługi. Jak też ta umrze, zem ją końmi potratowałem, wszyscy w Wilnie wytykać będą: sprawił Mortęski wesele! Ach, wolałbym, by Mortęgowie wyginęli a nie znosili téj hańby.“ — „Co ojciec plecie!“ — „Ty!“ skoczy Mortęga z pięścią. — Ludwik wymknął do sieni, i uniknął awantury.



Magdzia została się w Lubawie z boną. Ta była osobą w trzecim perjodzie wiekowym; rozsądek u niej przeważał nad sercem. Zatrudniała Magdzię robótkami, zmieniając ich formę codziennie, tak by umysł młodej panienki zawsze coś innego miał do rozważa i wyko-

niania. Nie przykrzyła sobie elewka, zawsze była poważną, nad wiek skromną i posłuszną.

„Magdziu,“ rzecze bona rozkazująco, „nie bądź mi ciągle smutną, patrz się wesoło i korzystaj z rozrywek. Oto pójdziemy na ślizgawkę.“ — „Asendzino! wołałabym pójść na cmentarz.“ — „A to po co?“ — „Przecie mi się godzi pomodlić się za mamę, ona tu spoczywa we własnym grobie; a potem spytałabym się grobarza, gdzie spoczywa Bronka moja, i zaniósłabym jój kwiatek.“ — „Ani za mamą, ani Bronką nie desperuj, przybrałaś sobie coś do głowy niepotrzebnie; kto umarł już nie wraca.“ — „A przecie mi nieraz Bronka mówiła, że umarli powstają, dusze zaś przychodzą w dzień zaduszny do kościoła koło północy i czekają od żywych krewnych ofiary.“ — „Taka mądra była Bronka jak i ty, nie wierz temu.“ — „Asendzina miała męża?“ — „Miałam bardzo dobrego, jeno mi umarł.“ — „Nie modliłaś się za niego nigdy, ani nie zaniósłaś do kościoła ofiary?“

Kobieta osłupiała na słowa dziewczyny, mimo woli przyznała się, że co dzień mówi za duszę jego pacierz. — „A mnieby nie wolno było modlić się za Bronkę, która mnie pacierza uczyła? Kiedym nie pojechała na królewskie wesele, pozwoli mi asendzina na grób méj Bronki, ja sobie tam uklęknę i trochę popłaczę. Tak mi przykro, tak tęskno, że też tato ani siostry nie poszły na pogrzeb, jeno się wybrali na wesele, jakby całe szczęście tam znaleźli, a może przywiozą zmartwienie.“ — „Co Magdziu mówisz?“ — „Mówię co czuję, nawet mi się śniło, że widziałam wielki wóz z deszczek zbity,

a za nim siedział ojciec.“ — „Pójdziemy najprzód do kościoła, a potem na cmentarz, tylko bądź mi spokojną.“ — „Dziękuję, nigdy w życiu nie zapomnę tej grzeczności.“

Bona nie dotrzymała słowa, zamiast pozwolenia do kościoła i na cmentarz, kazała zaprządz karete, i wyjechała z elewką do Chełmna. Magdzia ani się skrzywiła, bo bona zmyśliła, że nagły interes zmusza ją do tego wyjazdu. Z góry chełmskiej od przewozu wspólnie przedstawia się Chełmno z jego wieżycami i klasztorem żeńskim. — „Co to jest?“ pyta bonę Magdzia. — „To klasztor zakonnice.“ — „Jakże cudownie wygląda?“ — „Hoho, gdybyś tam zobaczyła wewnątrz, rudery straszne.“ — „Ciekawam.“

Zajechały do miasta, stanęły w gospodzie. Bona poszła z Magdzą do sklepów nakupić różnych materyj; chciała bowiem powracającym córkom pana zrobić niespodziankę, poszyć nowe salopki wchodzące w modę. Po sprawunkach, prowadzą się obie do klasztoru zakonnice. Kościół wyglądał wewnątrz bardzo mizernie, wszędzie po murach pełno pleśni, ołtarze zakurzone, istotna pustka, bo w nim Krzyżacy mieli przez kilka czas stajnię swoją, i widać było tę gospodarę. — „Widzisz Magdziu, jaka to pustka, coś dopiero w mieszkaniach, tu mieszkają trzy Niemki zakonnice i Polka Izbińska, stróżują tych murów jak upiory jakie; aż obdziera, tak tu ckliwo, chodźmy stąd.“ — Magdzia popatrzyła na mury, westchnęła sobie. Jakie myśli przebiegły przez jej małą głowę, nie objawiła ich przed

boną; przeżegnała się, uklękła w świątyni Pańskiej i zmówiła paciorek.

Powróciły do gospody, tu kręcili się różni goście. Bona ciekawa przypatrywała się fizjonomjom; ten ładny, ten przystojny, ów brzydki choć młody, cenzorowała oczyma, naraz wykrzykła: „Ach kogoż ja widzę? Magdziu patrzno, poznasz tego Jegomościa?” — „Ernest Wejer, znam go, widziałam u Kostków.” — Prawie wchodził do wrót, kiedy mu biegnie Magdzia naprzeciw, chwyta za rękę: „Wasze tu?”

Wejer w pierwszej chwili nie mógł się zorjentować, kto go tak serdecznie wita; bona stała nieruchomie w sieni. On widząc zawiązane oko, domyślił się, że może być siostra narzeczonej; zapytał tedy głośno: „Tatko i siostry tu?” — „Niema ich, ja sama z boną.” — „Gdzie tatko?” — „Tatko pojechał na wesele do króla, Ania i Elzia także, Ludwik przyjechał, i pojechali razem.” — Bona słyszała, przybliżyła się do gościa i ukloniła mu się: „Waszmość pozwoli, Jaśnie podkomorzy pojechał z rodziną do Wilna, Wulkowscy także razem, jeno o Żalińskim nie wiem powiedzieć.” — „A coż tu robi Aspani z Magdzą?” — „Przyjechałam po sprawunkach do sklepu, Imoście mnie obligowały, abym wymyśliła coś ładnego, jak będzie wesele.”

Wejer się uśmiechnął, myślał on, że dlań gwiazda świeci, pyta tedy: „Gdzie teraz państwo mają stałe mieszkanie?” — „Na Mortęgach Imoście nie chcą, jakoś od śmierci matki tam przykro, najczęściej w Lubawie, na Mortęgach sam Jegomość jak pustelnik.” — „Nie dziwota, człowiek zmartwiony,” mówi Wejer. —

„Już po zmartwieniu, klejnoty się znalazły, posądzona niewinnie umarła, jeno Imość nieboszczka poszła ze świata,” i westchnęła, „ale ucieszy się Imościanka, że Wasze w naszych stronach.” — „Długo tu zabawi asanna?” — „Pojedziemy zaraz, bom pokupiła co trzeba.” — „Zapowiedz, proszę do ucha JMci Annie, po trupie pójdziemy do ołtarza.”

Bona się uśmiechnęła, ówczasnie bowiem wielkie szczęście było dla panny, jeżeli się o nią bili zapaśnicy, albo jeżeli ją wykradziono, a największe, jeżeli rywal położył przeciwnika i prowadził pannę do ślubu. Kobiety cieszyły się ogromnie z podobnych awantur i poczytywały się za szczęśliwe. Dla tego bona, stara dworka zrozumiała dobrze wyrzeczone słowa i wyszczerzyła ząbki; zapytała na ostatku: „a kiedyż też Waszmość do nas zawita?” — „Jadę do Niemiec, kiedy wrócę, nie wiem.”

Bona przyjechała do Lubawy ucieszona niezmiernie, że ma nowinę dla panny sekretną, zaś Magdzia była ogromnie zamyślona. — „Co ci Magdziu?” pyta bona tonem przymilającym. — „Pozwol mi, abym odwiedziła grób mojej kochanej Bronki. — „Zimno, zaziębiłabyś się, zachorowałabyś, a potem, co niedaj Boże.” — „Myślisz, że się lękam śmierci? bynajmniej, zobaczyłabym kochaną mamę i Bronię, ja ich kocham i dla nich żyć będę.” — „Magdziu, ojciec zakazał.” — „Przy odjeździe nie mówił nic.” — „Pozwolę jutro.” — „Modlitwa nie czeka.”

Na te słowa zmięła bona: „pójdziemy dziś po południu, niebo się wypogadza.” — „Bóg mnie wystu-

chał," wyszeptała Magdzia, poszła do drugiej komnatki i uklękła przed ołtarzykiem w pokorze. — Bona patrzyła się na nią przez drzwi odchyłone; dziwne oparowało ją uczucie. Włos jasno blondynowy spadał kędziorkami skreślony na ramiona dziewczynki, cała jej postać jaśniała blaskiem anielskim, gdy usta niewinne szeptały modlitwę, płynącą z czystej duszy, za zgasłymi osobami. Mimowoli stoczyła się litosna łza nad dziewczątkiem z oka zatrwożonej kobiety; cofła krok, stanęła wryta dumając długo. Słyszy naraz tupanie po schodach, przeleciała jej myśl: czy Wejer nie wrócił.

Drzwi się otwierają, stary Mikołaj z Mortęg wstępując mówi głosem grubym: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“ — „Na wieki wieków Amen,“ odpowiada kobieta, „witaj Mikołaju.“ — „Panie Boże zapłać.“ — „Coż was tu żenie?“ — „Przygoda.“ — „Dla Boga, czy nasi państwo wiecznie na nieszczęścia wystawieni.“ — „Jam nieszczęśliwy tylko.“ — „Wam się coś stało?“ — „A dyć, ten niecnota kucharz uciekł z piwnicy, pan mnie zakamieniuje; żebym go złapał, uśmierciłbym go na miejscu na moje zmartwienie. Mówiłem Imości nieraz, nie bierz Niemca za kucharza, ma on rogatą duszę, nie pomogło, ona przyszła do nieszczęścia, i na nas się teraz zwala.“

Magdzia przybiegła, bo dosłyszała tę mowę. „Co to się stało Mikołaju?“ — „Kucharz uciekł Imościńko, sprawił mi wesele.“ — „Nie turbuj się, jeno módl się do Boga, On dobry.“ — Mikołaj westchnął. — „I coż będziesz czynił Mikołaju,“ mówi bona, „jabym sądziła, daj znać do grodu.“ — Mikołaj kiwnął ręką: „podobno

dziedzic na bakier z grodowymi, nie zrobią dlań nic.“ — „Nie słyszałam.“ — „Jam także przy tém nie był, ale ściany uszy mają, staroście radował się Elzi, a tu Żaliński bierze mu ją z pod nosa.“ — „Takeś słyszał?“ — „O wróble dobrze o tém śpiewają, żalu jest u starostów, mówiła mi klucznica; jakże tu orędownać o zbiegu, kiedy będą radzi, że mu zemknął, i może jeszcze da się w znaki. Rozgłosiło się też, że Bronka niewinnie ze świata zeszała, nie wiem co to będzie dalej?“ — „Ale z pisarzem ziemskim żyje Jegomość w przyjaźni.“ — „Bodaj taka przyjaźń, jak ze mną w zamku nocował, wyjęzyczył się, że tam ze syna niewielką będzie miał pociechę, po co było panicza dawać do Niemiec, on się zniemczy, będzie miał duszę rogatą.“

Bona się roześmiała, a Mikołaj rezonuje dalej: „Zobaczy aspani, my się tego jeszcze doczekamy, schlebiają nam Niemcy, i formuje król z nich kupne wojsko, a coż, czy nie głośno, że Wejer zdradził naszych?“ — „Nie prawda, przeczę, widziałam się z nim teraz w Chełmnie, powiedział: jestem oczyszczony.“ — „Każda sroka swój ogon chwali, i on tam do Niemców lgnie.“ — „Nie powtarzaj tego, jak Jegomość przyjedzie, zgniewałby się więcéj; Anna za nim szaleje, ojciec wprawdzie nie chce, ale dzieci przekabacą ojca, on dla nich za miękki.“ — „Na mój chłopski głupi rozum, odszykowałbym go, mamy swoich paniczów dosyć.“ — Magdzia przysłuchiwała się téj mowie, wstrzęsła główką: „Nie prowadzilibyście próżnej mowy,“ i odeszła do drugiej komnaty.

„Za mądra na wiek swój, podała się na matkę.“ — „Mikołaju, lękam się o nią, jój tylko zakonnice w głowie.“ — „Ej, lepiej podobno Bogu służyć niżeli mamonie.“ — „Jak się dowie ojciec o tém usposobieniu, to chyba zwarjuje.“ — „Za to ucieszą się dziewczki i syn, bo na nich spadnie wielki majątek; one się stroić lubią, panicz zażył wielkiego świata, nie będą żałowali.“ — „Kto wie, jeżeli kiedy ta radość w żalność się nie obróci.“ — „Być może, wszystko w rękach Boskich. Ale coż ja mam czynić w obecnej chwili?“ — „Czekaj na państwo, oni tu przyjadą z wesela, to zarządzają poszukiwania, lecz dowiaduj się, jakim sposobem wydostał się z piwnicy.“ — „Ktoś rozbił kłotki, bo zewnątrz były zamknięte, musiał mieć współników.“ — „Śledź krok za krokiem Mikołaju, rzecz to ważna.“ — Mikołaj odjechał smutny z Lubawy.

X.

Ludwik unikając gniewu ojca wyniósł się do Kostków mieszkających w rynku. Kostkowa polubiła młodziana, rada też była, że przybył samotny. — „Powiedz-no,“ zapytała na wstępie, „byliście na zamku u króla Jegomości?“ — „Byliśmy przyjęci nad podziw.“ — „Kostka uprzedził króla o postępach twoich w naukach.“ — „Najserdeczniej dziękuję; ale z tą wizytą związany fatalizm.“ — „Ciekawam.“ — „Konie nasze przejechały dziewczynę.“ — „Na śmierć?“ — „Leka-

rze mówią, że się wygoi.“ — „Da papa jakie wynagrodzenie i koniec.“ — „Chętnie by dał, jeno...“ — „Brakuje mu?“ — „Gdzie tam, chora leży w naszym mieszkaniu.“ — „Nie rozumiem.“ — „Jest to Infantka, za którą się ujmują oficerowie.“ — „Tak?“

Ludwik szepnął do ucha kasztelanowej, że ona wygnała z Rewlu Wejera. — „Masz!“ klasnęła w ręce, „a tośmy się skompromitowali!“ Chodzi po salonie i pomrukuje: „amazonka, hm!“ Staje przed Ludwikiem: „Wiesz co? staraj się uprzątnąć z domu to indywiduum; fatalizm! Ania tego nie zniesie.“ — „Tak myślę.“ — „Poczekaj, poszlę po męża, niech nam powie, czy Wejer jeszcze w Rawie; jeżeli nie, pokrzyżowane nasze plany, jeżeli jest, zyskaliśmy.“ Zawołała na służbę, powiedziała słów kilka i przysłała, znowu stoi przed Ludwikiem: „Żyjecie z Knutą w przyjaźni?“ — „W nierozwiązalnej.“

Skrzywiła się Kostkowa, bo miała na myśli zjednanie kawalera dla własnej córki, a tu Knutowie stanęli na przeszkodzie; dlatego zachowując gniew wewnętrzny wycedziła: „Zapewnie ojca wyprowadzi Knuta z kłopotu.“ — „Gdyby nie mieszczańskie dziecko, powiedziałam, życzyłbym Knucie Infantki, coś podobnego nie widziałem, chyba typy w galerji obrazów w Wiedniu, tak piękna ta osoba.“ — „Niech ją odbije Wejerowi, niedostanie się mu ani ta ani owa.“ — „Zobaczmy.“ — „Pamiętajże kawalerze,“ pogroziła paluszką, a w tej groźbie była tylko ironja.

Wtém przychodzi Kostka. — „Jest Wejer w Rawie?“ pyta Kostkowa. — „Uwolniony, niewinny, wy-

kryła się cała sprawa; podchorąży zawinił.“ — „Niech będzie uwolnionym,“ powtórzył Ludwik, pozierając na Kostkową i uśmiechając się. — „O,“ wtrąca się Kostka sam, „oziebiają się stosunki czy co? W tym celu przecie byłem u króla, abym wyjednał dla Wejera uwolnienie, a dla waszój familji audjencję, bo król pewno posunie Wejera wyżej, chcąc mu wynadgrodzić klęskę, a dla Ani tém większy zaszczyt, że poślubi królewskiego dygnitarza. Zaś dla Waści kawalera otworzy się droga do publicznych zaszczytów, którą mu dalej potóruję, niech tylko pamięta na nasz dom.“

Ludwik się uklonił kasztelanowi chwacko, skrobnąwszy nogą o posadzkę: „Dom Waszmości kasztelana Dobrodzieja będzie mi najmiłszym.“ — „A no widzi Imość?“ obrócił się Kostka do żony. — Te słowa rozumiał on inaczej, a żona inaczej, nie mogła w obecności młodego kawalera zaprzeczać, wycedziła tylko: „W każdej chwili będzie nam jego osoba przyjemna, pamiętaj com powiedziała.“

Ludwik się oddalił celem naradzenia się z Knutą o losie Ofki. Wrócił tedy do kamienicy, po cichu przysłuchuje się w przysionku, przytyka ucho do drzwi, nie słyszy. Posuwa się na palcach do trzecich drzwi, gdzie chora leżała, słucha; zaszeleściła suknia kobieca przesuwaniem się. Pokiwał głową, stoi, nareszcie rusza klamkę, zgrzytła, otworzył. Wchodzi, kobieta nieznajoma stoi nad łóżkiem chorój.

Ofka poznała młodego Mortęę i mówi: „Mam do pana wielką prośbę, ona mnie zaspokoi na zawsze.“ — „Proszę bez ogródki powiedzieć.“ — „Bądź pośredni-

kiem między Bersztynem a ojcem twoim, Bersztyn wypowiedział ojcu pojedynek. Jam niestety winna, nie słuchałam ojca mego i przestroóg jego, uwierzyłam sercu, a ono mnie powiodło na bezdroża; opuściłam z matką rodzinny dom, uciekłyśmy do Polski, aby tu odechnąć swobodą, niestety, Bóg mnie skarał przygodą, życie moje na schyłku, a jam ewangelickiego wyznania. Kiedy już żyć nie mogę, i kochany Bersztyn chce kłaść swe życie za mnie w ofierze, niechże ja umrę we wie-rze mego ulubieńca. Księżda mi zawołaj katolickiego.“

Ludwik przypatrzył się na Ofkę; blade jój lico pokropiła gorączka rumieńcem, a wargi zczerniałe zapowiadały życia katastrofę. Nie mógł zdobyć się na słowo. — Kobieta już nie pierwszój młodości przy chorój stojąca, zmierzyła go pogardliwém okiem: „Idź Wasze proszę, niech moja kuzyna lekko skona.“ — „Gdzie panowie?“ pyta zmieszany, „gdzie ojciec, siostry moje?“ — „Idź Wasze, proszę po drugi raz.“

Ludwik oddalił się okropnie zmieszany. Przeleciał koło drzwi ojca, ruszył klamką mocno, zamknięte. Nie-sposób, aby tak nagle odjechali. Biegnie do gospody, kędy ich powozy stały, pyta, szuka: niema! — Leci do Kostków, mówią mu w mieszkaniu: „co tylko państwo wyjechali, ale gdzie, nie wiemy.“ — Chodzi pędem po mieście, wpatruje się przechodzącym, czyby jakiego nie spotkał znajomego; jak na nieszczęście, ani jednego. — Wraca tedy, stanął w sieni pod drzwiami Ofki, słucha.

„Mój Boże,“ mówi cichym głosem Ofka, „czym się zawiodła i na tym młodzianie? Jeżeli Polacy tak nie-dotrzymują słowa, Bóg ich ciężko skarze, że nie będą

mieć pana jak my Inflanci nieszczęśliwi!“ — Dotknęły te słowa do żywego charakter Ludwika, zwertnął się i pędem pobiegł po księdza do klasztoru, wołając go jak najprędzej do chorego. — Zakonnicy nie spieszyli się, zakrystjan zwoływał dopiero służbistę spowiednika. Przybył on, lecz niestety w drzwiach oznajmiono mu: „za późno!“

Ludwik chodził po komnacie jak struty, bo kobieta opowiadała mu ostatnie chwile życia Ofki z wzruszeniem i rozpaczą: „prosiła mnie usilnie, ostatnie wymawiając słowa: Ogłoś Bersztynowi, że umieram w jego wierze. Gdzież ja go znajdę, abym te słowa potwierdziła?“ — „Nie myśl o tem aspani, ja mu je wypowiem z goryczą.“ — „Oh Boże! jakże karzesz dzieci nieposłuszne,“ wyjęknęła kobieta, „matka, jak ona się dowie, co to będzie!“ — „Niech spoczywa w pokoju, którego już brzydki świat nie zakłóci.“ — „Waszmość nie myślisz być nawet na pogrzebie, skoro ojciec pański winien!“ — „Nie byłbym Polakiem, abym odmówił ostatniej usługi.“ — „Ale wy Polacy jakże zmienni jesteście?“ — „Nie rozdieraj mi serca, więcej boleję niżeli wszyscy;“ zagryzł sobie wargi, nareszcie wyszedł.

Na drugi dzień pochowano Infantkę, jak wszystkich śmiertelników. Pastor ewangelicki odprowadził ją na wieczny odpoczynek. Ludwik rzucił na grób bryłkę ziemi; odszedł tak smutny, jaki może nie był w życiu swoim nigdy. — Tego samego dnia opuścił Wilno.jechał nie patrząc się nawet na ziemię, by tylko zdążyć do domu i rzucił z duszy wyrzuty, waląc je na stęsknioną pierś ojca. — Wpada jak bomba do Mortęg,

myśląc, że tam ojciec bawi; a tu zastaje samotnego sługę starca Mikołaja. Wyglądał on zielono, jakby cały rok dręczyła go zimnica, stał przed paniczem świecąc łysiną, a ten rozdrażniony pyta ostrym tonem: „Gdzie ojciec mój?”

„Paniczu, jakeście pojechali do Wilna, jego nie widać.“ — „Mikołaj jakiś kwaśny? co mu takiego?“ — „Paniczu, bodajem był umarł.“ — „Nie pleć, coż znowu? może jacyś złodzieje?“ — „Kowala nie ma.“ — „Tego łotra żałujesz? dobrze że zdechł za krew méj matki.“ — „Gdyby to skapnął, pół biedy, ale!“ — „Możesz go wypuścić?“ — „Przysięgam, miałem klucze pod głową, a tam oderwane kłotki.“

Ludwik machnął ręką: „jak nawarzył piwa, niech go sam wypije.“ — „Gdzie go tam będzie pił.“ — „Głupcze, nie rozumiesz mnie, ja mówię o ojcu.“ — „Oj nawarzył tą jazdą do Wilna,“ mówi Mikołaj, „lepiej było w domu siedzieć.“ — Ludwik myślał, że sługa słyszał co się stało z nimi w Wilnie, powiada: „Nie bełkoc przed nikim, co się stało, to się stało, każ mi zaprzęgnąć, pojedę do Magdusi samotnej.“ — „Byłem u niej.“ — „Zdrowa?“ — „Do woli Bożej, jeno!“ — „Drugie jéj oko wyleciało czy co?“ pyta z oburzeniem. — „Niechże też tego nieszczęścia Bóg nie dopuszcza; jeno mówiła bona, że widziała Wejera w Chełmnie, pojechał do Niemiec.“ — „Tak, a to się wszystko skończyło, no, no, znowu ojciec strzelił baka; każ zaprzęgać, pojedę zaraz.“

Ludwik odjechał z Mortęg do Lubawy. Prawie też tego samego dnia przyjechał Mortęski z córkami do

Mortęg. Mikołaj świeci przed dziedzicem łysiną, załakł się na widok pana tak, że nie mógł przemówić ze strachu słowa. — Mortęski się go pyta: „Był tu kto?” — On nic. — „Głuchys, był tu kto?” — On odpowiada: „kował uciekł.” — „Ale ja cię się pytam, był tu kto?” — „Mam klucze w domu, przysięgam się na Boga?”

Anna córka łapie ojca za ramię: „Tatko przypatrz mu się, jaka fizjonomia, chyba zwarzował, trzęsie się, zmieniony nie do poznania.” — „Ach Boże Wszechmogący, tu zaszło coś niepociesznego, Bersztyn mnie ściga, jam nieszczęśliwy, z kowalem widać coś zaszło; Mikołaju był tu kto?” — Mikołaj składa na piersiach ręce: „Odbili kłotki, kowala niema.” — „No, co mnie ten syn narobił z tą jazdą do Wilna, nie skaranieź Boże! Idź mi na wieś, niech przychodzą moi ekonomowie i pisarze ze wszystkich folwarków.”

Mikołaj poszedł z ochotą. Na rozkaz pana zeszli się po południu ekonomowie z pisarzami. Znali oni rygor dziedzica, cienkimi przysłuchiwali się uszyszka, co rozkaze. — „Ot, macie się tu stawić każdy z 20-ma zbrojnymi ciurami celem strzeżenia zamku od nieprzyjaciela.” — Ukłonili się w pokorze, wychodzą i szepta jeden do drugiego: „Masz wesele, znowu zawarł jakąś awanturę.” — „Daj spokój,” mówi drugi, „najemy się napijemy dni kilka, zatrąbi nam i zjemy wilka, a za to nie zajrzy ani do komory ani obory, poradzimy sobie.” — „Pst, by kto nie podsłuchiwał; kucharza podobno djabli porwali.” — „Niech go porwą, psa było kawałek, lepiej że uciekł.”

Wieczorem już się stawili wszyscy z ludźmi do zamku i pozajmowali na wszystkich rogach stanowiska. Zimno dokuczliwe, słota, zawierucha trwała przez kilka dni. Dygotali zębami, trzęśli się jak osiki, stary ani się pokazał, ani uwolnił stróży ze stanowisk, by ją zastąpił inszą. „Co to jest?” pyta jeden ekonom drugiego, „czy naumyślnie spłatał nam takiego figla, a z nas się śmieje? Idźno Wacku do pałacu, dowiedz się, co słyhać, niepodobieństwem wytrzymać, ciury mówią: uciekniemy.“ — „Ja nie pójdę, wolę cierpieć, bobym się naraził, i gotów chleb utracić, mam żonę i dzieci.“

Wytrzymał ich tak dni cztery, nikt na dwór nie napada; woła tedy Mikołaja: „Stary, powiedz-no mi, jakim sposobem uciekł kucharz?“ — „Niemiec ma tyśiąć sposobów i wykrętów, mówiłem nieboszczce Imości, nie przyjmuj Niemca, ma rogatą duszę; nie pomogło.“ — Ów koncept rozśmieszył Mortęgę po pierwszy raz po przygodzie wileńskiej. „Wiesz co,” rzecze, „my mamy strzelby, nie damy się, i kucharza i Bersztyna i Wejera wykurzymy.“ — „Co Jegomość zrobi, Wejer myknął do Niemiec.“ — „Nie może być.“ — „Przecie go widziała bona w Chełmnie i mówiła z nim.“

„Aha! zmykają przed Mortęgą, poznali się co on znaczy. Nikt inszy jeno Wejer uwolnił kucharza, dam ja mu pić. Wiesz co, zostań mi tu na Mortęgach, pilnuj, ciurów nie puszczaj, daj im jeść, pić piwa, niech pilnują; pojedę do Lubawy i dowiem się czy prawda.“ — „Przekona się Jegomość, niesposób żeby bona kłamała.“ — „Idź, każ mi zaprządz konie, pojedę, niech

mój Anioł widzi, że przyjechał zdrow jak ryba.“ — Mikołaj się oddalił.

Panny zobaczyły sługę nie w humorze; będąc ciekawymi, o czém ojciec tak długo z nim konferował, migały oknem na niego, aby się wrócił. Mikołaj nie wiedział, co w téj chwili czynić, czy fernalowi rozkazywać, czy panien skinieniom dogodzić; miga i on pokazując na stajnię. Mortęga zobaczył to, domyślił się i udaje się do córek.

„I na co żeście migały na niego?“ — „Aby się wrócił.“ — „Przecie ze mną nie pojedziecie, jeno zostaniecie tutaj.“ — „A to z jakiej przyczyny tatko nas nie bierze?“ — „Nie chcę, abyście się spotkały z Wejerem.“ — „Wejer wyszedł?“ — „Tak mówił Mikołaj.“ — „Więc musi być niewinnym,“ przemówiła Elza.

Ojciec spojrzał się ponuro na Annę: „Wypędzę aj twoje chimery!“ — „Ale tatko za ostry dla Ani,“ mówi Elza. — „Muszę być, bo Niemiec ma rogatą duszę.“ — Panny w śmiech: „A to koncept.“ — „Jużci koncept, Mikołaja, ale słuszny, lud prosty ma dobry pogląd na charakterystykę ludzi.“

„Ciekawam,“ uśmiecha się Elza, jaką znowu duszę ma Żaliński?“ — „Taką samą jak i ty, polski szlachcic i polska szlachcianka jednacy.“ — „Ania, tatko kochany, obciesze te różki i będzie gładką.“ — „Na nic się przydadzą wszelkie przymówki, koligacja domu mego wymaga łączności z rodami znakomitymi, ot n. p. staroście Łaski z Malberka podoba mi się, nimno iż mu nieboszczka Imość mama nie sprzyjała, ale kawaler

z werwą, na polowaniu powalił maczugą odyńca, to mi zuch.“

Panny skrzywiły buziami. Anna odważyła się na słowo: „lepiej zostać zakonnica, niżeli mówić do obrazu, a on ani razu.“ — „Fiu!“ krzyknął Mortęga, „na zakon bym nie pozwolił żadnemu dziecku. O tém ani mów, wolę Mortęgów widzieć trupami. Zakonnika lubię tylko kwestarza, ani słowa, on mi przy kominku opowie o całym świecie, ale...“ i byłby jeszcze mówił córkom perory, lecz Mikołaj wszedł. Mortęga mu pokazał na migi, czy zaprzęgnięto, on też odpowiedział migami, że już, i odszedł.

„Haha, tegobym zrobił kwestarzem, mieliby z niego szlachta pociechę,“ rzekł ojciec, zebrał się, ucałował córki i odjechał do Lubawy.



XI.

Ludwik przyjechawszy do Lubawy, w pierwszej chwili poznał usposobienie najmłodszej siostry, że ją opanowała bigoterja. Przypatrywał się kilka razy jej czynnościom, zawsze ona była zajęta poważniejszymi robotami, robiła kwiatki na ubranie świec w ołtarzyku domowym, szyła sukienki na figurki świętych; ani pochwalał ani też ganił tych czynności, przebąknął tylko na osobności do bony: „jak dawno Magdzia taka poważna?“

„Od czasu utraty oka,” odpowiedziała bona. — „Nic nie szkodzi, czasy zmieniają to usposobienie.” — „Wątpię, jak Ani usposobienie się nie zmieni, tak podobno Magdzi.” — „Co inszego Ania.” — „Ale też Wejer przepada za nią.” — „Wiem o tem, lecz z tego nici.” — „Paniczu! ostrożnie z Wejerem, on rezykowny, powiedział mi albo albo.” — „Niech sobie przejedzie kulą przez mózgownicę, Ania popłacze i przesłanie.” — „A panicz przejechałby sobie po mózgu, gdyby Knutowna?” — „Wiesz o tém?” — „Jakżeby nie.”

„Więc co wiesz o Wejerze?” — „Mówił mi: znam usposobienie całego domu, jestem pewnym.” — „On może rachować w obecnej chwili na mnie, albo na ojca? Nigdy!” — „Ja wiem kto psuje?” — „Ciekawym.” — „Łascy.” — „Oni rachują na Anię?” — „Radościom nie byłoby końca.” — „Dla Łaskich byłbym sympatycznym, ojciec także.” — „Ania zaś nigdy, mówię paniczowi, ale przestańmy mówić o tém. Wejer pojechał do Wiednia i tam panicza oczekuje.” — „On?” — „Podobno i Bersztyn tam przybędzie.”

Ludwik zmarszczył brwi, machnął ręką: „jestem gotów, ramię się za ojca do ostatniego, niech nie pomiatają Mortęgami. Kto też aspani to mówił?” — „Sam Wejer w Chełmnie.” — „Tak, więc naprzód mnie straszą, nie takim lękliwy.” — „Paniczu, bić się za dziewoję, to dla niej chwała, większa zaś, jeżeli ją ukradnie.” — „Co? on myśli wykraść Anię? po trupie do ślubu... zgoda!” — „Paniczowi jeszcze coś powiem.”

Ludwik się popatrzył na bonę z podziwieniem: „Skąd aspani wtajemniczoną do sercowych awantur?” —

„Byłam i jestem kobietą.“ — „Bajczarką,“ przytaknął Ludwik, „każ mi zaprzęgać, odjeżdżam.“ — „Zaraz paniczu, jeno jeszcze słowo.“ — Ludwik stanął, wlepił wzrok w oczy kobiety, która się tylko uśmiechała, potem szepnęła: „Magdzia do zakonu, jój majątek przypadnie w całości na panicza;“ po pauzie dodaje, „Ania by odstąpiła od posagu, tylko Elzi dałoby się coś. Rozumie mnie panicz, a muszą tam być dłużki we Wiedniu, bo papa skąpy dla niego? U Knutów nie będzie wiele.“

„Chyba czart przez ciebie mówi.“ — „Biały, paniczu.“ — „Wy białe szatany gorszeście od czarnych, wtrącacie nosy, gdzie nie potrzeba.“ — Kobieta się roześmiała: „Panicz za młody, jeszcze wszystkich sekretów kobiecych nie przeniknął, ale się przekona, że radzę arcy mądrze.“ — „Arcy djabelnie.“ — „Niech będzie i tak, ale zawsze na dobre wyjdzie; dziś bogactwo popłaca, kto ma w kieszeni, ten pan. A niech panicz jedzie do Wulkowskich.“ — „Rozumie się, tam się wybrałem, ciocia pierwszą dyplomatką, na jój słowo rachuję.“ — „Bardzo dobrze, jeno gdyby tam była mowa o Łaskich albo Kostkach, bądź panicz obojętnym.“ — „Kostków kocham.“ — „Kostkową także?“ — „Brr.“ — „Niesympatyczna? Widzi panicz, na cóż narzucać komu, co mu się nie podoba.“

Ludwik pojechał i myśli sobie drogą: ta kobieta chyba wtajemniczona do samego piekła. Kombinował w głowie wszystkie interesa wspomnionych familij ze swoją, zawsze wychodziła nieproporcja. Takimi myślami zajęty wjechał do samego Torunia.

Właśnie była głośna nowina w Toruniu się rozszerzyła, że księżę Jan finlandzki wyjechał z Wilna z królowną Katarzyną, pożegnany najserdeczniej od wszystkich, i zaledwie zajechał na kraniec Finlandji, brat król Eryk szwedzki kazał go wsadzić do więzienia. Królownie pozwolono zabrać swoje rzeczy i powrócić do Polski, ale stałość Katarzyny pokazała się w pełnym blasku jęj wrodzonęj cnoty; odrzuciła ofiarowaną wolność i poszła dobrowolnie z mężem do więzienia, aby mu osłodziła najprzykrzejsze życia chwile. — Na ten haniebny postępek Szweda gardłowała okropnie szlachta polska. Wołano wszędzie, czemu z Wilna nie przyjeżdża król, aby raz stawić czoło nieprzyjaciołom Rzeczypospolitęj. — Monarcha zajechał rzeczywiście do Piotrkowa, umieścił się w drewnianym domku nazwanym Bugajem, otworzył sejm, chcąc zaradzić burzom grożącym Rzeczypospolitęj.

Sejm ów należał do najburzliwszych, nazwać go można swawolnym, bo zamiast nastąpić mającęj egzekucji przetrząśnienia wszystkich praw i uporządkowania stanów, wystąpiły zachcianki butnéj szlachty, pragnącęj tylko urzędów publicznych i honorów. Rzucali mowcy listy targając takowe pod nogi królowi, pytając zuchwale: Gdzie nasze przywileje, aby uczynili nacisk na jego skłopotany umysł i dopięli celu. Skończyło się na demonstracji, a skoro rozdano dygnitarstwa, ucichli nie pytając ani pół gębkiem, co się dzieje z królowną Katarzyną. — Rozjechała się hałaśliwa szlachta do domów swoich, król także do Litwy, jakby zażegnali tym sej-

mem wszystkie burze, a tymczasem nieprzyjaciele drwili sobie z Polaki.

Pierwszy Iwan Wasilewicz Moskal wkroczył do Litwy, opasał Połocko, pod pretekstem, że mu odmówiono ręki królowej. Jeszcze wojewoda Dowojna popełnił ogromny błąd przez podpalanie drewnianych parkanów, z czego korzystał nieprzyjaciel, wziął szturmem Połocko; dowódca polskiego wojska Wierzchlejski poddał się mając zapewnione od cara życie. — Moskal nie dotrzymał słowa, wyrzwał mieszkańców, pastwiąc się najokrutniej nad zakonnikami Bernardynami, wycinając ich do nogi; wojska litewskie i ruskie zabrał do niewoli, a rotmistrzom polskim darował na pośmiewisko po kożusku, zdejmując im bóty, aby sobie odeszli na mrozie do swoich. — Ta okrutna hańba nie wiele obchodziła szlachtę, oni się bawili i wymyślali zabawy.

Właśnie u Wulkowskiej w Toruniu natrafił Ludwik na ochoczą zabawę na cześć Wejera urządzoną. Ludwik się zdziwił: pani ciocia, zresztą kobieta poważna, w pierwszą parę poloneza prowadziła Wejera, kiedy Ludwik tam stanął. — Kawalerowie wciągnęli zaraz młodzieńca do tanów; jakże nie było pójść, kiedy go wybrała Knutowna. Pito zdrowie do białego dnia i hasano do upadłego. Wszyscy byli znużeni, oprócz gospodyni domu; zawołała ona młodzika do lamusa: „Ludwisiu w sam czas przyjechałeś, byłeś nam też pożądanym, a niespodziewanym.“

„O co chodzi, droga ciociu?“ — „Musisz przebłagać ojca, aby nie był przeciwnym Wejerowi.“ — „Ciocia żąda niemożebności odemnie.“ — „Wejer rachuje

na ciebie tylko.“ — „Dawniej mógł... dziś?“ — „Nie wierz temu, co ludzie plotą; oczernili człowieka niewinnego. Wszystkiemu winien Bersztyn, lecz trafiła go kara Boża, mógł nie kalać swego imienia, aby mesaliansem zprofanować herb swój.“ — „Wiem o wszystkim; Ofka zamknęła powieki bez zemsty, a to jój największa cnota.“

„W sentymentalności nie wchodzę, mój Ludwisiu, rachuję na ciebie. Ojca przygoda należy do kar Bożych, on nie winien jój śmierci, ale Bóg chciał tym wypadkiem poskromić dumę Bersztyna; bo przesiąknięty jakimiś nowymi ideami niemieckimi, jakoby wszyscy ludzie byli równymi sobie pod słońcem, a to nie prawda. Słuchaj mój kochany: Wejer nie chce posagu, jeno Anię, jój część przypadnie na ciebie; Magdzię nawiedził Bóg ślepotą, témsamém wskazał jój inszy cel życia, zakon, rozumiesz! będziesz tedy magnatem, bo ci się usuną siostry.“

„Kabała!“ uśmiechnął się Ludwik. — „Nie kabała, jeno wesele, mówię ci wesele, takie, o jakiém się ani śniło światu, pokombinowałam wszystkiemi interesami i będzie dobrze.“ — „Niechże mi ciocia wskaże sposób przejednania ojca, bo mnie konceptu brakuje.“ — „Bardzo łatwy. Zagadnij go niby na pożegnanie, że chcesz odjechać do Wiednia: Tatko mam wielką jedyną do niego prośbę, jeżeli mi tatko przyrzecze, przyjadę, jeżeli odmówi, z Niemką się tam żenię. Ojciec niecierpi Niemców, przyrzecze i da cyrograf na piśmie.“

„Ale ciociu, Łascy są w pretensji, toż samo Kostkowie!“ — „Po słowie pretensje upadną.“ — „Dla ni-

kogobym tego nie uczynił, tylko dla cioci, ale niech ciocia weźmie wszelką odpowiedzialność na siebie.“ — „Naiwnyś, do sprawy honorowej nie przyjdzie, wiem o tém. Łaski nie należy do odważnych, a Kostkowie skrzywią się tylko, znam ich usposobienia zanadto.“ — „Ale ciociu, jakimże czołem mogę podać rękę Wejerowi, której nawet w tańcu nie dotknąłem się?“

Wulkowska się ruszyła z miejsca: „czekaj duszko!“ Wybiegła i przyprowadziła Wejera: „Znacie się,“ rzekła śmiejąco. — Ani Wejer ani Ludwik nie przemówili słowa. — „Wie Waszmość,“ odniosła się do Wejera, „że Bersztyn szuka satysfakcji?“ — „Dam mu ją dziś, jeżeli tego potrzeba.“ — „Ja mu ją także dam,“ wtrąca się Ludwik, „bo zostawić w tak desperackim stanie dziewczynę jak on, nieuchodzi.“

„Ot, widzisz Wasze, czemu nikomu nie wyjawiał, dziś opowiem. Bersztyn podkopał moją sławę w Rewlu, wdając się z mieszczanami. Gdyby był zachował swój honor i nie plamił go romansem z miejską dziewczyną, nie byliby wiedzieli mieszczenie, żem wyjechał i nie byliby zdradzili przed Szwedami. Dla Amazonki wszystko się poświęca, rzecz dowodna. Przygoda ojca była istotną karą na jego hańbę, a na moją chwałę.“

Argument ten skutkował. Ludwik zapomniał dawnych słów i podał rękę Wejerowi. Tego też Wulkowska chciała; akt weselny tém zbliżeniem się był zdecydowany. — Kobiety przekabaciły tedy mężczyzn, wodząc ich na pasku swoich przymileń i skojarzyły wesele, bez wiedzy ojca. — Ludwik odjechał pędem na Lubawę, zastał ojca i proponuje mu nagły wyjazd do Wiednia.

„Co ci się śni, do Niemiec? Boże Wszechmogący, nie pojedziesz, nie pozwolę, wolę umrzeć, nimbym miał odbierać od ciebie z Wiednia listy.“ — Syn powoli zachodzi ojca pytaniami, nareszcie mu się przyznaje, że jako szlachcic musi dotrzymać danego słowa. — „Co!“ krzyknie Mortęga, „może ci miłostki już w głowie!“ Zbliżył się, puka palcem synowi po czole: „Młokosie, ja miałem lat 30 ~~a~~ wstydziłem się spojrzeć na kobietę,... pacierz, różaniec, książka, pióro, to są dla młodzieńca kochanki,... polowanie, wojaczka to są zabawy jego, hę? Roztrzaskałbym ci ten łeb, gdybym wiedział, że on myśli o lubieżności.“

„Za granicą inaczej młodzież żyje, mój tato.“ — „Ale Polakowi wara! Widzisz, co się wykłuło, zamiast pilnowania zamku Rewla, wdali się w romanse nasi żołnierze, i wypędzili ich mieszcuchy z pośmiewiskiem. Potrzeba mi było przyjść do takiego w Wilnie zmar-twienia, żeby pospolitego ludu dziewczkę uważano za frejlinę?“ — „Mój tato, to była niewinna osoba.“ — „Co mi pleciesz, tfy! nie wymówię, bo się nie godzi, ale nastąpiła za grzechy kara Boża. Bóg użył moich koni i wozu na ukaranie grzesznicy, basta.“ — „Ojcze, trudno mi plamić moje imię, dałem rękę.“

Stary skoczył, jakby go cały rój pszczoł obtoczył i każda szczypała: „Ja Mortęga Mortęski tegom się doczekał, że córka szaleje za Niemcem, a syn za niem-czycą, przekłete moje pokolenie, bodaj byłeś ostatnim.“

„Ale tatko mnie nie rozumiał, przepraszam, dałem rękę, że do Wiednia przyjadę, lecz myślę sobie, czy jechać czy nie jechać; muszę się poradzić drogiego

ojca, co on na to, i chętnieby nie pojechał, gdyby ojciec jedną rzecz dla mnie uczynił.“ — „Wszystko uczynię mój synu, wszystko, tylko od Wiednia zdaleka.“ — „Daje tatko słowo, że méj prośbie zadosyć się stanie?“ — „Nie ruszysz się z domu?“ — „Nie.“ — „Więc masz rękę,“ i ścisnął syna — a ten się śmieje: „będą trzy wesela, ja z Knutowną, Elzia z Żalińskim, a Ania z Wejerem.“

Na chwilę nie mógł stary Mortęga przemówić słowa, wyjęknął składając ręce nareszcie: „Boże wszechmogący, i tegom się doczekał, że mnie za nos będą wodziły dzieci! Nie mam syna, nie mam córek! Jedna mi tylko pozostała sierotka, moja dziedziczka. O nie powachacie tu żaden Mortęg, Magdzia będzie panią całą gębą!“ Fuczał, sapał, chodził z kąta do kąta.

Ludwik oddalił się do Magdzi, ona sobie kleiła z papieru pudełko na schowanie relikwii, które matka jeszcze w posagu dostała. Bona słyszała rozprawę ojca z synem, zarumieniła się, patrzyła bokiem zpod chmury na niego, a w duszy cieszyła się z interesu. — „Aspan nie w humorze?“ rzekła.

„Bodaj was wszystkie feminy...“ i uciał, „narobiliście tylko kłopotu waszą dyplomacją.“ — „Ostygnie ojciec, znamy go, upor mu tylko przełamać, bo niema partji jak z Wejerem; tylko Knucianka Waszmości nie potrzebna, Kostkowie się zagryzą.“ — „Oni na mnie z pewnością rachowali?“ — „Dwa a dwa są cztery, tak było ukartowane.“ — „Rozumiem, dla czego popierali Wejera i Żalińskiego! Potępiali Bersztyna a zyzem przyjmowali Knutę.“

„Co Wasze zobaczył na Knuciance?” — „Jakaś dziwna; ładne ma ząbki, śmiejące oczka, włoski złote, zgrabne paluszki, serce gorące.” — „Za młody panicz, aby o ostatniem już się dowiedział.” — „Nie mam to czarne na białém?” — „Umie czytać i pisać?” — „Jużcić nie taka jak moje siostry, co ich ojciec nic nie nauczył, dopiero ja tajnie przed nim uczyłem obie a b c, i pisać, co utrzymują przed nim we wielkim sekrecie.” — „Anna i Elzia umieją pisać?”

„Dziwnaś, kto chce nauczyć się prędko. Ojciec i matka, jakem bywał na wakacjach, wojażowali; my dzieci siedziałyśmy na Mortęgach a ja byłem preceptorem od rana do wieczora przy drzwiach zamkniętych; jak Ania się uczyła, Elzia czuwała, by nas kto nie podsłyszał; jak Elzię uczyłem, Ania hałasowała na lokai, pędziła do zatrudnienia. Ojciec myślał, że jak córek nie wyedukuje na piśmie, nikt do nich nie będzie miał przystępu, bo się z nikim nie porozumieją; tymczasem inaczej się stało. Ale to sekret, mówię ci kobieto... żebym nie żartował z tobą, gorzejby się obszedł jak ojciec z kucharzem.” — „On mędrszy od pańskiego papy, bo uciekł.” — „Co ma wisieć nie utonie, rozumiesz!”

Magdzia słuchała potulnie téj mowy, jakby ją wcale nie obchodziła, a przecie zostało z niéj coś w myśli i obudziło pragnienie. — Ojciec zirytowany przychodzi w téj chwili, ani się spojrzał na syna, jeno przystąpił do Magdzi, głaskał po włoskach i twarzy siedzącą sierotkę: „Tyś moje jedyne dziecko kochane! pojedziemy do Chełmna, nikogo nie wezmę z sobą tylko

ciebie.“ — Jak przyrzekł, tak dotrzymał słowa; kazał zaprzadź i pojechał z Magdzą do Chełmna, zostawiając syna w Lubawie.

Tymczasem Ludwik rozpisuje listy; jeden goniec leci do Torunia a drugi do Mortęg. Bez wiedzy i pozwolenia Mikołaja nie śmiał nikt wstępować do zamku; staremu słudze nakładł Mortęga na odjezdnie w uszy, aby nie wpuszczał żadnego mężczyzny. — Mikołaj był istotnym cerberem, ani na krok nie pozwolił się wychylić pannom z pałacu, czy chciały do kościoła, czy to na przejażdżkę; jedném słowem, tamował wszelkie zachcianki: niewolno. — Biedne panienki ujmowały starca drogim tytoniem wiedząc, że palić lubi i stała się fajka drugą jemu naturą; on ani odebrał, ani się zląkomił. Było tymczasem kilku posłańców z Torunia, mieli wierne sekretnie listy. Mikołaj odprawił ich od bramy: „aż Jegomość dziedzic przyjedzie.“

Sekretny poseł z Lubawy zawitał także, puka do bramy. Mikołaj przypatrzył się otworem, zobaczywszy konnego posła: „niewolno,“ odrzekł surowo. — „Co niewolno,“ kłóci się z nim, „od panicza jestem poseł, mam tu powiedzieć pozdrowienie.“ — „Zdrówkuj jako chcesz, nie puszczę.“ — „Mikołaju nie przedrzeźniaj się ze mną, bo ci bramę wywalę.“ — „Ja cię wywalę kijem, że nie staniesz.“ — Poseł jednak nie w ciemie bity, pyta się przyczyny. — „Ot widzisz, niewolno, bo dziedzic zakazał, by nie wpuszczać żadnego mężczyzny.“ — „Kobietom niewolno także?“ pyta się naiwnie. — „O kobietach nie było mowy, ani tu się żadna nie zaślagała, gdyby zaś przyszła, zrewidowałbym ją od stóp

do głowy, a przekonawszy się, że przebrany mężczyzna, wyoliłbym go kańczugiem, popamiętałby ruski miesiąc.“

Kurjer nie w ciemię bity zrozumiał cały interes, drapnął od bramy mówiąc do Mikołaja: „Bywajcie mi zdrowi;“ zajechał na folwark, tam był pisarz ekonomiczny zarządcą nad owczarzem i owcami, bo nie było inszego gospodarstwa, jeno umyślnie cały folwark na ten cel przeznaczony. Opowiedział on, że go do zamku wpuścić nie chciano, a ma ważne listy paniom od panicza. — „Pokażno,“ pyta pisarz prowentowy, przeczytał adres do Imościanki Anny na Mortęgach Mortęskiej podkomorzanki malborskiej. „Dziwię się,“ rzekł, „czemu dziedzic zaufa takiemu nieukowi Mikołajowi, on się trzyma ślepo nakazu, a tu może być interes bardzo ważnym; zresztą na co pisać, kiedy córki czytać nie umieją, muszą się mną posługiwać.“ Rozdarł pieczęć i czyta, „hm“ pomruknął, „tak to?... Zostań tu z koniem, jadę do zamku sam.“

Brama była zamkniętą, pisarz puka, Mikołaj patrzy, poznał pisarza: „po coż znowu aspan się przywlokł?“ — „Zabiłem tłustych owiec parę, które poszarpały wilki, co z tym fantem robić, możebyś Mikołaju zjadł trochę mięsa, otwórzno, pomówimy sobie.“ — Mikołaj otworzył, pisarz idzie wprost do panien. — „Po co tam leziesz, niewolno!“ — „Jakiś nie mądry, mam przecie żonę i dzieci, umizgać się nie będę, powiem tylko nowinę.“ — „Co takiego?“ — „Takiś ciekawy.“

„Powiedz proszę, możeś słyszał co o kucharzu?“ — „O kucharzu? coż chcesz abym powiedział?“ — „Gdzie

jest?“ — „Wiesz ty, że on Niemiec, a Niemiec gdzie zasiędzie a dobrze mu, to jego ojczyzna. Jego żona jest w Malborku, on pewno tam się znajduje.“ — „Tak?“ — „Nie inaczej, idź do Malborka tajnie, znajdziesz go z pewnością.“ — „A przy dworze kto zostanie?“ — „Dobry twój przyjaciel, ja.“ — Ucieszony Mikołaj opuszcza Mortęgi i leci na Malbork.

Pisarz śmieje się i czyta listy pannom, opiewające o trzech weselach nastąpić mających. Radości sprawił niemało, ale Mikołaj wywiedziony w pole wpadł w klamkę, bo właśnie Mortęga zwiedziwszy z córką sierotką Chełmno i klasztor panieński, pojechał do Malborka do starosty Łaskiego, chcąc z nim bliższą zawrzeć przyjaźń, by sparaliżował plany ukartowane przez Wulkówskich i Ludwika syna.

Mortęski podszepnął najprzód starościcowi, aby pojechał w odwiedziny do Mortęga, dając mu na piśmie, że za bramę ma wstęp wolny. — Łascy kontenci gościli starowinę po staropolsku, obiady dawali sute, gości mnóstwo, spijano za zdrowie. Podchmielił sobie starowina, pojeżył czupryny i dmucha siedząc na ławie: „Alem się zemścił na Wejerze i Bersztynie.“

„Co Wasze mówi?“ pyta Łaski. — „Końskimi kopytami potratowałem Wenus będącą przyczyną upadku Rewlu,“ i opowiada całe zajście w Wilnie z dodatkami. — „Wybornie, przewybornie,“ krzyczą Łascy. — „Tegom się nie spodziewał nigdy, by tak nisko wojskowi upadli.“ — „Ja także nie przypuszczałem,“ przerywa Łaski. — „Jeno mój Łaski, Niemcom nie wierzyć, oni gotowi podburzyć na nas swoich, wyświęcą kozyrę jak

zrobili Szwedzi, oho! mają oni rogate dusze.“ — Pusty śmiech zebrał całe towarzystwo na ów wyraz, a Mortęski krzyczy: „przyznaję się, że to nie mój koncept, jeno mojego starego sługi, który tém wyrażeniem przestrzegał mnie przed Bersztynem.“

„Wybornie,“ krzyczą wszyscy i nalewają kielichy. Wtém wpada poseł z listem. Łaski Mikołaj odpieczętował drżącą ręką, mówiąc „*quid novi*,“ czyta i rzecze: „Aspanowie nowina! Rogate dusze napadają na nasz kraj, pisze tu Jan Kostka z Gdańska, że książę Brunszwicki Eryk ciągnie ku Gdańskowi w 17.000 Niemców.“ — „Nie mówiłem,“ krzyczy Mortęski, „Bersztyn z Wajerem musieli ich namówić, dadzą nam tedy!“

Rozbija się zabawa, każdy ucieka do swego zakątka, by go jako zaopatrzył przed nieprzyjacielem. — Mortęga wsiadł do karety, śmiga fornał na konie, jedzie ze zamku, w mieście spostrzega Mikołaja, krzyczy nań: „wsiadaj na kozieł, wiem ja już co się święci, czytałem listy.“ — „Jaśnie panie, Niemiec jest,“ mówi Mikołaj. — „Nie pleć, wiem o tém, wsiadaj, uciekajmy, abyśmy ocalili Lubawę i Mortęgi.“ — Mikołaj chce coś mówić, Mortęski krzyknie: „Stul gębę mamlasie, wio czempredźej!“ Jadą co tylko konie skoczyć mogą, taki mając strach przed Niemcami.

W Lubawie zastał pustki, syna nie było; pozamykał kamienicę, zabrał z sobą droższe sprzęty, zajeżdża do Mortęgi, oczom nie wierzy, brama otwarta. Złapał się za głowę: „oho! Niemcy tu gospodarują!“ krzyczy, „wracaj!“ — Mikołaj znowu: „nie wracaj, to powozy, karety gości.“ — Tak nawzajem krzyczą na się: „wra-

caj!“ jeden, a „stój!“ drugi, aż zobaczyli goście i wybiegli z odkrytymi głowami. Są Wulkowscy, Knutowie, Żalińscy, między niemi starościc Łaski, sypią się panie i panny na powitanie gospodarza domu. Stary się patrzy, żegna: „Boże wszechmogący, a to znowu, takiego kwiatu nie widziałem dawno! Nie wiecie wy, że was zjedzą Niemcy?“ — „Co też podkomorzy mówi, Niemcy przecie ludzi nie jedzą, chyba facecja o antipodach, żeby ludzi jedli.“ — „Kostka się z niemi już upora, a przysięgam na kontusz, że ich sprowadził Wejer z Bersztynem, by nam dokrupili.“

Ogólny śmiech. — „Śmiejecie się warjaty, Mikołaj widział Niemców, no mów Mikołaju, prawda, że mają dusze rogate.“ — „Jaśnie Wielmożni Imościowie, widziałem Niemca, co prawda, mówiłem dziedzicowi w Malborku, jest złapany kucharz, który zbiegł z kaźni, ale mnie dziedzic nie usłuchał.“ — „Warjacie, o takim Niemcu nie było mowy, jeno brunszwiki przybyli cichaczem i dokrupią teraz na dobre; rabują, mordują, Boże wszechmogący, pisze Kostka wyraźnie.“ — „Jako życie niema w Malborku burych ćwików, co się śni Jasnemu dziedzicowi! Jenom kucharza wypatrzył, i byłbym go złapał, jenom się obawiał, że mu nie poradzę, bo wygląda jak bury ćwik, czerwony, znakiem iż mu się dzieje dobrze.“

Byłoby przyszło do pięści, bo się Mortęga rozognił na sługę; przeszkodziła tylko muzyka, wystąpiło bowiem 8 muzykantów umyślnie z Torunia sprowadzonych i zagrali staremu na powitanie, aż mu zadrgały pięty. Prowadzą go wszyscy goście do zamku, witają starca

po kolei, syn także wystrojony występuje przed ojcem z oracją na podziękowanie, że zezwolił na tak ważny akt zaślubin najstarszej córki z JMć Wejerem, który właśnie wyszedł z zakątka, kłania się przyszlęmu papie i całuje mu na podziękę rękę. Winszują pannie Annie, winszują papie, znowu Wejerowi, — a stary Mortęga osłupiał i słowa przemówić nie może. Zmierzył tylko pogardliwym wzrokiem syna, on zrozumiał tę groźbę i odzywa się z uśmiechem: „Dotrzymałem tatkowi słowa, nie pojechałem do Wiednia, i już nie pojedę nigdy.“

Tak zewsząd przyciśniony starowina nie mówił już nic, tylko powtarzał za każdym niemal słowem: „Boże wszechmogący, już Mortęgowie zaginęli, kiedy skasowali czwarte Boskie przykazanie!“ Lecz śmiali się wszyscy krewniaki dopiąwszy zamierzonego celu. Dmuchano zaraz na rozpalone żelazo, jak mówi przysłowie, i gorączkowo brano się do przygotowań weselnych. Magdzia sierotka także pomagała w kuchni, i poparzyła sobie tłuszczem wylaném rączki obie okropnie. — Ojciec brał tę przygodę za bardzo zły prognostyk wspomnionego, nastąpić mającego związku małżeńskiego; córka zaś z taką cierpliwością znosiła bolesti, że się siostry i familja dziwili, przypisując wytrwałość w cierpieniach raczej zahartowaniu ciała, niżeli silnej woli.

Nastąpiło wesele, odbywało się suto przez cały tydzień, przeplatane zabawami. Magdzia nie brała w nich żadnego udziału, ojciec też okazywał kwaśną minę, jeno przesiadywał nad chorą nachylony, w tém dziecku widząc jedyną pociechę, bo drugie wbrew jego woli postępowały, martwiąc go tylko swojemi zachciankami. Po

wyszumieniu się z pierwszego wesela i oddaleniu się Wejerów, oddał się spokojnemu zaciszu; pooddalał wszystkie dawne sługi, ekonomów, pisarzy, słowem wymiotł z dóbr swoich ludzi, na których padło podejrzenie, że tajnie dopomagali do korespondencji między kawalerami a córkami. — Żaliński prosił sam Mortęgi, aby zezwolił na drugie wesele, skoro Anna się wydała. — „Dam posag asendzi,” rzekł szorstko, „a wesele niech będzie ciche, bo mi córka chora, moje najulubieńsze dziecko.“

Ten rozkaz nie podobał się Elżbiecie, płakała w zakątkach i szukała zmiękczenia ojcowskiego serca przez przyjaciół i przyjaciółki. Do pierwszych należeli Kostkowie, na nich ojciec nie miał żadnego podejrzenia. — Napisała tedy liścik czuły do kasztelanowej, chodziło tylko, jakby go przesłać, wyjazd nie był wolnym, na każdym kroku śledził ojciec postęпки dzieci, z dawnych sług ani jednego. Prosi tedy ojca, aby pozwolił do Chełmna na nabożeństwo klasztorne. — „Nie szukaj obcych Bogów,” rzekł ostro, „kiedy masz swoich,” i skończona zachcianka. — Cóż było począć? Elza zwraca swoją myśl na bonę Magdusi, prosząc ją, by jakim sposobem przesłała list do Kostkowej do Gdańska.

Nie była to pierwsza bona wtajemniczona w sekretu familijne, ale osoba wierna panu, zamiast usługi, złapała list, i dała go Mortędze do przeczytania. — Stary z piękną polityką przynosi list Elżbiecie bez gniewu i urazy: „Nic złego nie napisane od ciebie, prosisz tylko, aby przebłagała moją osobę swoim wpływem Kostkowa, bym ci sprawił wesele sute. Powiedz

mi moje dziecko, przyrzekam ci solennie na miłość moją, że będziesz sutsze miała wesele niżeli Ania, kto ci pisał ten list?“ — „Tatko kochany,“ ucałowała Elżbieta rękę ojca, „ja sama.“ — „Co mówisz? pytam bez namiętności.“

Elżbieta poszła skromnie do swojego pokoiku, przyniosła inkaust, gęsie pióro i papier, usiadła przy stole i pisze, a ojciec patrzy. — „Powiedz mi, kto cię nauczył?“ — „Ludwik przyjeżdżając na wakacje, uczył nas obie z Anią, ona jeszcze lepiej pisze odemnie.“ — Pokręcił głową: „dotrzymuję słowa, moja Elziu, sprawię ci wesele sute, jeno nie wszyscy z familji będą uczestnikami, pierwszy Ludwik nie śmie ruszyć nogą.“ — „Cóż złego ojcie kochany, terażniejsze szlachcianki uczą się pisma, a my należące do niepoślednich byłybyśmy nieukami?“

„Kobieta niech patrzy kądziółki, robót domowych, a nie pisma; dopóki Polki nie umiały pisma, były cnotliwsze, bo się nie wdawały w intrygi i listy miłosne. Zobaczysz, że Magdzia pójdzie tym torem i będę z niej miał jedyną pociechę. Stało się, odstać się nie może, pójdiesz zamaż, niech cię mąż ma na oku, do mnie nie będziesz należała. Napisz, pozwalam, niech przyjeżdża Żaliński, niech się ten ślub raz odbędzie i wszelkie kłopoty.“

Elżbieta nie spodziewała się téj miękkości ojca, ucałowała mu ręce na podziękowanie, napisała listy zapraszalne, dała ojcu do przeczytania i z niemi wyprawiła gońców.

XII.

Starosta Łaski ogromnie się pogniwał na Mortęskiego, że wydał swoje córki a nie dotrzymał synowi jego słowa. Zdarzyło się, że Mikołaj, sługa odpędzony od Mortęgi, śledząc za kucharzem zbrodniarzem, przecie go wyszedł i przystawił do Malborka. Starosta zagniewany na familję Mortęgów, chciał wypuścić zbrodniarza, syn zaś przemógł ojca argumentem, że gniew nie ma tu miejsca w obec sprawiedliwości; wsadzili go tedy do turmy. Z czego pocziwy Mikołaj najkontentniejszy biegnie wprost do Lubawy, bo tam mieszkał obecnie dawny pan jego, wciska się do kamienicy i pyta czy można mówić z dziedzicem. Ostre sługi oburzały starca: „niewolno! bo zakazał, byśmy nikogo nie wpuszczali z powodu słabości córki.“

„Magdzia chora? oh Boże, czemuż też dopuszczasz na to niewiniątko tyle nieszczęścia!“ — „Żałuj ją, żałuj, kiedy się sama nie żałuje.“ — „Nie sposób.“ — „Miała zakazane, aby nie chodziła na roraty, nie pomogło, poszła, zaziębiła się i dostała wysepki, ledwie z jednéj wyszła, teraz druga, pewno trzeba się przejechać do wieczności, wszystko na zmartwienie ojca.“ — „Niechże też Bóg zachowa!“ — „Co żałujesz, za nic nas mają, na ostatku wypędzą, jak tobie uczynili.“ — „Pan Jezus więcej cierpiał niewinnie, a mnie się nie wiele złego dzieje; choć jestem stary, jeszczebym chętnie służył, bo na swoim garczku bieda.“

Gdy tak sobie dysputują, otwierają się drzwi, wchodzi Mortęski, poznał Mikołaja: „a ty co tu robisz,

chcesz mnie powtórnie okraść, jakeście mnie wszyscy okradali?" — „Jaśnie dziedzicu! przyszedłem z pocieszną nowiną, kucharza mam.“ — „Gdzie?" — „W Malborku siedzi.“ — Kiwnął ręką: „znam ja malborską sprawiedliwość, podobna ona do niemieckiego pacierza.“ — „Starosta wsadził go do turmy.“ — „Chyba łżesz?" — „Jasny dziedzicu! jak to słońce świeci, prawda.“ — „Pamiętajże, każę zaprzadź i pojedziemy, jak go w turmie nie ma, wsadzę ciebie.“

Po 7 dniach dopiero pojechał do Malborku, gdy ulubiona córka Magdusia powróciła do zdrowia. Udał się do starosty, on go przyjął chłodno; na zapytanie, czy siedzi kucharz w turmie, otrzymał odpowiedź twierdzącą: „siedzi.“ — „A no Mikołaju, przyjmuję cię znowu do służby," oświadczył staremu słudze; a do starosty rzekł: „Aspana Dobrodzieja zapewniam verbo nobili, że chowam ostatnią córkę dla jego syna, którą uczynię uniwersalną dziedziczką dóbr moich.“ — Kwaśna mina starosty rozjaśniła się, prosi Mortęskiego do siebie i tam przyjmuje suto.

Ukontentowany powrócił do Lubawy, wesoły jak rzadko, znalazł córkę wyzdrowiałą, co mu naprawiło humoru nie mało i opowiadał o grzeczności i sprawiedliwości starosty, dodając co słowo: „Boże wszechmogący, jacy mi to dobrzy ludzie.“

Nowa ochmistrzyni słuchała tych chwalebnych pana z uwagą, nareszcie rzekła: „Wie Jaśnie podkomorzy, com ja spostrzegła.“ — „Nie mówże mi aspani znowu jakich kobiecych bajek, bo ja kobietom zupełnie nie wierzę; jeżeli mnie moje własne córki omamiły, cóż dopiero dla podchlebstwa obce.“ — „Przepraszam, co

wiem, jest prawdą na doświadczeniu opartą.“ — „Może tu znowu kto był?“ — „Nikt,“ odpowiada bona. — „Więc mówże.“ — „Ilem zbadała usposobienie Magdzi, ona myśli o klasztorze!“

„Haha! aspani się rozumiesz, jak dzisiejsza Wołosza na swoich despotach, jednego zrzucają a Tomzę obierają, jak się im i ten da w znaki, stulą uszka, bo tam wkroczy nasz Wiśniowiecki i robi porządek. Ja Magdzię wydam za Łaskiego starościca, będzie sobie szlachcianką całą gębą. Masz mi uczyć córkę robót kobiecych, zarządu domem i gospodarstwem, etykiety przyjmowania gości, tańca do zabawy, godzinek i pacierza, zresztą nic więcej, pisanie ani czytania nie potrzebuje umieć, bo kobieta nie stworzona do mądrości, jeno posłuszeństwa i bogobojności.“

Ochmistrzyni wysłuchiwała tych słów w pokorze i oddaliła się. Stary założył okulary, usiadł i pisał listy. Pierwszy był do Wulkowskiej, siostry swojej, donosząc, że zbrodniarz kucharz siedzi już w turmie przykuty aż go szczury zjedzą, upominając przytém, by też wpływała na Ludwika, niech odstąpi od zamiaru łączenia się z Knucianką, bo mu się taka synowa niepodoba.

Naturalnie, Wulkowska odebrawszy list, nie czytała go publicznie, nie chcąc ranić serca Ludwikowi, tylko opowiedziała o kucharzu. Bawił także w Toruniu Wejer z małżonką, jak ją nazywał „śliczną Anusią.“ Był to człowiek pełen dowcipu i wiedzy, dworak gładki, podobał się kobietom i zażartował nieraz. Cieszyli się wszyscy z konceptu ojca, że Popiela zjadły myszy, a kucharza zjedzą szczury.

„Uparty mój brat, ani słowa, jak Rusin,” rzecze Wulkowska, „ledwieśmy go przemogli, ciekawam czy zmięknie względem Ludwika.” — „Oho! ciocia pije do mnie,” woła Ludwik, „niech czekam lat 20, to i tak zostanę méj Knutownie wiernym.” — „Łamią ludzie granity, Mortęgę by nie przemogli? ale jeno powoli.” — „Ba, Magdzia dorasta, na nas się ojciec gniewa, niechże jęj przyprowadzi jakiego amanta, zapisze jęj dobra, coż tedy?” — „Sam sobie winienes, nie drażnić było ojca niemiecką duszą.” Smiali się wszyscy. — „Wiecie Waszmościowie, ja i tak zparaliżuję te plany. Magdzia mi wierzy i uwierzy.” — „Co myślisz?” — „Powie mój, że idę do zakonu na kapucyna, ona niech także wstąpi do klasztoru.” — „Byłby z ciebie kapucyn,” śmieje się Wejer. — „Od tego mnie Bóg zachowa, ale mam swój plan.”

Ucichło towarzystwo. Ludwik z Wejerem poszli do ogrodu i tam odbywała się konferencja, bo Wulkowska napomknęła Wejerowi, że stary przeciwny Knutom do śmierci. — Konceptów nie brakło, ale wszystkie rozchwiewały się o twardą skałę serca starego Mortęgi, bo należał do nieprzejednanych. — Wrócili do pokojów a Wulkowska mówi: „Wiecie co, ja pojedę do brata, niech on na dobre nie stwardnieje, przełożę mu korzyści łączące nas z Knutami i zaspokoje wszystkich.”

„Cioteńko,” skoczył Ludwik, „ja także.” — „Tylko bądź ostrożnym.” — „Sparzyłem się raz na gorącym, podmucham na zimne.” — „No, no, nie uwodź się fantazją, bo tu zła nowina, Tomża złapał Wiśniowieckiego z Piaseckim i odesłał do Konstantynopola; sułtan im nie przebaczy, jeno zetnie pewno głowy.” — „Przecie

mnie ojciec nie poszle do Konstantynopola," śmieje się Ludwik, „wolałbym, niech mnie odeszle do Knutów."

Wszyscy w śmiech: „Piękne wybierasz więzienie, byś tylko nie uwisł na swoją zgubę." — „Niechże ciocia nie będzie pseudo prorokiem." — Wulkowska pogroziła tylko bratankowi: „zbierajże się, jedźmy."

Zajechali do Lubawy. Mortęgi nie ma, pojechał do Łaskich razem z córką, jeno sama ochmistrzyni komorowała w kamienicy. — „Nie wypada nam jechać do Łaskich," mówi Wulkowska. — „Owszem," mówi ochmistrzyni, „będą kontenci, słyszałam, że młody starościc tu przybędzie." — „Tak znowu, słyszysz Ludwiku?" — „Co też ojciec myśli?" — „Nic nie wymyśli, ja wiem," przerywa ochmistrzyni, „bo Magdzia ma usposobienie do zakonu." — „Nie może być!" pyta Ludwik z podziwieniem. — „Wiem z jój ust, przyznała mi się." — „Chwała Bogu!" zatarł sobie ręce Ludwik, „ciociu jedźmy do Łaskich." — „Kwoli ciębie pojadę."

I nie zabawiwszy tylko parę godzin, pojechali za ojcem oboje. — Przyjęcie było sute na Malborku, starościc najwięcej się wdzieczył do Ludwika, widząc w nim przyszłego szwagra. Ludwik nie okazywał żadnego niezadowolenia, owszem bawił się wesoło dni kilka, aż znowu odjechali do Lubawy i zanocowali.

Stary Mortęga kochając siostrę wyjęzyczył się przed nią, co ona na to powie, jeżeli starościc przybędzie do familji. — „Mój Mości bracie, rób, aby było dobrze," rzekła, „skojarzyłam dwa wesela, tego dosyć, do trzeciego się nie mieszam wcale, nie powiem ani be, ani me. Lecz sam widzisz, że córki zrobiły dobre partje,

są kontentne z zameścia, a to wiele znaczy. Raczej pytałabym się, jeżeli pozwolisz, co z Ludwikiem myślisz zrobić?“ — „Niech szuka wiatru po świecie.“ — „O, na to nie pozwolę, on jedynakiem Mortęgą, na nim przyszłość imienia, z którego się cieszę, żem sama Mortęgowna.“ — „Zawarł przyjaźń z Knutami, a ja...“ i uciał.

„Pamiętasz, jak jeździłeś do Dąbrowskich tajnie, ilem to listów przechowywała!“ — „Młodość płochość, siostrzo moja.“ — „Aleś był szczęśliwym.“ — „O żeby mi się wróciła żona, Boże wszechmogący, nie wiem jakbym to miejsce uzłocił.“ — „A więc i Ludwik ma to samo serce; skoro kocha i wiem, jest mu nad wszystko wzajemną, chcesz rozrywać te serca i ranić je na wieki?“ — „Siostrzo! jestem konsekwentnym, powiedziałem raz: nie! i koniec.“

Tymczasem bawił się Ludwik z Magdzą w czwartej komnacie; siedzieli obok siebie, on patrzył się na siostrę, ona wyglądała cudno, bo jęj Bóg nie szczędził urody, lecz była bardzo poważną. — „Wiesz co Magdziu, siedzisz jak jaka zakonnica, przecie proś tatki, abyś wyjechała, to do Wejerów, to do cioci, do Żalińskich lub Kostków, oni się bawią wesoło.“ — „Mój bracie! zabawa nie dla mnie, ani świat; od czasu śmierci kochanej matki myślę zawsze o jęj duszy, a żebym się do nięj zbliżyła, proszę Boga o łaskę wytrwałości w mojem przedsięwzięciu,“ i zamilkła.

„Siostrzyczko kochana, ja także boleję nad matusią, tęsknię nie wiem za czém, desperacja mnie bierze, jak mi ojciec nie pozwoli poślubić Knutownęj, wstąpię do klasztoru i zostanę twardym mnichem.“ — „Nie

myśl Ludwisiu tak, ja co innego, Bóg spuścił na mnie znaki kalectwa, utraciłam wzroku połowę, dotknięta ospą, zeszpecona na ciele.“ — „Ani jednej kropki nie znać na twarzy, co mówisz!“

Magdzia pokazuje mu ręce i zawiniętą szyję. — „Prawda, wracam ci honor.“ — „Nie obraziłeś mnie wcale, mówię ci jednak, chętniebym żyła w jakim zakątku, abym unikła zgiełku świata.“ — „Ja także moja siostrzyczko.“ — „Prawdę mówisz?“ — „Jak cię kocham.“ — „Ty mnie kochać nie możesz, skoro tęsknisz za Knutowną.“ — „Pal licha Knutów.“ — „Nie odpychaj od się ludzi, bo Bóg tak nie każe.“ — „Dla ciebie wszystko uczynię, abyśmy byli tylko razem.“ — „Będziemy mój Ludwisiu w myśli i sercu, w modlitwie i nadziei, ale w mieszkaniu nie; ja ci się przyznaję, że zostanę zakonnica.“ — „Siostrzyczko moja, świat brzydki, nie chcę go, ja także zostanę mnichem.“

Magdzia uwierzyła słowom brata, uwiesiła się mu u szyi: „O bracie, bracie, żyjże mi dla Chrystusa, on cię pokocha w niebie,“ i pokropiła łzami jego lica. — Ludwik ścisnął i całował siostrę; w tych objęciach zastaje ich ojciec. — Magdzia mówi: „Ludwisiu mój kochany pamiętaj, coś przyrzekł sierocie.“

„Co wy macie między sobą?“ pyta ojciec zadziwiony. — „Tatko, ja go kocham, bo mi przyrzekł, że będzie kochał Pana Jezusa.“ — „Fe, z twoją bigoterją, jeno o Jezusie myślisz. Masz taką ochmistrzynię,“ machnął; „powiedziałem, żeby nie wpajała bigoterji, a tu się wyjawia, jak prowadzi dziecko.“ — Odszedł i wypowiedział miejsce bonie na poczekaniu ku zdziwieniu

wszystkich domowników. Kobieta nie przygotowana na taką niemiłą niespodziankę, zatrwożyła się okropnie i zapłakała sobie nad poniewierką.

Wulkowska wmieszała się zaraz w tę sprawę i bada przyczynę. Po wysłuchaniu zdania uporczywego brata, rzekła: „Bona zostanie, ja tak rozporządzam, bigoterja Magdzi wrodzona, znam ją doskonale, tylko śmiechu warta propozycja Ludwika, on wygląda tak na mnicha, jak ja na zakonnicę. Justysia Knutowna jego zakonem, chyba gdyby brat nie pozwolił na ten związek, kto wie czyby nie wstąpił do zakonu.“

„Nie mówże mi siostro o żadnych mnichach i zakonach, mając 100 dzieci nie poświęciłbym na tę służbę ani jednego; dziś te stany są pośmiewiskiem.“ — „Dziwuję się, nazywasz się sam twardym katolikiem a przeciwnyś zakonom.“ — „Nie było z naszej familji nikogo w zakonie i nie będzie, a ktoby się poważył, rzucam nań przekleństwo, niech zaginie moje pokolenie!“ — „Nie bluźń bracie, boby mogła nastąpić taka kara Boża!“ — „Wszystko mi jedno.“ — „A więc nie mam tu co robić.“ — „Jak się podoba.“

Wulkowska odjechała. Stary się nie pożegnał z siostrą, jeno prowadzi z Ludwikiem słowną wojnę: „Czemu bałamucisz Magdzię, by zakonnicą została?“ — „Ona sama chce.“ — „Jakiś mi zakonnik!“ — „Jak padnie, zostanie nim.“ — „Nie przyprowadzaj mnie do pasji; ty się ożenisz z Kostkowną, Magdzia pojmie starościca, to wasz zakon.“

Ludwik dowiedział się myśli ojcowych, przytaknął mu: „niech i tak będzie, postawimy na Mortęgach kla-

sztor i będziemy tam mieszkali," pstryknął śmiechem i uszedł gniewu ojca. — Stary sapał: „ach! czegom się doczekał; by tylko staroście przyjechał.“ — Jak na szczęście przyjechał on w towarzystwie swojej matki.

Zaraz rozradowało się serce Mortęskiego, wita miłych gości, ściska, całuje, wbiegł do izdebki Magdzi: „Ubieraj się, mamy gości, gdzie Ludwik?“ — „Wyszedł.“ — „Zawołaj mi go zaraz, powiem, uzałę się na niego, bo co on zdziwia, ani rady!“ i poszedł.

Łascy zagościli się, zaczęły się dysputy, a najpierw nowina o królu Jegomości Auguście, że nie chce widywać się z małżonką swoją Katarzyną i posłał ją do Radomia. — Nowina ta sprawdziła się, bo król od tego czasu nie widywał się już z małżonką z powodów, jak mówili dworzanie, że nie miała potomstwa. Król sejmował w Warszawie, i chciał przeprowadzić unję Litwy z Koroną, lecz odwleczono tę sprawę z powodu wojny z Moskwą. — Hetman Zebrzydowski mający nad tą wyprawą dowództwo zachorzał, spuścił tedy dowództwo na Leśniowolskiego. Nasi mieli półtora tysiąca i kilkanaście działek polowych. — Książ Krupski widząc taką garstkę śmiał się, i mówi z dumą Moskale, że tę garstkę nahajkami zagoni do Moskwy! Ale ta garstka Polaków stoczyła bitwę pod Rewlem i położyła trupem do 8.000 Moskali. Sam Krupski lękając się wielkiej kary od cara, uciekł do Polski.

Radowali się wszyscy z tego zwycięstwa, klaskali w ręce: „to mi zuchy!“ — a Mortęga podkręcał wasa: „szkoda, żeśmy naszych chłopców Waszmość nie posłali na tę wyprawę.“ — „Będzie na to jeszcze czasu dosyć,“

odrzekła starościna, „pragnęłam, aby się więcej z sobą poznali.“ — „Poznają się, będą szwagrami, Mościa starościno!“

Starościna nader zadowolniona, przywołała do siebie Magdusię, głaskała i całowała, wymawiając podchlebne słowa: „Jaka ty grzeczna i ułożona.“ — Stary Mortęga zaś niecierpliwił się, czemu Ludwik nie przychodzi. Jakże miał przyjść, kiedy mu goście stanęli na zawadzie, Magdzia jednak po kilka razy przychodziła doń i szeptała: „jaki ten ojciec niemądry, swata mnie z Łaskim a ja dałam słowo Jezusowi, że zostanę zakonnicą.“ — Tak ojciec zastał go zadumanego w komnacie córki z podpartą głową. — „Co znowu dumasz! nie słyszysz, że mam gości i czekam?“ — „Goście mnie nie obchodzą wcale.“ — „Natychmiast do gości!“ krzyknął opryskliwie. — „Przymuszony będzie to pacierz;“ rzekł Ludwik, zebrał się i przyszedł do Łaskiej witając matronę ucałowaniem ręki.

„Ach cieszy mnie Ludwisiu, że nie pojechałeś do Wiednia.“ — „Wiedeń dał mi naukę, zawsze go będę miał w pamięci.“ — „Niemiecka nauka mi się nie podoba, większą mam sympatię dla Krakowa.“ — „Kraków ma swoje zalety, a Wiedeń swoje, tam większy świat i ogłada, kobiety umieją czytać i pisać, a u nas?“ — „Moja matka nie umiała pisma a i tak była wojewodzina.“ — „Słusznie Waszmość mówi, moja matka także nie czytała a była wojewodzina.“ — „Nie racja, świat postępuje, i my w tyle zostać nie możemy, jak dobrze moim siostrom, żem ich nauczył pisma.“ —

„Idź mi do biesa z takim konceptem,” przerywa Mortęga, „za to Magdzia nie umie, a będzie starościanką.”

Ludwik się roześmiał ironicznie, szeptał przeciągłym głosem: zacofani. — Goście byli uraczeni i odjechali ukontentowani.

Po odjeździe Łaskich był znowu stary Mortęga wesół jak nigdy. — Ludwik korzystając z tego humoru ojca, prosił go, aby mu pozwolił wyjechać do Torunia. — „Nie,” odparł ojciec stanowczo, „do Gdańska pierwiej.” — „Więc do Gdańska,” mówi Ludwik. — „Pozdrów-że mi Kostków, aby nas odwiedzili i to in gremio z całą familją.” — „Dobrze ojczy, lecz mam jedną prośbę.” — „Cóż takiego?” — „Niech mnie odprowadzi Magdzia do Chełmna.” — „Mniejsza o to, niech się rozerwie.” — I pojechali oboje.

W Chełmnie rozstali się brat z siostrą, on jej udzielił sekretu, gdzie pojedzie, ona wracała do domu. — Wyjechawszy na górę Chełmską od przewozu, obejrzała się i rzekła do służącego: „Jacku, przypatrz się na ten klasztor, mam nadzieję w Bogu, że nie umrę, aż w tym klasztorze zamieszkam.” — Jacek ruszył ramionami i krzyknął na konie: „het wijo!” — Przyjechali do domu, stary pyta się Jacka: „skądżeście się wrócili?” — „Ot het z Chełmna, panicz pojechał dalej, a panienska ze mną nazad, jeno mi pokazywała klasztor i mówiła, że tam mniszką zostanie.”

Zgrzytnął zębami i odszedł. W domu chodzi zachmurzony. Zawołał ochmistrzyni i mówi: „Pojedziesz aspani z Magdzą do Mortęgi, tam będziesz pilnowała córki, kładę te warunki: 1-sze aby tam żaden mężczy-

zna nie zawitał; nie wolno! 2-gie abyś mi nie uczyła córki pisać ani czytać. Za to będziesz sownie wynagrodzoną.“ — „Dobrze! słucham rozkazu, kiedyż mamy wyjechać?“ — „Popakuj manatki powoli, jutro wyjeżdżacie.“ — Tak się też stało.

XIII.

Ludwik zamiast udania się do Kostków w Gdańsku, pojechał sobie do Knutów, aby zobaczyć ulubioną Justysię. Jakże się zawiodł. Knutowie wyjechali do Warszawy. Namietność nie zna granic ani zważa na przeszkody. Ludwik nie miał pieniędzy, obawiał się, że mu ciocia Wulkowska odmówi, bo pierwszy tajny dług z 5 kóp groszy się składający był jeszcze nie uiszczony. Wraca on na Malbork, tam miał znajomego izraelitę, załatwiającego nieraz ojcowskie interesa, bo gdzieby się też polski szlachcic obszedł bez pośrednictwa, a zwłaszcza żyda, wyzyskującego jego kieszeń na każdym kroku.

„Dawidku,“ rzekł doń, „przyjechałem do ciebie o sekretną pomoc.“ — „Ja mam być powiernikiem? Znam ojca, dobrego Waszmościa, dla panicza bym nie uczynił? Wszystko za darmo, mówię pod hajrem, tylko proszę mówić bez ogródki, bo ja tu także załatwiam interesa staroście i wszystkim królewskim urzędnikom.“ — „Ciekawym, co Łaskim załatwiasz?“ — „Myśli Waszmość, że oni mnie nie potrzebują; nie to złoto

co się świeci. Pan starosta lubi żyć, pani starościna lepiej, a syn także, z niemi nieraz cienko, zadłużeni, jeno rzetelni jak rzadko i wynadgradzają mnie sownie. Waszmość powiedz co żąda?“

„Starostowie w długach?“ — „Poprawią sobie interesa, bom słyszał, że się starościc ma żenić z bogatą.“ — „Dawidzie, wywiedzno się z pewnością, gdzie zamyśla starosta swatać syna.“ — Żyd puknął się palcem w czoło: „jabym się nie dowiedział?“ — „Pamiętajże, jeżeli można dziś jeszcze.“ — „Panicz nie zabawi dłużej? Słyszałem nieraz od starościny, że się panicz bardzo podoba.“ — „Być może.“ — „Jabym go zeswatał z dziewczuszką starosty.“ — „Nie próbuj, bobym cię zastrzelił.“ — „Aj waj, panicz taki ostry! Proszę jaki ma interes?“ — „Wywiedz się dziś, z kim swata starościna syna?“ — „Dobrze, pójdę, jeno niech panicz na mnie czeka, taki interes potrwa godzin kilka.“ Ubrał się i poszedł.

Ludwik sobie myśli: a to łapka na majątek Mortęgów, a ojciec temu winien. — Czekaj, żyda nie wiadać; ma się ku wieczorowi, o Dawidzie ani słyhu. Co się to znaczy? pyta sam siebie o przyczynę. Nareszcie wieczorem przychodzi Dawid spocony, obciera się: „aj waj!“ — „No Dawidzie coś nowego?“

Kiwnął ręką Dawid: „tak sekretnych ludzi nie wiedziałem; zagaduję w prawo, w lewo, przymawiam: już czas ożenić starościca; a tu starościna ani murmur. Powiadam nareszcie ze śmiechem: ej stary Mortęga marny, tam muszą być w beczkach pieniądze, bo wydał córki, a zięciowie nie chcieli posagów. Ona się jeno

uśmiechnęła i rzekła starościcowi: na czas jeszcze. Doprawdy nie wiem co począć.“

„Widzisz Dawidzie, że nie wiesz, a ja wiem.“ — „Jasny paniczu pod hajrem mówię, uczynię co chcesz odemnie, powiedz mi, na przekorę sparaliżuję ten interes; aw mane munes,“ krzyknął po żydowsku. — „Dajże mi Dawidzie dwie kopy groszy, potrzebuję w momencie, oddam wkrótce po powrocie.“ — „Najchętniej dam pięć kóp bez procentu, jeno niech się dowiem, gdzie się starościc żeni?“ — „Dziś powiedzieć nie mogę, zależy mi na tém.“ — „A mnie nie zależy?“ — „Ciekawym.“

„Widzi panicz, ja sam mam 30 kóp u starostów, mój zięć dwa razy tyle, a insi.“ — „Więc wynajdziesz mu partję krociovą.“ — „Tu wszyscy goli, na krocie niestać, jeden pański ojciec bogaty, ale nie wiem czyby przystał.“ — „Z pewnością nie, daję moje słowo, i siostra także nie.“ — „Rozumie się z takimi długami łączyć się bez potrzeby... miłość o głodzie ostyga.“ — „Nie rezonuj, jeno daj mi w sekrecie dwie kopy.“ — „Paniczowi 10 kóp dam bez skryptu;“ wyjął i dał.

Na odjezdnem Ludwik upomina żyda, niech śledzi starostów, kędy swatać mają syna. Śmiał się też w duchu i jechał prosto do Warszawy, aby opowiedział Justysi, jak pokrzyżował szyki starościcowi. — Żyd zaś ciekawy, molestował co chwila w zamku wszystkich urzędników i sługi, gdzie tylko wyjeżdżał starościc. — Łascy byli o tyle oględnymi, że nigdy nie zwierzali się sługom, kędy pojedą na wizytę. Wyjeżdżali często, to sam starosta z synem, to ona sama z synem i córkami; żyd przemyślny jednak dowiadywał się od fernali, gdzie-

ście byli? Naturalnie słyszał raz w Lubawie, drugi raz na Mortągach, trzeci i czwarty raz na Mortągach; aha, pomyślał sobie, tam chcą utargować.

Idzie tedy do starościny, wziął piękny szal na podarunek, drugi piękniejszy na okaz kupna; wtrąca mowę: „słyszałem, że Mortęski żeni syna.“ — „Gdzie, mój Dawidku?“ pyta starościna. — „Wielkie progi, podobno u kasztelaństwa w Gdańsku, bo mu tam radzi, mógłby też starościec podbić go.“ — „Ludwika Mortęskiego? a co sobie myślisz! Ludwiś należeć będzie do naszej familji, radzi jesteśmy, że z Kostkami się połączy.“ — „Ja tam głupi żyd, ale wątpię, byście Waszmoście złączyli się z Ludwikiem Mortęskim, on mi...“ obciera się, „powiedział sekret, nic z tego, ja nie pozwolę siostrze.“ — „Nie może być!“ pyta z podziwieniem starościna.

„Wie Imość, że on pojechał do Warszawy, ja mu dał na drogę pieniędzy.“ — „Co pleciesz, na takiego wystroił się lamparta?“ — „Wszystko mi się no zdaje, że z wesela pana starościca i Mortężanki będą nici, chyba żeby ona sama chciała.“ — „Nie mądryś, Magdzia teraz samotna siedzi na Mortągach, był tam parę razy mój syn, okropnie ugrzeczniona, dała mu medalik na pamiątkę.“ — „Bóg-by dał, ale syn niema dobrze w głowie, pożyczka bez wiedzy ojca, jeździ sobie, on gotów narobić długów, jest jedynakiem, i co?“ — „Dawidku nie mów nic, coś słyszał odemnie, ja sobie zachowam ten sekret dla siebie, bo może być, że w jakim interesie pojechał do Warszawy.“ — „Do Warszawy jeżdżą młodzi panicze na zabawki, już wie Jaśnie starościna jakie.“

Po paru dniach idzie znowu Dawid do starościny. Przyjęła go z uśmiechem: „Wiesz co, prawda że Ludwik wymknął się ojcu, zamiast pojechać do Gdańska, zwinął do Warszawy; ojciec bowiem mówił mojemu synowi, że pojechał do Gdańska.“ — „Piękne Gdańsko, a nie mówiłem?“ — „Dawidku, gdybyś ty pojechał za nim i wyszpiegował jego kroki.“ — „Czemu nie, lecz nie lepiejże dopilnować interesu i ożenić syna, dopóki panicz lampartuje? Jak przestanie, może nastąpić coś innego?“ — „Rozumiesz, pojedziesz, dasz mu jeszcze parę kóp, niech się bawi, czém dłużej to lepiej.“ — „Rozumiem,“ uśmiechnął się żyd i powlókł się do Warszawy.

Tymczasem starościc jeździł a jeździł do starego Mortęgi, z przymilaniem się czekając tylko na sposobność dobicia targu na dobre. — Razu pewnego pojechali obaj do Mortęgi. — Magdzia była nader uprzejmą i wesołą, nawet żartowała sobie niewinnie z zakonów. Stary myślał, że ją przecie chęć opuściła, dodał też z drwinami: „Przyjdzie teraz podobno pozwolenie, że się księża będą żenili, a zakonnice zamaż pójdą; jam stary a przecie złakomiłbym się na jedną zakonnickę i poprowadziłbym do ołtarza.“ — „Masz rozum ojcze?“ wyrzekła z oburzeniem córka; „zakony były i w pogańskim nawet świecie w poważaniu, to ich uszanuje więcej chrześcijaństwo; wiem co mi Ludwik mówił: stan paniński ma w niebie pierwszeństwo, rozmyślałam dobrane te słowa i postanowiłam poświęcić się służbie bożej, nic nie pomoże.“

Starościc zbladł; ojciec milczał, nareszcie rzekł:

„Chcesz mnie chyba wtrącić do grobu?” — „Tego nie, ale cię proszę o pozwolenie i błogosławieństwo.” — Ojciec przerywa: „filutko kochana, daję, pozwalam, wyhulam się na twojem weselu, o cieszy mnie moja córko, żeś zdanie odmieniła; fe, ktoby tam myślał o murach klasztornych.”

Magdzia sama się uśmiechnęła, tylko tyle wyrzekła: „o ludzie, ludzie jak...” i zamilkła. — Staroście rozradowany przymilał się dziewczynie, ojciec jeszcze więcej podchlebiał mówiąc już otwarcie: „zapiszę wam moje dzieci majątek cały, mnie tam staremu nie potrzeba nic, jeno paciorki i fajeczka przy kominku.” — Znowu się śmiała z téj mowy i oddaliła się z ukłonem, idąc do swéj komnaty. — „Jedź Wasze,” mówi Mortęga do starościca, „sposób się na zaślubiny, żeby ję kto nie zbałamucił, bo mi ta rzecz podejrzana.”

Staroście odjechał. — Mortęski szpieguje córkę nieznacznie na każdym kroku. Noc była ciemna, sam ułożył się spać, pożegnawszy dziewczynę pocałunkiem w czoło. Koło północks zupełnie boso wstępuje do przedpokoiku córki, patrzy się przez klucz, kaganiec się pali. — Magdzia siedzi ubrana, jeno ję kędziorki na czoło spadające troszkę przeszkadzają, odwija je ręką lewą; przed nią duża księga, wlepia w nią oczy i czyta. — Stary zgrzytnął zębami, ścisnął obie pięście i pogroził w górę, szarpnął drzwi, wpadł, przytyka oczy do księgi: „Postyla księdza Jakuba Wujka socie-tatis Jesu.”

„Kto ci to dał?” — „Tatuńciu, nie mijam się z prawdą, pisarz prowontowy.” — „Jakim sposobem?”

— „Oto takim, byłam z ochmistrzynią na folwarku, pisarz zapisywał robotników i czytał każdego wiele dni odrobił; pomyślałam sobie: on pospolity człowiek, umie czytać i pisać, a córka dziedzica głupia; więc prosiłam go, aby co dzień przyszedł przed objadem z rejestrami celem przeglądania. On też przyszedł po pierwszy raz, zrzuciłam wstyd z oczu, przyznałam się mu, że nie umiem czytać, i prosiłam go, by mi pokazał litery. On chętnie to uczynił, i tak sama przy pomocy tego człowieka dokonałam tego, że dziś czytam i piszę, jak tatko widzi. Czy to jest złém? ażaliż, jeżeli mniszką zostanę, niepotrzebna ta nauka?“ — „Czytaj, pisz córko moja,“ mówił z drżeniem stary, „jeno nie myśl o klasztorze.“ — „Ojcie kochany,“ złożyła ręce Magdzia, „ślubowałam już Bogu, chcę mu dotrzymać słowa!“

Stary darł się po czuprynie: „co mi wy dzieci robicie zmartwienia!“ — Poszedł, nie spał całą noc. Rano wstawszy, zamiast pacierza odbywał z ochmistrzynią hałasy, komedje, indagacje, zwołał pisarza, poczęstował go na wstępie za edukację córki policzkiem. „Łotrze, jak śmiałeś uczyć moje dziecko!“ krzyknął z oburzeniem, „ha, wiem ja, że to sprężyna Ludwika, on nurtuje podemną dołki, aby mnie wpędził do grobu bo mu się zachciewa Knucianki.“ — Krzyczał, hałasił okropnie, wypędził pisarza prowentowego z folwarku, odgonił ochmistrzynię, sługi kazał bić na pokładankę. W największej pasji wyjechał z Mortąg, zamknął bramę i wziął klucz z sobą.

Jedzie, jeno fuczy ze złości, nie miał już sposobu ukojenia żalu; wybrał się do Gdańska myśląc, że oni

tę burzę zażegnają. Przybył do Chełmna, poznał zdala żyda Dawida: „Lej!” krzyczy na niego, „chodźno tu faktorze.“ — Żydek przychodzi. — „Co tu robisz?“ — „Żyd, Jasny podkomorzy, ma zawsze interesa.“ — „Mój kochany, zapłacę ci sowicie, podejmij się dla mnie interesu, ale to w téj chwili.“ — „Ja, Jasny podkomorzy, w drodze.“ — „Dokąd?“ — „Hm,“ mruknął Dawid i milczy.

„Powiedz, nikt nas przecie nie słyszy, a na szpiegi nie idziesz, bobym ci w łeb strzelił.“ — „Na co sami szlachta wzywają żydów na szpiegi.“ — „I kogoż masz szpiegować.“ — „Nie pognuiewa się Jasny podkomorzy?“ — „Do trzysta beczek, może mnie szpiegujecie, bodajście się zapadli.“ — „Jakem Dawidem i robię interesa dla Jasnego Waszmości, tak powiem prawdę, że nie jego szpieguję, jeno syna.“ — „Coż do trzysta zrobił?“ — „Pojechał zamiast do Gdańska do Warszawy.“

Poprawił sobie stary czapki i krzyknął: „a to bizon! Nie jedź! zakazuję ci, niech zginie, zmarnieje, przekłete moje pokolenie.“ — „Aj! źle Jegomość mówi, aby nie była zła godzina; panicz młody, niech się zabawi, bo młodość płochość; lepiejby pan zrobił, żeby pozwolił córce na zameście ze starościcem.“ — „Albo ja bronie? owszem kazuję!“ — „Tak? a syn pański mówił, że ojciec przeciwny.“ — „Napluj mu w oczy, kiedy ci mówił?“ — „Jak przejeżdżał przez Malbork.“

„Na Malbork jechał?“ — „Przeciem go widział i mówił z nim, potem zwrócił się i pojechał do Warszawy.“ — „O kłamco przekłety, dam ja tobie!“ wyjął pieniądze z kieszeni, „masz Dawidzie, jedź mi do Warszawy

a wyszpieguj, co ta bestja tam robi.“ — „Dobrze,“ odebrał Dawid pieniądze i pojechał śmiejąc się z interesu.



W Chełmnie był klasztor fundowany od Krzyżaków, mogący pomieścić 150 panien i wyżywić z dochodów. Gdy reformacja zaczęła szerzyć się w Polsce, a mianowicie w Prusiech, opustoszał on prawie zupełnie. Gorliwa zakonnica franciszkanka Zofja Izbińska wyprosiła u swjej przełożonej trzy zakonnice, które sprowadziły się do tych pustek. Utrzymanie ich było z początku trudnem, jednak pobożność niektórych szlachty wspomagała biedne zakonnice. Razu pewnego po odprawionej jutrzni, Izbińska z drugą towarzyszką wyszła na oględziny cel pozamykanych; wszędzie pustki, wszędzie ruina. Rozczuliły się rzewnie nad tym stanem i zapłakały. Powróciły do celi i smutne rozmawiają z sobą. Wtém do bramy ktoś się burzy. Izbińska poszła w towarzystwie drugiej siostry do bramy i otwarła.

Tu stoi młodziuchna panienka. — „Co chcesz aspanno od nas biednych zakonnic?“ — Panienka się skłoniła: „Mam gorącą prośbę, abyście mnie siostry przyjęły do swojego grona.“ — „Ktoż jesteś?“ — „Jestem córką podkomorzego z Malborka, Magdalena Mortęska.“ — „Waszmość moja, nie mogę przyjąć,“ rzecze Izbińska, „bez wyraźnego pozwolenia ojca podkomorzego.“ —

Magdalena wyjmuje list ojca własnoręcznie napisany: „Oto mam pozwolenie.“

Izbińska czyta: „Nie mogę się nareszcie sprzeciwić woli Bożej. Pragnąłem, aby córka moja wyszła za mąż; wyszukiwałem sposobów odwiedzenia jój od zamiaru; chciałem, aby tak żyła samotnie zapisawszy jój kamienicę w Toruniu na utrzymanie; wszystko darmo. Ona poślubiła się Bogu, niechże idzie i modli się za mnie grzesznego człowieka. Majcher Mortęski, dziedzic na Mortęgach, podkomorzy Malborski.“

Wprowadziły tedy siostry panienkę za bramę klasztorną, zamknęły za sobą. — Nikt z rodzeństwa nie wiedział o tém zdarzeniu, prócz ojca. — Właśnie bawił on na Mortęgach, chodził po komnatach i desperował: „Jedyne dziecko utraciłem! Jak ja się pokażę na Malbork, co o mnie sądzić będzie starosta! Staroście gotuje się na wesele. Eh, syn mi tego narobił, rozjarzając i tak gorące do Boga serce kochanej sieroty!“ — Ta melancholja trapiła go dni kilka, miejsca sobie nie miał, spać nie mógł. — Zjawia się żyd Dawid.

„Tuś niecnoto? byłeś w Warszawie? powiedz, widziałeś go?“ — „Jasnemu panu powiem, wszystko dobrze.“ — „No co? mów.“ — „Najprzód widziałem Jegomości Wejera, ach śliczny grzeczny pan, jak on się ze mnie ucieszył, nawet mnie poklepał po ramieniu, a Imość jaka śliczna, jaka piękna, aj waj! powiem ucieszną nowinę, Jegomość będzie dziaduniem z pewnością, mane munes.“ — „Nie pleć dubów!“

„Widziałem Waszeci Żalińskiego, on tam także w Warszawie, honorny pan, do żydka nie przemówił

ani słowa. Widziałem Imość Wulkowską, tę Imość, co wysoko patrzy, szła z panem Ludwikiem, ślicznym jak słońce, co teraz świeci. Ukłoniłem się, panicz pyta: co tu Dawidku robisz? Mam interes odpowiedziałem. Masz przy sobie pieniądze? Mam trochę. Daj mi kopę groszy. Wyjąłem i dałem, cóż robić. Widziałem też państwo Knutów, ich śliczną córkę...”

„Już mi nie mów... a to skaranie! i tyś jeszcze dodał oleju do mojego ognia?” — „Jako życie, olejem nie handlowałem nigdy.” — „Kpie, idź mi precz! Wszyscyście się sprzysięgli na moją zgubę. Nie oddam ci pieniędzy, żebyś wiedział,... precz... bo inaczej baty!”

Żydzisko się poskrobało, wyszło, stoi w przedsionku. — Mikołaj stary, po drugi raz faworyt pana, przesuwa się koło niego: „Co tu chcesz żydzie?” — „Pan zły, nie wiem co mu jest.” — „I ty byś nie był dobry, gdybyś tyle ponosić musiał zgryzot co on.” — „Co mu jest?” — „Albo ja wiem, smutny czegoś, nie bez przyczyny.”

„O panicza może? Niech się nie lęka, Knutowie mi powiedzieli, że oddadzą te grosze, którem pożyczył paniczowi, że przyjechał do Warszawy, bo im zrobił niespodziankę. Podkomorzy wsiadł na mnie, jak na burą sukę, nie da przyjść do słowa, a jabym był powiedział prawdę, za moją fatygę żądał tylko wynagrodzenia.” — „Przybyłeś niepotrzebnie dziś akurat, kiedy panu dolega.” — „Co mu dolega, powiedz Mikołaju, musisz wiedzieć, dam ci dziesięć groszy!” — „Dwadzieścia byłoby mało, kopa także,” odparł Mikołaj.

Na te słowa wyszedł Mortęga; zobaczywszy żyda, krzyknie: „Weźno Mikołaju tego natrętnika na podwórzec i poczęstujecie go tam śniadaniem.“ — Mikołaj złapał Dawida za ramię, on się opiera, ale Mikołaj go posuwa coraz dalej, wyprowadził z przysionka, gwiznął raz, dwa, potem trzy, zleciała się służba na te znaki. Rzekł im, macie chłopcy dać śniadanie, Jasny pan rozkazał.“ — Parobcy powalili żyda na ziemię, który zbladł ze strachu, nie mogąc przemówić słowa. Bartek najsilniejszy z nich, wziął bat i mówi: „Łotrze powąchaj go, wyśpiewasz ty tu wszystko.“ — Dawid krzyczy: „aj waj, umieram, powiem, dam wszystkie pieniądze.“ — Na te słowa Bartek uderzył mocno po drugi raz; żyd się wije jak wąż, krzyczy: „Aj waj, powiem już prawdę.“ — „To gadaj!“ mówi tonem rozkazującym Mikołaj.

„Bersztyn mi zapłacił dwie kopy i obiecał dać 10 kóp, żebym tylko zeswatał panicza Ludwika z Niemką, a starościna obiecała więcej, jak Mortęga ożeni syna z Imościanką.“ — „Hoho! nie prawda, to są wykręty, szlachcie o swaty żyda nigdy nie prosi, dziedzic kazał ci dać pewno za co inszego śniadanie, nic tam na wykręty, chłopcy dajcie mu jeszcze.“ — Bartek lunął tego, a żyd z boleści wydarł rękę parobkowi, który go trzymał, złapał bat za koniec, i krzyczy: „Nie zabijaj, bo u mnie pańskie pieniądze, aj waj! oddam wszystkie, ten psiawiara kucharz Hans przyniosł do mnie na schowanie i są w piwnicy.“ — „Prawdę mówisz? przysięgaj, bo jak nie znajdziemy, to cię zabijemy tym kańczugiem.“ — „Prawdę mówię, przysięgam.“ — „Chłopcy trzymajcie go dobrze, pójdę do pana.“

Mikołaj wszedł do pana. Mortęski siedział i pisał coś, obejrzał się: „co mi przeszkadzasz!” — „Jasny dziedzicu, ani pół śniadania nie spożył żyd, wyśpiewał pięknie, że kucharz u niego złożył pieniądze.” — „Co mówisz?” — „Przyznał się żyd, że pieniądze, które zginęły po nieboszczce Imości, są u niego, kucharz Hans je ukradł i tam przyniósł na schowanie; mamy bić go dalej czyli nie, jak Jasny pan rozkaże?” — „Boże wszechmogący, co za szczególne zdarzenie! Przeprowadźcie-no żyda.”

Przyszedł Dawid skulony, zapłakany. — „Widzisz, jak ja to wiem o wszystkich sprawkach, miałem cię za pocziwego, a tymczasem złodziej!” — „Waszmość podkomorzy niech staroście nie wierzy, on strzyże i goli, wyssał z Hansa, gdzie pieniądze i powiedział Jegomości, a mnie namówiła starościna, bym jechał do Warszawy, wyszpiegował panicza Ludwika, czy to się tak godzi za moje pieniądze?... Dawid pożycz, Dawid dawał, mam więcej u nich jak 10 kóp, jeszcze szczuć na mnie, żem złodziej. Ja przysięgam, żem nie kradł, jeno kucharz przyniósł do mnie na schowanie mówiąc, że tyle ma majątku, lęka się, aby mu kto nie zabrał, a u mnie są pewne.” — „Oj co za pocziwiec z ciebie, lepszych wieszają, do lamusa z nim, chłopcy! On tu więcej wyśpiewa, dziś nie mam czasu.” — Parobcy porwali Dawida i dalej z nim do lamusa.

Tymczasem rozgłosiło się po Chełmnie, Lubawie i okolicznych zamkach, że Magdalena Mortęska wstąpiła do nowicjatu w Chełmnie. Tę nowinę przyniesiono i do Malborskiego zamku, do starostów Łaskich. — Powstało

w téj familji najogromniejsze oburzenie na dom Mortęskich. — „Złamał słowo szlacheckie,“ krzyczała starościna, „nikt mu nie poda ręki... a córka jaka mi tam będzie zakonnica!“ i różne potwarze i obelgi wymyślała kobieta.

Nastaje narada familijna, jakby się pomścić tego zawodu. — „Wielka rzecz,“ mruknął Łaski, „dokuczę im najwięcej, wypuszczę złoczyńcę Hansa z turmy, niech się mści nad niemi.“ — Rzeczywiście wypuścił Hansa mówiąc mu: „niewinnieś siedział.“ — Wilkowi nie trzeba mówić ani go podburzać: „targaj!“ bo on z natury drapieżnym.

Kucharz łotr, pijak i pełen niecnót człowiek, pobiegł zaraz do domu Dawida, współnika jego niecnót i pokrywki złodziei. — Żona mu mówi z zadziwieniem: „Wyszedłeś alboś uciekł?“ — „Sam starosta mnie wypuścił. Gdzie Dawid?“ — „Starościna go posłała do Warszawy, bawi już długo, sama się turbuje o niego.“ — „Oddaj mi pieniądze.“ — „Jakie pieniądze?“ — „Nie wiesz jakie, hę?“ i pogroził żydzicy. — „Mojego nie ma, ja nie mogę.“

Porwał żydżicę, strząsnął nią, kobieta ze strachu zemdlą, bachory w krzyk. Rabuś, lękając się rozgłosu wyleciał i zniknął. Pałając daremną zemstą ku dawnemu chlebowodawcy, przyszedł za dni kilka do dóbr jego wieczorem, wstąpił na folwark do czeladzi. Wychudły, zmizerowany, zarośnięty, nie był zaraz poznanym; pyta się miłośnierze, co też tu nowego słychać? Sługi nowe, nieznane, widząc obdartusa mówią: „a co by było słychać!“ — „Jest dziedzic, poszedłbym do niego, możeby

mnie czém obdarzył?“ — „Dziedzic zeskapał, nie daje nikomu nic, kto się nawinie do zamku, każe go wyrzucić i obić. Obili tu żyda i wsadzili do turmy.“ — „Żałowałibyście żyda, to pierwsze złodzieje.“

Przenocował się, i przemyśluje, jakiego żyda obić kazał Mortęga. Ukrywając się przed starszymi, aby nie był poznany, wyniosł się do wsi, jako żebrak prosił jałmużny, odprawiał modlitwy w języku niemieckim. Włościanki miały go za wróża, zgromadziło się ich kilka, każda kładzie przed nim po groszu. — „Ja pieniędzy nie potrzebuję, gdybym chciał, umiem zakłęcia i dostanę ich zakopanych w ziemi, ile potrzebuję; djabel przedemną ucieka na krzyżyki.“ — Kobiety przypatrują mu się z niedowierzaniem.

On porwał z nalepy węgla, nakręślił nim na ścianie krzyżów i liter, i mówi: „teraz wypędziłem złych duchów z tego domu, mogę wam prorokować. Tu we dworze umarła jakaś kobieta nagle, posadzono służącą o kradzież, i ona umarła niewinnie, a żyd był sprawcą tej zbrodni.“ — „Wejsa prawda,“ mówią kobiety. — „Na folwarku był pisarz dobry, pan go odpędził, on umarł ze zgryzoty a on niewinny.“ — „Wejsa prawda!“ — „Pan ma wielkie ukryte skarby, na nie czatują żydzi, bo z djabłem trzymają.“ — „Wejsa, złapali żyda w zamku i trzymają go; Mikołaj nam mówił, on ukradł pieniądze.“ — „Wiecie jak się nazywa ten żyd?“ — „O Wejsa, Michał powie, idźno Jaga do niego.“

„A mnie też co powiecie?“ pyta młoda kobieta. — On znając ją jeszcze jako dziewczę opowiada: „Waszego ojca zabrali Niemcy w świat i umarł z głodu;

waszego brata pan zabrał do Wilna i tam mu zaginął.“ — „Wejsa prawda, istotna prawda.“ — „Więcej wam powiem, wasz pan umrze, młody tu się ożeni i będzie wam źle, bo go będzie kusiła na poddanych żona, on ich każe smagać bez litości.“

Kobiety patrzą się na cudotworcę proroka, rozbiegły się po wsi, i ogłosiły, że się zjawił prorok. Stare i młode kobiety, mężowie i parobcy szukają go. — Tu był, tu dopiero wyszedł. — Nareszcie zniknął. — Stary Mikołaj na zapytanie, jak się żyd nazywa, zadziwił się sam i pyta kobiety, kto się oń zwiaduje. — Kobieta mu opowiada: przyszedł żebrak, on prorokuje. — Poszedł z nią do wsi przypatrzeć się cudotworcy; jego nie ma. Wraca do zamku i powiada Mortędze panu swemu, co słyszał.

„Hehe! jeżeli to nie był Hans? jedź mi natychmiast na Malbork, dowiedz się, czy nie umknął.“ — Mikołaj pojechał cwałem pędząc konie; dopiero w Lubawie dowiedział się nowiny, że panna Magdzia wstąpiła do zakonu. Zamiast na Malbork, wraca do Mortęgi z tą nowiną i ku wielkiemu zadziwieniu zastaje chorego dziedzica. Przyjechali doktorzy, aby go leczyli, bo tu straszne podziały się tymczasem rzeczy. W nocy podpadli rabusie zamek, ogromnie mordowali pana, zrabowali wszystko co tylko można, i uprowadzili żyda z turmy. — Dziedzic stary nie mógł przetrzymać zadanych kułaków, umarł w nocy. — Straszna katastrofa.

XV.

Fatalna zaszła przemiana w koronie. Król Zygmunt August doprowadził swoją obojętnością do tego stopnia rozdwojenie w familji, że królowa Katarzyna z żalem zamyśliła opuścić kraj na zawsze. Prawie sejmował w Lublinie (1566 r.), kiedy Ostroróg przyniósł to nowinę między posłów polskich i litewskich. — „Królowa wyjeżdża z Wielunia,” rzekł Ostroróg w rozpacz. — Arcybiskup Uchański powstał z stołka, stanął przed królem: „Na miłość Boską proszę króla Jegomości, niech nie opuszcza małżonki królowej na dobro swoje i Rzeczypospolitej. Zmiłuj się królu,” ukląkł starzec przed monarchą, „nie dopuść tego, bo Bóg srodze Polskę ukarze.” — Rzęsiste łzy płynęły posłom na ten widok; król sam porwał się podźwignąć od stóp swoich starca Pasterza, lecz pomogli drudzy. — Król milczał długo, nareszcie zdjął czapkę: „proszę was, nie mówcie już o tém, bo ja z nią mieszkać nie będę.”

Był to moment wielki, że w jego czynie zastygli Jagiellonowie, — czyn, który wzruszył całą Rzeczpospolitą więcej, niżeli wszystkie ciosy nieprzyjaciół. — Rozmawiano wszędzie o tym fakcie z wzruszeniem; nie było zamku i chaty zaściankowego szlachcica, gdzieby się nie oburzano na takie postępowanie. — Światli i dbali o kraj ludzie przewidywali upadek dynastji, a ztąd wyrosły kłótnie i swary, anarchja i upadek.

Na Malborku zgromadziło się u Mikołaja Łaskiego starosty, kilku zaufanych królewskich urzędników, rozmawiali właśnie o tym postępku króla; młody staroście

wtrącił się do mowy: „Waszmościowie *a capite piscis foetet*, za królem pójdą insze stany, pierwszego mamy szlachcica Mortęskiego, który nie dotrzymał słowa!“ — Goście nie rozumieli do czego ta mowa, popatrzyli jeden na drugiego, milczeli. Starosta zrozumiał ich żądania, odzywa się: „Waszmoście się dziwią synowi, mówi prawdę. Mortęski przybiecał mu córkę, a tymczasem wepchał ją na mniszkę do Chełmna.“

„Do Chełmna, w te pustki? a co ona tam pocznie przy tym nieładzie i niedostatku?“ — „Nie ma on wielkiego majątku? niech daje na mnichów, żeby go świętym ogłosili!“ mówi z drwinami Łaski. I byłby jeszcze więcej mówił, ale wszedł do nich referendarz; goście powstali: „Witamy!“ ściskają mu ręce, „niespodziewany gość, gdzie to tam tak długo przebywał, że go nie widać było tyle czasy.“ — „Referendarz ma swoje przeznaczenie, musi o wszystkiém wiedzieć, co się dzieje w okolicy, od czegoż byłby referendarzem, od kuchni?“

„Więc prosimy o nowinki.“ — „Wojna!“ — „Do licha,“ mówi pisarz grodzki, „bez oznajmienia wiciami?“ — „Na taką wojnę nie trzeba wici rozsyłać, tajne oni mają wici, porozumiewają się nosami jak owady z sobą. Wicie państwo, że Mortęski Majcher nie żyje? Napadli zamek rabusie, zmordowali poczciwca i kiwnął.“ — „A to okropnie,“ westchnął pisarz, „któż waszmości mówił?“

„Jadę z Chełmna,“ mówi referendarz, „tam na pewno mi mówiono, jak się stało, a co gorsza, żadne z dzieci nie było obecne w domu, fatalizm!“ — „Gdzie

fatalizm, nieporadność rodziców i koniec!" rzecze Łaski. — „Co też starosta mówi?" — „Referendarzu! czy małe dzieci rządzą domem, czy rodzice powinni?" — „Tak znowu tam nie było, on był tęgim ekonomistą, miał majątek gruby, znaczenie i poważanie, a dzieci znamy, że się światu podobają; wiele to Wejer podjął trudów, nim Mortężankę poślubił, wiele Żaliński robił zabiegów!"

„Właśnie na poparcie moich argumentów mówisz. Córkę przemądrzyły ojca i poszły zamąż wbrew jego woli. Syn także postępuje wbrew woli, bo mu ojciec naznaczył dom Kostków w Gdańsku, a on za Knutami ugania." — „Skończyło się, teraz nie będzie przeszkody, dopnie celu." — „Bodaj bez celu się ożenił." — „O tem nie możemy sądzić przedwcześnie; każdy wybierać powinien narzeczoną wedle serca, narzucać nie można żony; żona od Boga przeznaczona!" — „Referendarz argumentuje wedle prawa serca, oprócz którego istnieje prawo socjalne, a to pewnie przeważa w życiu."

„Ciekawym, czy król wedle serca czyli ze stosunków socjalnych pożegnał się z królową," śmieje się starosta. — „Właśnie-bym sądził iż wedle drugiego prawa." — „Przeczę, bo ci co na sejmie byli, widzieli, jak pokazał sobie na gardło, co znaczy, że woli sobie odebrać życie, niżeli mieszkać z żoną."

„Za daleko posunęliśmy nasze argumenta, które wobec stosunków są prawie nieznaczące," mówi referendarz. — „Słusznie," przerywa pisarz, „aspan starościc nie będzie sobie gęgał gardła za zakonniczką, nieprawda?" — Towarzystwo w śmiech. — „Do licha,"

przerywa referendarz, „staroście za zakonniczką desperuje, czy wykraść myśli?“ — „Myśli aspan, żebym ją nie wykradł, gdyby można.“ — „Którą, gdzie?“

„Nie wie referendarz, że Mortęgowna Magdzia wstąpiła do zakonu?“ — „W imię ojca, teraz rozumiem, stary pewno nie mógł przeżyć téj chwili; nie złodzieje mu dopalili, ale córeczka, masz!“ — „Doprawdy, takim być ojcem nieszczęśliwym, jak ten człowiek, to rzadko. Wszystkie córki wbrew woli ojca obrały sobie stany, syn także konkuruje z niebłogosławieństwem ojcowskiem.“ — „*Requiescat in pace*, nie będę prorokiem, ale mówię, że fatalizm jakiś spotkać tę rodzinę musi.“ — „Referendarzu, dzieci niewinne za miękkość rodziców.“ — „Starosto! więc my niewinni za grzech Adama, he?“ — „Ej dajmy temu spokój, kwasu się mnoży już za wiele w naszym kraju... od króla do szlachcica i chłopca... źle!“

Na téj dyspucie zeszedł wieczorek, goście się rozeszli. — Starosta był niespokojny, mówi do syna: „Wiesz co, czyli też ten kucharz złodziej nie nazbierał równych sobie i nie zrabowali Mortęskiego? Trzeba nam koniecznie tę sprawę wysledzić.“ — „Być może, nie żałuję go, skoro złamał słowo.“ — „Ba, kto wie, czy Magdzia dobrowolnie wstąpiła do klasztoru?“ — „Mnie się ojciec zdaje, że nie miała klasztornego ducha, sądzę, to jakaś intryga.“ — „Słusznie mówisz, jedź jutro cichaczem do Chełmna, może coś się pewniejszego dowiesz.“

Staroście pojechał dnia następnego do Chełmna; mając tu przyjaciół, wstąpił do ich domów i bawił

przez kilka dni, nie zdradzając planów swojego interesu, często kierował mowę na klasztor. Chełmianie potrzásali ramionami: „oj biedne te zakonniczki, a najbiedniejsza Izbińska pocziwota, żebrze jak może, aby tylko wyżywić siostry swoje.“ — „Chciałbym ją poznać, może też tato dałby jaką zapomogę.“ — „I owszem, ona tu przyjdzie, niech tylko zawołamy, bardzo miła, pełna wiadomości, choć wiekowa osoba.“

I sprowadzili do tego domu Izbińską, która przyszła w towarzystwie drugiej także wiekowej zakonniczki. Zaczęto rozmowę o stanie klasztoru. Izbińska ruszyła ramionami: „państwo rozdzieracie mi ino serce pytaniami o stanie klasztoru. Bóg jakoś nas nie opuszcza, kiedy powołał jedną siostrę na pomnożenie nasze.“ — „Macie nowicjatkę? ciekawym skąd?“ — „Waszmość musi znać tę zacną familję, któż nie zna w naszym kraju Mortęskich podkomorzych. Z ich grona przybyła nam nowa siostra. Z jakim błogosławieństwem wypisał jęj ojciec pozwolenie, aż radość! Panna pełna nauki, czyta postylę księdza Wujka, pobożna, posłuszna, odbywa ćwiczenia duchowne, siostrom usługuje, w kuchni sprząta, w kościele porządkuje, nie spi jeno godzin trzy i jeno się modli.“

Starościcowi biło serce, pełną pierśią oddychał, aby nie zdradzać serca tajemnicy. Już mu było zadosyć téj wizyty, patrzył się tylko aby czempredziej odeszły zakonniczki. — Oddaliły się one mówiąc: „Błogosławieństwo temu domowi.“ — „No,“ pyta go matrona, „nieprawda, że lube te zakonniczki, aspan pewno oznajmi ojcu, aby był łaskaw posłać im jaką jałmużnę.“ —

„I owszem,“ rzekł obłudnie, myśląc w sercu inaczej; pobawił jeszcze i odjechał.

Ojciec czekał na syna niecierpliwym. Na wstępie zaraz pyta ciekawie: „No wywiedziałeś się?“ — Syn machnął ręką: „Dobrze się stało, że nie żyje, bobym się rozprawił z nim honorowo; szlachcie łamać słowo! On sam wepchał ją do klasztoru dając na pismie swoje zezwolenie.“ — „Kto ci mówił?“ — „Z ust saméj przełożonej słyszałem.“ — „Tak? niech zaginą Mortęgi! jeszcze tyle zrobię, że jak będzie pierwsze pospolite ruszenie, napiszę, aby się syn stawił do wyprawy i namówię, aby go postawiono na pierwszój placówce, będzie z Mortęgami koniec.“

Ludwik na szczęście nie słyszał téj nierozważnéj zemsty, on był na ówczas w Wiedniu, nie sam, tylko z żoną Justyną Knutowną, którą poślubił bez wiedzy ojca, z przyczyn kładzionych mu tam, aby go nie łączyło serce, jeno interesa i familijne widoki. Dla tego zjechała się familja do Warszawy i tu stał się ów związek prawomocnym. On wychowany w Wiedniu, chciał uprzyjemnić Justysi pierwsze chwile, bawił się też bez przerwy, robiąc wycieczki po za Wiedeń, zwiedzając osobliwości austrjackie, warte zawsze podziwu i zachowania je w pamięci.

Wulkowska sprawiła tymczasem pogrzeb zgasłemu bratu, nie pisała nawet do Ludwika, bo kiedy i gdzie mogły go dosięgnąć listy? Tak przecie nie była jeszcze naówczas uregulowaną komunikacja prywatna jak obecnie. — Po kilku dopiero miesiącach zjeżdża Ludwik do Torunia; tu zamiast uciechy, zapłakał gorzko nad

utrata ojca, słysząc jakim sposobem skróconém było jego życie. Objął tedy dobra ojcowskie, nic mu nie stało na przeszkodzie, bo siostry zapewnione w bycie nie żądały nic od brata, a Magdusia uczyniła solenne śluby zakonne oddając się dewocji na zawsze.

Jedzie on jednak do Chełmna, chcąc się widzieć z zakonnicą. Justyna nie chciała pozostać samotną na Mortęgach, przyczepiła się do męża, i oboje stanęli na miejscu. Zajeżdżają do klasztoru, pukają do furty. Odźwierna pyta się, kogo ma zaprezentować pannie ksieni. — „Ludwik Mortęski z małżonką.“ — „Czy Waszmość krewny panny ksieni?“ — „A któraż ksienią w tym klasztorze?“ — „Magdalena Mortęska.“ — „Proszę oznajmić, przyjechał brat Ludwik z małżonką.“

Ksieni przyszła do mownicy, podała rękę bratu z wielkiém wzruszeniem. On ją ucałował radośnie, a siostra rozpląkała się serdecznie. — „Przedstawiam ci żonę moją,“ rzekł Ludwik z uśmiechem, a zakonnica pokiwała głową: „Tak bracie dotrzymałeś Bogu słowa!“ — „Haha!“ uśmieł się Ludwik, „taki zakon mi się spodobał; ażaliż Mortęgowie na zagładę przeznaczeni!“ — „Bóg by dał, modłę się za was, niestety!“ i zamilkła. Twarz jęj rozjaśniała się anielskim rumieńcem, wystąpiła cała piękność w niewinności.

Justyna się wpatrywała długo w to oblicze, nie zdecydowała się na słowo, ono zamarzło w jęj ustach i nastąpiła dziwna w sercu jęj tęsknota. Ludwik rozmawiał z siostrą pytając, czy zdrowa, czy jęj się nie przykrzy, czy zadowolniona. — „Wszystko w bożych rękach,“ odpowiedziała zakonnica i pożegnała braterstwo. Spadła zasuwka w mownicy, goście odjechali.

Na Mortęgach był teraz ruch niezwykły. Ludwik odnawiał zamku komnaty, zajął się regulowaniem gospodarstwa. Justynę nikt nie mógł rozweselić, co chwila traciła humor; a mimo słodkiego obchodzenia się z nią, Ludwik nie mógł rozbudzić jęj dawnego humoru pytając nieraz: „co tobie się stało?“ — Ona słowem jedném odpowiedziała „nic.“ — Posmutniał i on, lecz zatrudnienia domowego gospodarstwa rozweseliły stroskany umysł. Zresztą zaszły różne odmiany w Rzeczypospolitej, trzeba było brać udział w różnych obradach szlachty, a zwłaszcza nastaly rozruchy w Prusiech, które król koniecznie zażegnać jakim sposobem zamyslał.

W tym celu złożył sejm walny w Heiligenbajlu, bo ksiązę pruskie umarło, gdzie poruszano kwestię hołdu, którą miał wykonać następca Fryderyk ksiązę pruskie, margrabia Brandeburski. — Ludwik pojechał na ten sejm celem przysłuchania się i hartowania wykształconego umysłu do spraw narodowych. — Potém nastał sejm w Lublinie (1569 r.), na którym główne dwie sprawy załatwiono. Mianowicie przyszła do skutku Unja Litwy z Koroną na wieczne czasy, i ksiązę pruskie złożyło publiczny hołd królowi Augustowi, potwierdzając go przysięgą.

Ludwik był także na tym sejmie jako szlachecki wolontariusz z ciekawości. Przyjechawszy do domu, zastał bardzo cierpiącą małżonkę, nie opuszczał już domu, by osłodził jęj cierpienia. Schła mu w oczach, a on desperował, boć to była jego pierwsza i prawdziwa miłość, a ta wywiera ogromne wpływy na stroskane serce. — Nie wyjeżdżał nigdzie, chyba do siostry,

wynurzając jej swoje żale nad chorobą małżonki, i szukając w religji pociechy, prosił ją o gorące modły, by Bóg ten stan odmienić raczył.

W takim stanie posłyszał nowinę, że król Zygmunt August zgasł, jako ostatni potomek jagielloński. Ten żal opanował więcej jego ducha, bo on także nie miał z Justyną żadnego potomstwa. I przesunęło mu się widmo przed oczyma, czyli i on nie będzie ostatnim Mortęgą! Nie długo po pogrzebie króla, bo tylko dwa miesiące upłynęło, odprawił i on pogrzeb najdroższej Justyny.

XV



Wejer, szwagier Ludwika, zyskiwał w kraju coraz więcej zaufania; przygody i niełaski Rewelską awanturą sprowadzone, poszły w zapomnienie. Do tego miał Annę Mortęską za małżonkę, obfitującą w cnoty obywatelskie i religijne kobietę; wielka pobożność, rozsądek rzadki, miłosierdzie bez różnicy stanu, zdobiły tę panią. — Zjawia się do tej magnatki Maciej Żaliński, urzędnik królewski. Anna przyjęła spowinowaconego z swą familją Macieja uprzejmie, i pyta wśród gościny, co go też w te strony przyprowadziło, że nawiedził jej progi.

„Waszmość,” rzekł Maciej tonem łagodnym, „już to do naszego kraju wkradają się nieporządki; nie ma króla, nie ma Jagiellona, sejmów i sejmików się na-

mnożyło, na nich grają osobistości na piszczałkach swoich namiętności. Kasują dawnych urzędników królewskich, odbierają im dzierżawy, i ja do tych należę. Długi czas byłem w posiadaniu dzierżawy Zyzmory, dziś mi ją odebrali.“ — „Nie może być.“ — „Fakt dokonany; udałem się do sędziego Żalińskiego w Tucholu, mojego krewniaka, na poradę, dobry człowiek ani słowa, żona jeszcze lepsza, lecz on miękki, mówi mi: nie chcę się narażać wielkim panom, boby mi stroniczość zarzucono, radzę jednak, abyś się udał do Wejera wymownego człowieka, on mając więcej między szlachtą zwolenników, może im podszeptać, aby to bezprawie na sejmiku konwokacyjnym poruszyli.“

„Ręczę Waszmości,“ odparła matrona, „że mój mąż podniesie tę sprawę z pewnością, tylko cierpliwości, bo pojechał do Mortąg; brat mój stał się melancholikiem po utracie żony, chce go rozweselić.“ — „Słyszałem wiele o przygodach Mortęskich, podobno wtrącił siostrę do zakonu. Szkoda, w dzisiejszych czasach zakony nie wiele popłacają, ani się też do rozwoju przyczyniają.“ — „Przeciwnie, może Bóg tak zrządził, że została zakonnica dla pociechy wielu. Nikt by nie poznał tych pustek w Chełmnie, jak one dziś wyglądają; odrestaurowała klasztor, garną się zewsząd szlacheckie córki do klasztoru, zakwita przez nie nauka i pobożność. Siostra jako ksieni, umie kierować zgromadzeniem, że to samotne życie staje się dla niej słodyczą. Jeżeli tak dalej postępować będzie, rozkrzewi się po całej Polsce życie religijne z pewnością, które w domach magnackich zastygło.“

Żaliński zamilkł w obec téj argumentacji. — „Możeby Waszmość pofatygował się do Mortęg?” — „Korzystałbym z téj przyjemności, jednak konwokacja w Warszawie zapowiedziana nie będzie na mnie czekała, jeno ją koniecznie poprzedzić muszę.” — „Ale, na mój koszt wyszlę do Mortęg i ztamtąd do Warszawy.” — „Nie dam sobie ubliżyć, tak znowu ze mną źle nie jest, abym potrzebował zapomogi na jazdę; otwartość i szczerść Jejmości niech się nie obraża, przykro mi jeno, żem nie zastał podwojedziego.” — „Nie grymasz-no aspan nie, co mówię, otwarcie mówię, masz dzieci, a ja nie, pierwiej możesz oszczędzać niżeli ja” — „Oj mam Samuelka chłopczyka, bez chwalby jak złoto.”

„No widzisz, mam rację,” i uśmiechnęła się kobieta; „kiedy tak, poszlę po męża, on na moje skinienie przybędzie, tylko mu napiszę niespodziankę: przyjeżdżaj, bo Działyńscy u mnie. Widzi aspan, oni mają ładne dziewczę, podoba mi się ogromnie, chciałabym zeswatać brata, partja będzie dla niego lepszą niżeli Knutowna.”

„Co tam Imość, mężczyzna ostygnie, zobaczywszy czarne oczy zapomni dawnych; tak bywa na świecie, nie on pierwszy i ostatni. Ja także tak desperowałem, tymczasem druga powiła mi synka i cieszę się z nim więcej, niżeli magnaci z owego Francuza Henryka, którego, nie wiem, czy im się w głowie pomąciło, na tron obierają; jest on obcokrajową rośliną, nie przyjmie on się na naszój ziemi, tak sądzę.”

„Wybornie, aspan będziesz łaskaw przemówić do serca mego brata z własnego doświadczenia, może Bóg

da, że zdanie odmieni; bo przyznam się, że go opanowały myśli wstąpienia do klasztoru, czemu jestem nader przeciwną, i dołożę wszelkich starań, bym go tylko odwiodła od tego zamiaru. On jednak, reprezentant familji Mortęskich, miałby zagać marnie?" — „Rozumie się, nie pozwalaj bratu Imość na podobny krok.“

Żaliński bawił dzień i drugi, wieczorem przyjechał Wejer z Ludwikiem. Anna na wstępie w śmiech: „Widzisz, jakem was zwabiła Działyńską; ejże, podoba się, nie wiedziałam. Wiecie, kogo mam w domu? Jeżeli Ludwiku zgadniesz, będę ci na weselu starościna,“ śmieje się Anna. — „Chyba na jakich prymicjach.“ — „Fe, co ci głowę zawróciło? Justysi nie ma i nie wstanie, a ty powinienes pamiętać, żeś jedynakiem.“

Anna wprowadza do komnat męża i brata. — Żaliński tu stoi. — „A, witam,“ mówi Wejer, „widzieliśmy się w Wilnie, nieprawda? Patrz Wasze, jaki to kłopot po zgonie króla, każde województwo obierałoby inszego, a najwsteczniejsza partja myśli o jakimś Francuzie, czy głowy potracili czy co? Nie mamy to Jagiellonki! jój wyszukać męża i nie zaginać Jagiellony, nieprawda?“ — „Słuszna uwaga.“

Ludwik stał milczący; Żaliński doń: „Byłem u Żalińskich, kłaniają się oboje.“ — „Zdrowi?“ — „Do woli bożej, oboje jak złote rybki w sadzawce.“ — „Istotnie bardzo trafne porównanie, oboje słuchają siebie, szczęśliwa natura, dobrali się jak dwa ziarnka w korcu maku, gdybym to był tego usposobienia, nie liczyłbym się dziś do nieszczęśliwych.“

„Co mówisz Ludwiku? Majątek masz, w głowie

nie pustki, antenatów dzieje za tobą przemawiają, i o cóż się gryźć, o żonę? Ej, ja miałem także takiego móła, ani jeść, ani spać nie mogłem, wszystko przeminęło, ożeniłem się po raz drugi, mam chłopaka zdrowego jak bursztyn, jeszcze będzie twoim zięciem.“ — „Haha!“ roześmiała się Anna klaskając w ręce, „to mi zuch!“ — „Myślicie Waszmościowie, że na serjo nie mówię? Mój chłopak ma lat 2. Ludwik się ożeni, będzie miał córkę, za lat 28 wesele.“

Po pierwszy raz uśmiechnął się Ludwik po zgonie Justyny. — „Jak z płątka mówi, nie potrzeba drukarza.“ — „I po cóż przyjechałeś?“ mówi Ludwik do Macieja. — „Widzisz, jak się siedzi na obcym koniu, każą ci na środku wody zleść zeń, i musisz. Nie słuchałem ojca, udałem się wbrew woli jego do służby królewskiej, powodziło mi się nie źle; król kłapnął, hejże ze Żalińskim w ką, odebrali dzierżawę królewską, łapki lizaj; nie jesteś to szczęśliwszym, że nikogo nie potrzebujesz, raczej będą potrzebowali twój głowy?“

„Istotnie tak?“ pyta Wejer. — „Waszmość dobrodzieju, właśnie w tym interesie przyjechał, będzie konwokacja warszawska, aby który poseł wniosł tę moją krzywdę, niech mi przywrócą Zyzmory. Za to zeswatam Ludwika z bardzo piękną Imościanką.“ — „Już tam z tego nici,“ odparł Ludwik. — „Dopóki jój nie zobaczysz, a jak zobaczysz, dostaniesz przysięgam, palpita-cji, serce ci będzie biło młotem: Tomek! Tomek!“ — Ogólny nastał śmiech i wesołość.

„Słowo honoru daję, nie przesadzam; będąc z królem w Knyszynie, poznałem osóbkę, cudo piękności, że

mi serce tomkowało. Pytam, co to za jedna? Mówią mi półgębkiem: Zborowska; gdybym był kawalerem, wykradłbym ją z pewnością, niechby mnie na poły ćwiertowali, albo uwędzili jak śledzia, warta tego.“

„Mam ja coś ładniejszego dla braciszka,“ przerwała Anna, nie czarne oczka, jeno siwe.“ — „Siwe zalotliwe,“ ośmiał się Żaliński. — „Działyńskich przedkładam nad Zborowskich, nie ujmując honoru drugim; tylko że nas większa przyjaźń łączy z Działyńskimi, więc bym rada była, aby braciszek nie grymasił, jeno poprosił Działyńskiego, a z pewnością dostanie córkę; wiem od samej Imości, powiedziała mi w sekrecie, bez ogródki, jeno niech przyjedzie.“ — „Ludwiku, do sto biesów jedźmy,“ mówi Żaliński, „z téj kuchni niech mi pozwolą przynajmniej półmisek oblizać.“ — Znowu śmiech.

„Jestem za tém,“ przymawia Wejer. — „Imość za tém, i ja za tém,“ przerywa Żaliński, „większość głosów rozstrzyga, *a qui tacet probat*, więc i Ludwik za tém;“ porwał go za rękę, „przetnij Waszmość Wejer kupno o pannę, skończone.“ — Wejer z wielkim śmiechem przeciął, a Żaliński krzyczy: „vivat, niech pan młody żyje!“

Dowcip Żalińskiego rozweselił wszystkich, jeli się gościć. Ludwik polubił Żalińskiego jak brata, zwierza mu się ze wszystkich zgryzot, prosi o prawdziwą zdrową radę. Nawzajem Żaliński wypowiada przyczynę swojej podróży, w jakiej znajduje się kolizji. „O,“ rzecze Ludwik, „Wejer przemoże senatorów, wrócisz znowu do dawniej dzierżawy, mam znajomych w Warszawie, będą

ci towarzyszył z Wejerem.“ — Ucałował Żaliński Mor-
tegę, i jak uradzili, tak uczynili.

Nazajutrz wyjechali do Warszawy; Ludwik zobaczywszy Działyńskiego, zaraz mu oręduje; Wejer obra-
bia Jana Tomickiego; ci znowu szeptają inszym raj-
com. — Otoż stało się, sprawa Żalińskiego wychodzi
na jaw. Ten kontent niezmiernie z obrotu tego, namawia
Ludwika: „Odwiedzmy Działyńskiego.“ — „Tu nie
można, chyba jedźmy do jego domu, przysłowie mówi:
Dla mojej niebogi, nie żałować drogi.“ — Wejer usły-
szawszy te słowa, ściska dłonie Ludwika.

Jak też pojechali, tak uwiązał Ludwik, — i ożenił
się wkrótce z Działyńską. Szło wszystko śpiesznie nad
podziw i niespodziewanie, tak dalece, że nim wszystkie
elekcyjne odbyły się sejmiki i przeparła partja francu-
ska wszystkie insze, — Ludwik przyjechał z małżonką
do Chełmna, aby ją przedstawił ksieni siostrze.

Działyńska nie grzeszyła pięknnością urody, za to
należała do mądrych niewiast, a osobliwsza pobożność
ją zdobiła, raczej wyglądała na zakonnicę, niżeli na
żonę. Magdalena poznała zaraz tego ducha, ucieszyła
się ogromnie i z lubością z nią od pierwszej chwili
poznania rada przestawała. Tak trwało, aż ogłoszono
przybycie nowego króla Francuza do Krakowa (1574).

Ludwik ani myślał ruszać się z domu, kontent zaj-
mował się sprawami domowymi, rad ogromnie polepsze-
niu swojego gospodarstwa, prawie codzień zwiedzał fol-
warki, przypatrywał się robotnikom włościanom, którzy
obrabiali pańszczyzniane powinności. Na jednym z fol-
warków stanął przy młockach, było to w zimie, mróz

palił po rękach, jak oni młócili. Mortęga przypatruje się staremu robotnikowi, miał on szramę od cięcia na czole, a zdjawszy czapę, drugą mu widać było na głowie.

„Tyś był ciurą, żołnierzem piechotnym?“ pyta Ludwik. — Chłop zakaszłał: „nie, proszę Waszmości.“ — „A kto ci czoło i łeb rozplatał?“ — „Hoho, to już Wejsa dawno temu, jak my się bili z kucharzem, który był u nieboszczyka Jegomości, psu brat, alem mu dopalił.“ — „Co ty mówisz?“ — „Tak mówię jak było; przyszedł do mego domu, zaczął wróżyć mojej żonie i dziewczce; opowiadał, że dziedzic umrze. Mnie nie było w domu, przyszedłem, słyszę tę mowę, pobiegłem za nim, poznaję, że to dawny kucharz, pijak, uciąłem go raz, on mnie drugi, ja na odwrót, on porwał siekiery, ciup mnie w czoło i w łeb, jak się zerwę, takem go ciupnął, aż zdechł.“ — „I cożeś z nim zrobił?“ — „Wejsa, aby nie było hałasu, wrzucił do stawu uwiązawszy kamień u szyi.“

Ta mowa zainteresowała dziedzica i pyta dalej: „Sam był u was we wsi?“ — „Samuteńkie łąziło, obrośnięte jak zwierzę jakie, a nic temu z pyska nie wyszło, jeno saframenty.“ — „A wiesz ty, że on otruł matkę moją?“ — „Ba Wejsa, gdybym był o tém wiedział, byłbym mu poobcinał ręce i pysk rozerwał.“ — „I czemużeś nikomu nie powiedział?“ — „He, wtenczas taka ruchawka była, żeśmy się wszyscy bali, we 20 koni przyjechali rajtary do zamku, zrabowali wszystko, byli we wsi i zagrozili nam, abyśmy nie pisnęli słowa, bo nas spalą.“ — „Doprawdy?“ — „Wejsa tak, widziałem ich przecie na moje oczy, to byli Waszecie,

bo mieli piękne konie, jeno jeden żyd był między niemi.“ — „Poznałbyś go?“ — „Wejsa trudno, bo to wszyscy żydzi jednacy, każdy ma dwie czapki na głowie, brodę i hałat długi.“

Ludwik przychodzi do domu, opowiada to zdarzenie żonie. — Ona patrzy się na Ludwika: „powiedz mi Ludwiś, czyli nie miał ojciec jakich nieprzyjaciół?“ — On sobie przypomina awanturę w Wilnie i odgrożenie Bersztyna, że nie daruje Ofki infantki. — „Wiesz co, zasięgnij rady mędrszych ludzi, a tymczasem nie rozgłaszaj coś słyszał.“

Ludwik niecierpliwy, jedzie do Chełmna do Wejserów. Zastaje kilku szlachty a między nimi Żalińskiego, którego nazywał swatem. Uściskali się serdecznie. — Żaliński zawsze wesoły rzecze: „No, masz już córkę, bo chowam dla niej syna?“ I tak żartuje i dowcipkuje. Po niemałej chwili pyta znów Ludwika: „jedziesz i ty na koronację?“ — „Po drugą głowę do Krakowa, cóż sobie myślisz, przecie nie mogę opuszczać żony młodej.“ — „Baj, alboś się pierwszy raz ożenił!“ — „Nie mogę, muszę zostać w domu, interes mnie przykuwa.“ — „Jaki interes?“

Ludwik opowiada w cichości. — „Wiesz co, to są chłopskie wykręty, podobne zeznanie daje podejrzenie. On musiał być na rabunku i wtajemniczony.“ — „Przyznawałby się sam i komponował?“ — „Nie znasz prostego ludu, zbrodniarz zawsze łże.“ — „Coż czynić?“ — „Rzecz ta nie ucieknie, pilniejsza nam koronacja.“ — „A to dla czego?“ — „Każdy musi myśleć o protektorach i protekcji, nie będą nas widzieli, zapomną o nas.

Jabym się chciał dostać znowu do służby królewskiej, Wejer także myśli o jakim wyższym stołku, a w domu go nie podstawia, ty także nie zakopuj talentów, na cóżby wyszła twoja nauka!“

Te wywody i perswazje przemogły. Ludwik dał się namówić, pojechał razem na koronację króla Henryka do Krakowa.

Owa koronacja Francuza na króla polskiego przypadła w zapusty. Mnóstwo zjechało się szlachty i senatorów, biskupów. Zobaczył Żaliński Zborowskiego miecznika. — „Wiesz ty,“ rzekł do Ludwika, „Zborowski jest, pewno i ładna jego dziewczka, a co ładna to ładna, mówię ci takięj nie widziałeś nigdy; poczekaj, muszę ja wyszukać, gdzie mieszka, zaprezentuję mu się, znamy się przecie z dworu królewskiego.“ — Jak ją szukać, tak wynalazł kamienicę i wchodzi prosto. — Zborowski przywitał dworzanina, który zastał właśnie całą rodzinę zgromadzoną i piękną córkę. Dowcipniś nagadał kobiecom nowinek do śmiechu, ujawniwszy im siebie, że go zaprosiły. — „Sam nie mogę, mam z sobą dwóch towarzyszy Wejera i Mortęskiego.“ — „Więc z nimi proszę,“ rzekł Zborowski.

Tak się stało. Jeszcze przed aktem koronacji bawili wszyscy trzej w gościnie u Zborowskich, a Mortęski poznał piękną Zborowską, której wdziękami tak się zachwycił, że spać nie mógł, jeno myślał o tój żywej róży; lecz niezdługo rozchwiały się jego marzenia, wpadając w obrzydzenie, gdy gruchła wieść po Krakowie, że Zborowski zabił czakanem Wapowskiego na gonitwach. — Zaburzenie było wielkie, wszyscy ujmowali

się za Wapowskim, który poszedł z raną do króla, żądał sprawiedliwości, potem też z ran umarł.

Ludwik z towarzyszami uciekał z Krakowa, by tylko pocieszyć żonę i wymówić się z tak długiej nieobecności; bo naturalnie małżonce w pierwszej chwili było przykro, że go nie ma dzień cały; na drugi nastąpiła tęsknota, na trzeci płacz, gdzie się podział. Jedzie tedy do Chełmna wprost do klasztoru, by wynurzyła pierwsze przed siostrą na męża żale. Ksieni wiedziała od Wejerowój, że wszyscy pojechali na koronację, uspokaja bratową, ale to uspokojenie nie było dostateczne.

Jak w naturze zwierząt jest instynkt pewny, przeczuwający burzę, tak w duszy człowieka coś przeczućciowego, zwiastującego szczęście lub przeciwnie. Małżonka się wzdygała na każde wspomnienie męża, jakby ją przelatywała iskra elektryczna, przynosząca telegrafem depesze: On chory... on zabity... on się bawi... on inszą kocha... on mnie opuścił... i tym podobne myśli trapiły kobietę, aż wpadła w nerwowe rozdrażnienie i po dwu tygodniach w chorobę, wołając ciągle: Ludwisiu! A on nie słyszał, bo jadąc na Poznań, wstąpili do Działyńskich i tam się balowali rozprowadając, co się w Krakowie stało.

Wśród najweselszej zabawy, przylatuje goniec do Działyńskich, z listem pisany własną ręką samój Ludwikowój: „Żegnam się z wami, nie mam męża, już mnie opuścił. Do zobaczenia. Trumnę mi zrób mamó.“ — Pismo jój dziwnie kreślone było trzęsącą ręką. — Zdziwili się wszyscy, Ludwik najbardziej; „dla Boga, co się tam stało!“ zawołał i w téj chwili odjechał.

Na Wiśle koło Torunia nie było mostu jeno przewóz, na nieszczęście był prom na przeciwnéj stronie, a przewoźnicy w karczmie grzali się piwem, bo też zawierucha śnieżna dokuczała do żywego. Ludwik sam przemarzł, lubo miał wilczury; woła niecierpliwy z całego gardła na przewoźników; przecie ujrzeli, skoczyli do wioseł, przyfalowali prom, szlachcic zezłoszczony, wali łagą po karkach wszystkich sześciu: „psubraty, złodzieje!” Jednemu spadła czapka do wody, zabłysnął łysiną. Ludwik zobaczył na głowie długą szramę od cięcia. „A ty złodzieju gdzieś ty kradł, że cię tak naznaczyli?” — Drugi przewoźnik się odzywa: „na plecach większy ma znak i na ręce także.” — „O ty rabusiu,” łup go kijem, „kto cię tak naznaczył?”

Chłop się obejrzał leniwo, i mierząc wzrokiem białych ocz przeciwnika, rzekł: „ja tam Wejsa nie rabuś, jeno mnie szlachcice wciągly do tego.” — „Co ty mówisz, szlachcice by wam kraść kazali?” — „A jużcić, nie kto inszy,” odrzekł leniwo. — „No przewoźcie prędko, ja wam tu dam.” — Chłopy kierują łodzią między sresz lodowy, na środku Wisły obziera się jeden na drugiego, Ludwik odgadł złe zamiary, śmiałością swego umysłu jednak nie zdradził się, że się przełakł, jeno szorstko odpowiedział: „Jadę od nowego króla do Gdańska, przewoźcie mnie prędko, bo muszę stanąć jeszcze dzisiaj, abym dla jego wojska miejsce dogodne wynalazł; pójdzie tu krocie wojska, dam wam znak, żeby wam nic złego nie robili, bo oni okropnie zuchwali i ścinają natychmiast głowy, kto im nie da co zechcą.”

Zelektryzowała ta mowa zuchwalców, przewieźli go, na brzegu zapłacił pięcioma, szóstego naznaczonego bierz z sobą mówiąc: „ty mi musisz wskazać owego szlachcica, który bandę złodziei utrzymuje; król mu każe ściąć głowę; jeżeli nie wskażesz, to zaraz tobie każę uciąć łeb.“ — „Albo ja też wiem, gdzie on teraz.“ — „Już ty go znajdziesz, jeno wezmę cię na tortury, najprzód każę ci kleszczami wrywać paznokcie, potem żelazem wypalać pięty, do rąk musisz brać rozjarzone żelazo, już się ty przyznasz.“

Strach opanował chłopą przed widmem tych mąk okrutnych, piekielnych: „Przepraszam Waszeci, mam ja za kogo cierpieć, niech cierpią wszyscy, którzy tam byli.“ — „A którzy tam byli?“ pyta Ludwik surowo. — „Z różnych wsiów byli, nazbierał ich żyd z Torunia, było nas z 50 koni, wjechaliśmy aż do Mortęg, tam zrabowali zamek i wyprowadzili żyda starego, ojca naszego Icka, handlarza krup z Torunia.“ — „Zabiliście pana?“ — „Bóg-że tam może wiedzieć, czy go uśpił który czyli nie; ale czeladź zamkowa tak nas siekała, żeśmy dostali po nosach, aż nam juchy wyszło nie mało, i mnie także płaćnął stary lokaj raz w rękę, drugi raz w plecy, a najgorzej było w łeb, bo mi czapę przeciął. Boże się pożał, gdybym choć jeden grosz był dostał, insi to się chwalili, że im się dostało po kopie, niektórym więcej, a ja przysięgam, nie oblizałem nic i mam cierpieć tyle za darmo? oj miły mocny Boże, jakie się na mnie nieszczęście zważyło!“

„Któryż szlachcic podjuszyl tych żydów i chłopów?“ — „Wiem ja też? Icek w Toruniu musi wie-

dzieć.“ — „No zobaczymy, jeno prawdę mów, to ci może życie daruję.“ — „Ach Waszeci!“ chce całować rękę. — Ludwik odsunął się, krzyknął surowo: „żebyś ino prawdę mówił i wskazał mi dom Icka, jak do Torunia przyjedziemy.“ — „On mieszka nad Wisłą w takiej chałupinie mizerniej, a w nocy schodzą się doń flisacy i przywożą co on chce, to żyd bogaty.“

Ludwik niecierpliwy wjechał do Torunia, ani wstał do Wulkowskich, prosto zajechał do Icka. Poznaje w nim syna Dawidka z Malborka. — „Waszeć!“ krzyknie chłop, „ten żyd nas namówił, abyśmy jechali na rabunek do Mortęg.“ — Ludwik kazał natychmiast powiązać żyda i z chłopem zawioził do wójta miejskiego, a sam wstępował do Wulkowskich.

Ciocia przyjmuje bratanka radośnie: „Ludwiś! prawiem powróciła z Chełmna; pisała mi Magdusia, że twoja żona niebezpiecznie zachorowała i majaczyła w gorączce; Bóg jakoś przemienił, bo Magdusia odprawiła ze wszystkimi zakonnicami nowennę do ś. Benedykta, i już zdrowa, siedzi w Chełmnie u Magdusi czekając na przybycie twoje. Ale hultajku!“ pogroziła, „któż to widział wyjeżdżać z domu na koronację królewską nie opowiedziawszy się żonie? Z pierwszą postępywałeś tak, z drugą podobnie. Bez żony nie wyjeżdżaj mi nigdzie, albo razem jedźcie, albo żadne z was samotne!“

Ludwik się tłumaczy: „Namówił mnie Żaliński i Wejer.“ — „Co pleciesz, Żaliński dopiero co odjechał z Elzią odemnie, nie byli nigdzie.“ — „Ale kuzyn Żalińskiego, urzędnik królewski.“ — „A to co innego.“ — „Nie chciałem jechać ciotusiu, bom przy-

szedł na trop, kto zabił Hansa mordercę mojej matki.“ — „Nie może być?“ — „Więcej powiem, odkryłem zbrodniarzy rabunku, którzy byli przyczyną śmierci mego ojca.“ — „Doprawdy? genjuszem cię nazwę, powiedzno, siadaj.“ — Ludwik opowiedział pierwsze i drugie.

„Szczególne zdarzenie!“ załamała ręce Wulkowska, „nieraz jednak ostrzegałam brata: co ty używasz żyda Dawida do interesów? nie umiesz porachować pieniędzy czy co? Żyd zrujnował go nieraz majątkowo, był przyczyną nareszcie śmierci. A wiesz ty co, czyli żydzi nie zadali jakiego leku, że Justysia tak usechała; boję się, bo i teraz żonie twój zawołano cyrulika żyda, i po tych pijawkach dostała takiego warjactwa i majaczenia! Wypędź żydów z dobr swoich, jak my uczynili, będziesz miał spokój święty. Widzisz do czego motłoch doprowadzili, że się porwał na rabunek swojego pana; alboż Hans nie przez pijaństwo dopuścił się otrucia, a ostatnią przyczyną żydzi, co go rozpoili.“

„Wszystkiego dociekę, jeno na pręgierzu postawię Icka.“ — „Nie rób sam sobie sprawiedliwości, oddaj go pod sąd, bo jeżeli się pastwić będziesz, uczynią żydzi hajrem i wyrządzą ci krzywdę.“ — „Pasy będę darł z bestji, ani sobie nic powiedzieć nie dam, bo mi mówił złoczyńca, że szlachcic tym ruchem kierował, muszę się dowiedzieć który.“

Wulkowska pogroziła jeszcze raz bratankowi: „niebezpieczna gra, nie mamy rodaka króla, a obcy praw naszych nie będzie bronił.“ — „Ciocia myśli, terazniejszy król lepszy od poprzedników, bo Zborowskiego wysłał na wygnanie.“ — „Chcesz i ty iść za Zborowskim?

We Francji rządzą żydzi pieniędzmi, zna on się na takich sztuczках.“ — „Za żydów by mnie król karał?“ — „Nie za żydów, tylko za samowolę, bo żydów ukarzą królewskie sądy, a ty unikniesz zemsty.“ — „Co ciocia wie, idę do wójta, niech męczy przekletników,“ i poszedł.

Wulkowska zaś zebrała się w téj chwili, pojechała do Chełmna do ksieni. Ona była obecnie wyrocznią we wszelkich familijnych sporach. — Ksieni słysząc wywody swéj cioci, jako osoba religijna, kierująca się zasadą miłości bliźniego, która się rozciąga także na nieprzyjaciół, rzekła spokojnie: „Niech ciocia nakaze, aby Ludwik przyjechał do mnie, to mu wyperswaduję, niech idzie drogą sprawiedliwości.“ Na tém skończyła się konferencja.

Wulkowska była jednak niespokojną, chodziło jéj o bratową, bo ona ją najwięcej zeswatała. Odjeżdżając z Chełmna pędem do Torunia, dowiaduje się u wójta, co się stało z złoczyńcami, a on odpowiada: „wszak są to poddani Mości Mortęskiego, tak żydek rodził się w dobrach jego, jak ów chłop zbiegły, więc pozwoliłem mu zabrać ich ze sobą, i tam według przysługującego mu prawa dziedzictwa ukarać; pewno każe powiesić jednego i drugiego, będzie koniec.“ — Ta odpowiedź zasmuciła Wulkowską, ledwie parę godzin wytchnęła, jedzie do Mortęg.

XVII.

Ważne stały się rzeczy w Krakowie. Naraz rozgłosiło się po mieście: „Króla nie ma — uciekł.“ — Ta nowina rozleciała się po wszystkich ziemiach Rzeczypospolitej i narobiła wrzawy. Każdy pytał: „Kto będzie teraz królem, kto kandyduje?“ Szlachta po największej części nie utraciła jeszcze narodowego ducha, szanowała też przeszłość i budowała na niej. Dla tego po nowinie, że Francuz uciekł, — zjeżdżała się do zamków, pobliskich miast i miasteczek na naradę. Nie dowierzali oni magnaterji czyli senatorom, że ręka w rękę pójdzie z narodem, bo byli oszukani przy obrozie Henryka.

Ludwik Mortęski, szlacheć dumny z antenatów, ledwie przyjechał do domu i wsadził złoczyńców do turmy, ledwo przywitał się z małżonką, tak mu się spieszyło, i tym samym wozem jedzie zaraz do wsi, chcąc zabrać także owego chłopca, który utopił Hansa.

Wpadł do wiejskiej chaty: „gdzie Dywak?“ pyta. — Kobieta przy nalepie stojąca kłania się, ręką chcąc uchwycić za stopy dziedzica: „Oh panie, już go nie ma.“ — „Uciekł? dam ja mu ucieczki! Jak nie powiesz, gdzie on, wsadzę cię do kotła oleju i każę gotować.“

„Nie mówiłam mu też: nie słuchaj żydów, co oni pletą, a on jak nie, tak nie, na moje zmartwienie; dyć żyd poprowadził go do Prus, bo się tam zbiera znowu z pachółkami Bersztyn, by Jegomości ukrąść Imościną.“ — „Co ty mówisz kobieto?“ ochłonął trochę Ludwik. —

„Tamtę mu się nie udało porwać, co umarła, teraz się zbiera na drugą.“

„Kto ci mówił o tém?“ — „Małoż się nagadali w mojej chałupie, znam tego Waszmościa, on przytupał bótem: przez niego zginęła moja kochana, niech i on szłopie łyżką taką zgryzotę co i ja.“

Ludwik osłupiał, dowiedział się o nieprzyjacielu, który zapalał niesłuszną zemstą, bo wiemy, że przypadek zrządził, iż konie potratowały Ofkę, a Bersztyn myślał, że umyślnie się ze strony Mortęgów stało. Wraca do zamku: „zbieraj się żonuś, odjeżdżamy.“ — „Ledwie też ocknęła się z choroby i mam jechać, a ty nie dobry latasz po świecie, jakbym cię zgoła nie nie obchodziła.“ — „Musimy jechać, mówię ci, porwać cię nie dam, nie pozwolę!“ — „Miejże też rozum, na taką jak ja łakomiłby się kto!“ — Ludwik opowiada małżonce o wszystkich wykryciach i przygodach.

Żona się naprawdę tą nowiną przeraziła, zebrała się, wsiedli oboje do karety, jadą ku Chełmnu. Wiatr ostry wiał, powstała zawierucha, Ludwik złorzeczył niebu. Co słysząc małżonka wyrzekła z oburzeniem: „I tyś chrześcianinem? opłacisz drogo to bluźnierstwo.“ — W samą istocię opłacił go zgonem żony, która się zaziębiła i w ośmiu dniach przeniosła się do wieczności.

Grom po gromie zdekoncertował zupełnie Ludwika. Żaden krewny ani przyjaciel nie zdołał go rozweselić. Wypuścił folwarki Mortęg w dzierżawę, wyjechał do Krakowa i tu osiadł, jak sam mówił, na dewocję.

Przeprowadzono tymczasem elekcję królewnej Anny, wynaleziono jej męża Stefana Batorego. — Zjechał ten

monarcha dosyć świetnie 18 kwietnia 1576 r. do Mogiły, i cały Kraków wyległ na jego powitanie. Jenó Ludwik siedział w swoim pokoiku mówiąc do lokaja: „nie pleć mi dubów, żeś widział nowego króla, mnie on całkiem nie obchodzi; utraciłem wszystko, com miał najdroższego, teraz tylko będę oczekiwał śmierci, niech mnie zabierze z téj ziemi jako ostatniego Mortęgę.“

„Co też Jegomości w głowie? Mnie się śniło, że byłem na weselu, Jegomość tańcował i trzymał na ręku ładne dziecię.“ — Ludwik porwał cybucha i przeparzył przez plecy lokaja: „Masz moje wesele próżniaku!“ — Lokaj się tylko skrzywił i wyszedł mruczając za drzwi. — „Wracaj durniu,“ krzyknął Ludwik, „pojedziesz mi z listem do Chełmna.“

Służący wrócił, zebrał się, pyta: „czy na wozie, czy konno?“ — „Konno! osiodłaj moją siwkę, nie wolno ci ujechać na dzień jeno pięć mil, rozumiesz, bo szkapy szkoda.“ — „Dobrze Jegomość, czy mam przynieść odpis?“ — „Rozumie się, bez niego nie odjeżdżaj.“ — Sługa tego samego dnia odjechał do Chełmna z listami do ksieni Magdaleny. — Ludwik potem czeka miesiąc, drugi i trzeci, sługi jak nie ma tak nie ma.

Tymczasem odbył się sejm koronacyjny, i król Stefan pojechał do Warszawy 12 czerwca. Ludwik nie mogąc się doczekać listu, tłumaczył sobie ten niepowrót wielorako: albo sługę zabili, albo sprzedał konia i uciekł, albo też z siostrą się coś stało. Miłość familijna przemogła, i Ludwik ze swią królewską jechał razem. Mimo że się nieco na twarzy z powodu zgryzot odmienił, przecie go poznał Zborowski.

Samuel Zborowski był głównym agitatore[m] za królem Stefanem, on bowiem z kraju wygnany udał się do Siedmiogrodu na dwór księcia Stefana, i po ucieczce Francuza rozpisał listy do przyjaciół, aby agitowali za królową Anną i jej przyszłym mężem Batorym. Do tych zwolenników zaliczał także Wejera; dla tego zaraz, spotkawszy Ludwika, zapytał: „Waszmość tu? cieśzy mnie ogromnie, że Mortęscy z Wejerami na nasz[ej] stronie.“

Ludwik nie rozumiał wcale o co chodzi, nie odpowiedział nic. — „Wie aspan,“ mówi Zborowski, „mam do niego wielką prośbę a spuścić się mogę. Mali Polacy uznali Stefana, Wielcy uznają go w Warszawie z Litwinami; chodzi mi o Prusy, a głównie o Gdańszczan. Pojedziesz do Wejera i przerobicie ich albo słowem, albo...“ i pokazał na karabelę.

Dla Ludwika otworzyła się odtąd niespodzianka, nowe życie. Wystąpił na widownię polityczną. Przyjechali tedy do Warszawy, on pożegnał Zborowskiego i licznych koło niego zebranych Zborowskich, wiodących rej na królewskim dworze. Pojechał do Prus, wstępuje do Torunia, pyta o Wulkowskich. Ich nie było, bawili naówczas w Pomorzu. Jedzie więc do Chełmna, wesóło wita ksienię siostrę, pytając na wstępie czy odebrała listy.

„Żadnych,“ odpowiada siostra, „znikłes nam po pogrzebie żony, nawet smuciłam się, czyś do Wiednia nie odjechał stając się adherentem Niemców; a wiesz co się stało? posłów polskich kazał cesarz aresztować.“ — „Dobrze im tak, niech nie szukają nasi obcych bogów, kiedy mamy swego.“ — „O ucieszysz się ciocia,

jak jęj napiszę, żeś powrócił. Wiesz bracie, myślałam nieraz o sobie i tobie, modliłam się, aby Bóg oddalił od ciebie te zmartwienia. Widzisz jak Bóg umie karać płoche człowieka śluby. Dwie żony pochowałeś, i Bóg nie dał potomstwa.“

„Moja siostró, na Boga nie zwałajmy, co robimy sami; żony mi umarły przez intrygi moich nieprzyjaciół, pomściłem się na jednych, pokonam i drugich; żyd zdechł, chłopcy rabusie pozdychały, mam jeszcze Bersztyna i jemu dam rady.“ — „A jak ci téż Bóg da rady, hę!“ — „Przeciw niemu nie będę wojował, znasz mnie, jestem wiernym chrześcijaninem.“

„Wiara bez uczynków martwa!“ — „Nie mówże mi tych formułek, postawię ci za to klasztor,“ i ośmiał się; „a Wejerowa postawi ci drugi, bo ona także nie ma dzieci.“ — „Choćbyście dziesięć postavili, nie nie pomoże, nie będziecie mieli potomstwa!“ — „Gdybyś nie była siostrą moją, pogniewałbym się na ostro, ale że cię znam, więc przebaczam i zapraszam na chrzciny.“ — „Ożeniłeś się?“ — „Jestem kawalerem, pustelnikiem jak ty.“ — „Fe, o takich rzeczach mówić,“ i oddaliła się zakonnica z mownicy.

Ludwik pojechał do Gdańska, tam był Wejer, któremu opowiada cel swojej misji. Zrozumiał zaraz Wejer jęj doniosłość i mówi: „miecz rozstrzygnie tylko tę sprawę, wtenczas Gdańszczanie i Prusy uznają króla Batorego. Działajmy szybko, bo się Gdańszczanie zbroją.“ — „Więc dam znać Zborowskiemu.“ — „Przez listy niepodobna, mógłby je kto złapać.“ — „Więc pojedę.“ — „I owszem, niech zaradzają zawczasu co można.“

Ludwik pojechał jak strzała z ustnemi depeszami. Prawie też przyjechał król do Torunia razem z wojskiem, bo posłyszał od senatorów, że Gdańszczanie się opierają. Nastąpiła wyprawa na Gdańszczan, król przyjechał na Malbork, a potem ku Czychowu. Tymczasem Gdańszczanie się okopali. Król posłał naprzód komisarzy, by upomnieli zbuntowanych; nie nie pomogło. Kazał wojsku atakować, nastąpiła batalja. — Dowodził królewskimi Wejer Ernest, Marek Sobieski i Włodzimierz Moskwicin. Walka była krwawą, Wejer otrzymał rany, napadł go był Bersztyn, służący Gdańszczanom; ale Ludwik zmiotł swojego przeciwnika obroniwszy od śmierci Wejera.

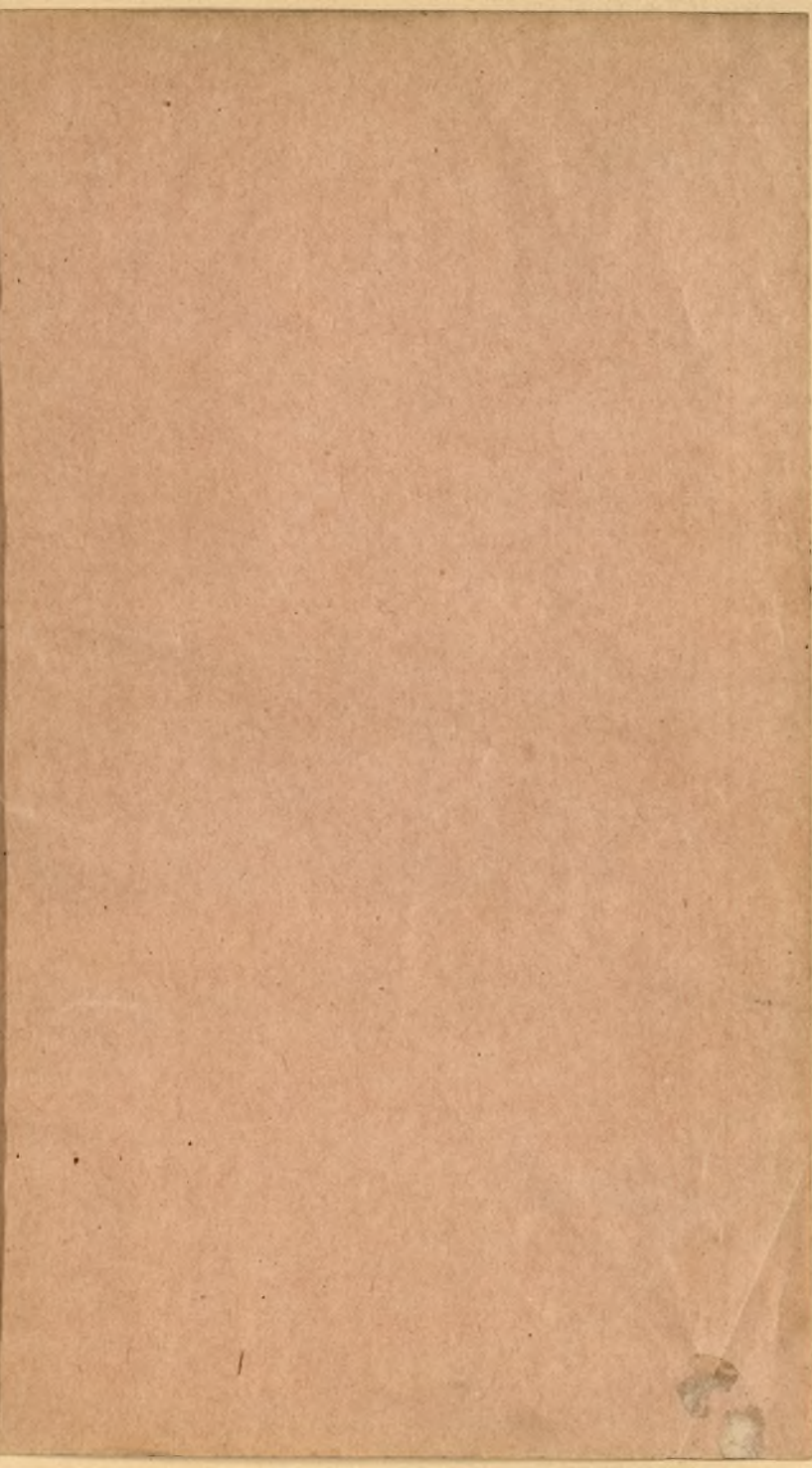
Tu się zaczęła jego wojskowa karjera, awansował na rotmistrza. Potem, gdy wszczęła się większa wojna, na której czele stał także Zborowski, więc zwrócił tenże swoje oko na Ludwika, przedstawił go królowi jako swojego zwolennika. Król Stefan mianował go kapitanem Grudziąskim. Miał on wstęp do domów Zborowskich, i tego roku ożenił się z jedną córą Zborowskich.

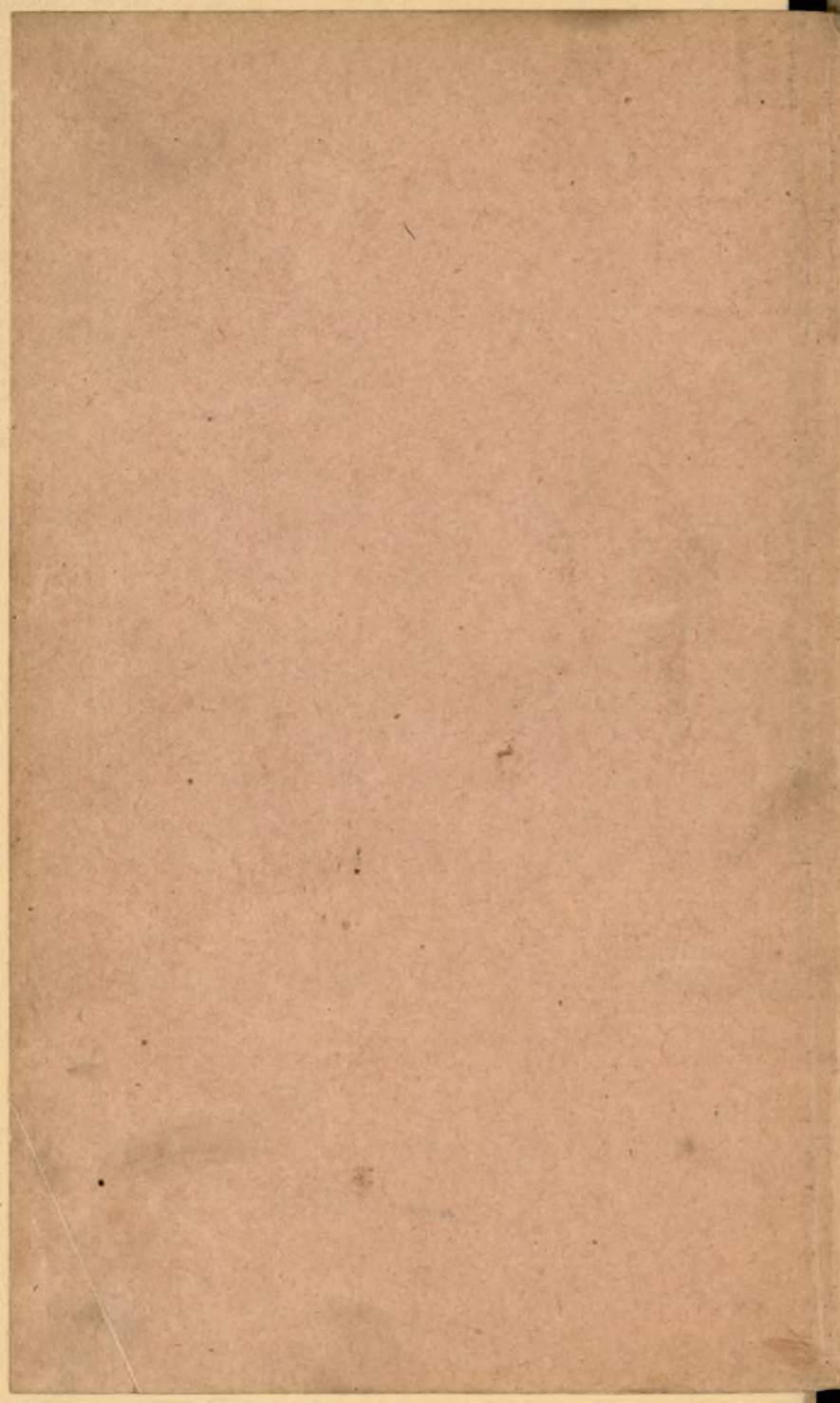
Gdy mu powiła córkę Zborowska, napisał do siostry zakonnicy: „proszę cię na chrzciny.“ Magdalena mu odpisuje: „Życzę twojemu dziecku błogosławieństwa, a dla siebie prosz sobie sam u Boga.“ — Gdy po kilku latach powiła mu drugą, znowu pisał do siostry prosząc na chrzciny. Tą razą odpisała mu: „to dziecię będzie moje.“ — Śmiał się Ludwik z tych konceptów, żył wspaniale ciesząc się z rodziną, tylko pragnął mieć syna. Tego się już nie doczekał. Awansował jeszcze na starostwo Pokrzywskie, a potem pod tym królem na wojewodę Chełmskiego.

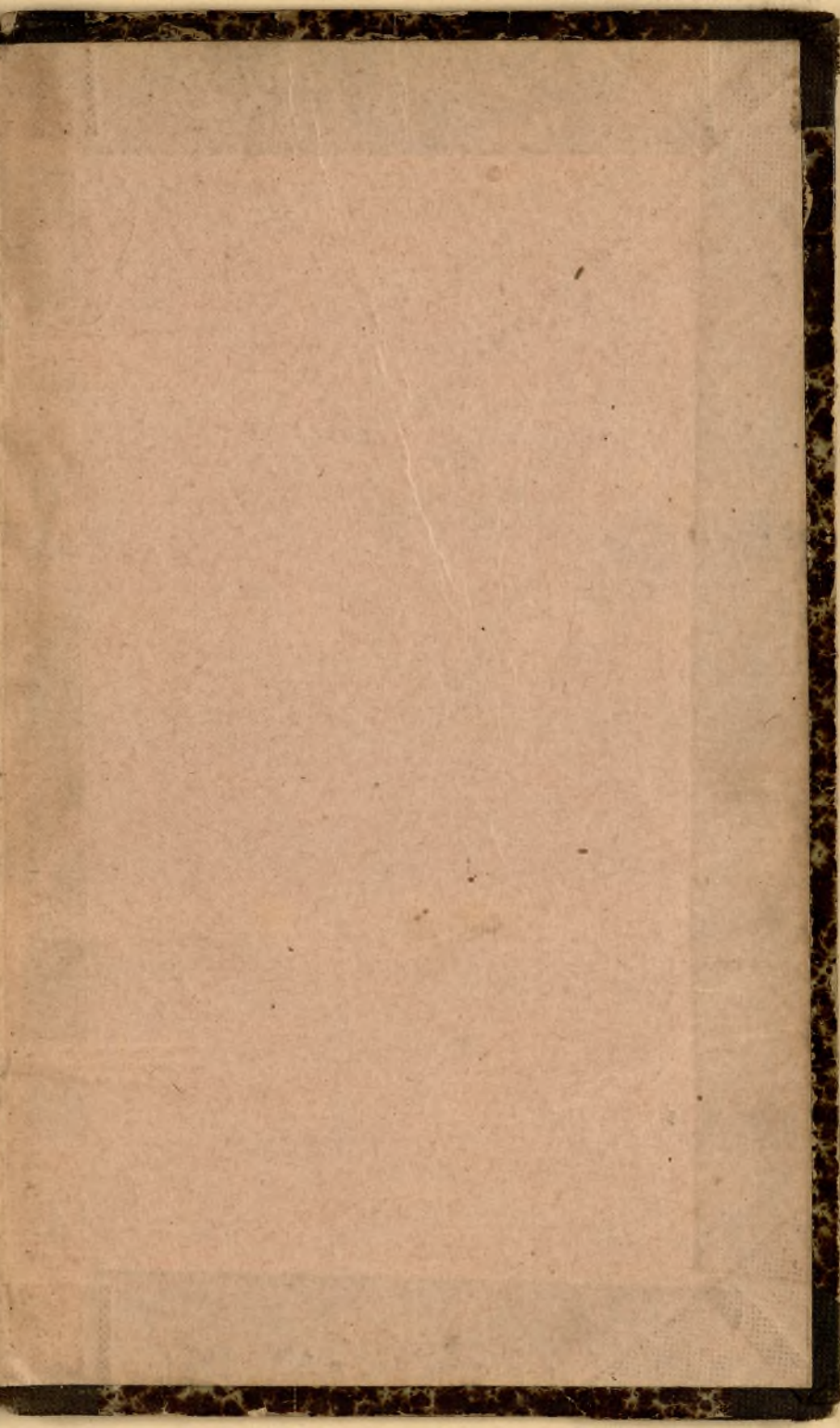
Po dwudziestu latach nawiedza dom jego Żaliński z synem Samuelem. Pierwsza córka Zosia była już panną urodną, wojewodzianką. — „*Verbum nobile*, wojewodo,” mówi stary Żaliński, „przyjechałem na wesele.” — „Dałem słowo,” rzekł Ludwik Mortęski, „nie cofam go,” i odbyło się wesele, po którym przyjechała ksieni Magdalena i zabrała mu córkę drugą do klasztoru.

Teraz ujrzał się Ludwik znów osamotnionym, wystawił w Lubawie grobowiec familijny rzekąc: „Tu niech spoczną wszyscy Mortęgowie i ja ostatni Mortęski.” — Że tak było, świadczy napis na grobowcu. — Siostra zakonnica przeżyła Ludwika i modliła się za brata powtarzając co chwila: Kto Bogu ślubował, dotrzymać ślubu powinien, bo mam przykład na bracie!









CL KD II
8333